

# Judith GOULD

Po kres czasu

scandalbooks

*CZĘŚĆ PIERWSZA*

# **WIOSNA**

scandalous

## Rozdział 1

Leonie Marie Corinth zazwyczaj starała się zwracać uwagę na ograniczenia prędkości i znaki drogowe, ale tym razem zdecydowanie nie była w swoim normalnym uważnym, zorganizowanym - i jak by powiedzieli niektórzy, praktycznym - usposobieniu. Właśnie włączyła kasetę Alberty Hunter i słuchając piosenki „Always”, pokręciła głową i skrzywiła się sceptycznie. Według Alberty miłość była na zawsze. Może dla niej i kogoś, kto napisał ten tekst, ale nie dla mnie, pomyślała.

Koncentracji nie sprzyjała także prześliczna wiosenna pogoda. Tutaj, w dolinie rzeki Hudson niebo było idealnie błękitne. Przepływały po nim bielusińkie obłoki, podobne do wielkich kłębków waty. Czy niebo nad Manhattanem bywa kiedykolwiek w ogóle takie piękne?, zastanawiała się Leonie, stukając dłonią w kierownicę w rytm melodii. Czy powietrze jest tak rześkie? Albo takie czyste? Czy światło - to słynne światło, uwielbiane przez artystów - bywa tak jasne w nowojorskich kanionach ulic? Raczej nie. Nowy Jork miał oczywiście swoje uroki, ale to... To była nowa kraina ziemskich rozkoszy, pełna niebiańskich kolorów, zapachów i widoków.

Skreślając beztrzesko z autostrady stanowej Taconic na szosę do Chatham, musiała jechać przynajmniej osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Zachwycała się pięknem wiosennego dnia, nienaganną dykcją i pełnym uczucia, głębokim głosem Alberty Hunter oraz własnym dobrym nastrojem. Kiedy więc tuż przed nią wyłonił się ciemnozielony range rover, którego tył niczym solidny mur wypełnił całą przednią szybę jej samochodu, była całkowicie zaskoczona.

Jezu!

Jęknęła, gwałtownie wcisnęła hamulec, manewrując autem niczym rajdowiec, i ostro skręciła kierownicą w prawo. Zaciśnęła zęby, gdy tył jej wozu zarzuciło na lewo. Trzymała kurczowo kierownicę, jakby samą siłą woli mogła zmusić swoje stare volvo kombi, by stanęło w miejscu, zanim dojdzie do kolizji.

Na próżno.

Rozległ się głuchy stukot, gdy volvo uderzyło w tył range rovera, a Leonie patrzyła ze zgrozą, jak tamten gwałtownie wyskakuje do przodu, po czym zatrzymuje się nagle. Wreszcie, po długiej chwili puściła kierownicę i odetchnęła głęboko.

O Boże, tylko nie to, pomyślała. Co teraz? Przecież się spóźni!

Otworzyły się drzwiczki range rovera po stronie kierowcy. Żrenice Leonie rozszerzyły się ze strachu, gdy ujrzała mężczyznę, który szybkim, energicznym krokiem ruszył ku tyłowi swojego wozu. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

Przystanął między dwoma samochodami i z rękami opartymi na biodrach uważnie przyglądał się zniszczeniom. Jego postawa niezaprzeczalnie świadczyła o furii.

Przynajmniej nie wygląda na neandertalczyka z obrzynek, który bez zbędnych słów odstrzelił mi głowę, pomyślała Leonie. Odetchnęła głęboko, wyprostowała drżące ramiona i z duszą na ramieniu otworzyła drzwiczki volva. Naprzód, pomyślała, czując się jak owieczka idąca na rzeź. Odpięła pas, wysunęła się z samochodu i stanęła na jezdni, potrząsając lśniącymi kasztanowymi włosami, żeby nie zaślaniały jej oczu.

Mężczyzna przykucnął tyłem do niej i przesuwając palcem po zabłoconym zderzaku rovera. Nie podniósł głowy. Prawdę mówiąc, niczym nie zdradził, że zauważył Leonie. Czekwała chwilę, w końcu odchrząknęła i zrobiła krok do przodu, zniecierpliwiona i zdenerwowana zarazem.

- Bardzo... bardzo przepraszam - wyjąkała. - Mam nadzieję, że nic się panu nie stało.

Odpowiedziało jej kamienne milczenie.

Przestąpiła z nogi na nogę, nie mogąc ukryć niepokoju.

- Czy wóz jest mocno uszkodzony?

Deprymujące milczenie trwało. Jezu! Co z tym facetem?

- Okropnie się spieszę - powiedziała. - Na bardzo ważne spotkanie. Ja... Wcale pana nie widziałam.

Nieznamy odwrócił się i zaczął oglądać przód jej samochodu. Nadal ją ignorował, nie zniżył się nawet do tego, by na nią spojrzeć

lub wyrzec choć słowo - a było to dla impulsywnej i stanowczej Leonie Corinth coś równie obcego jak ospa.

Nie przywykła do tego, by ją lekceważono. Co to, to nie. Była przecież wysoka - miała ponad metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, i to bez butów - a przy tym zgrabna i wysportowana. Porcelanowo czysta, nieskazitelna cera przypominała gładką, świeżą skórę noworodka, a kasztanowate włosy, przetykane pasemkami w kolorze ciemnego rubinu i fuksji, lśniły.

Wszyscy uważali ją za uderzająco, choć nie klasycznie piękną - nawet inne kobiety, które musiały przyznać, że matka natura obdarzyła Leonie wyjątkowo hojnie.

Niewielu mężczyzn potrafiło patrzeć obojętnie w jej czarne oczy, nie czując przy tym zawrotu głowy. Jej pełne wargi zdawały się żyć własnym życiem, ale zawsze kusiły obietnicą; a prosty, wąski nos świadczył o dobrym pochodzeniu i wyrafinowaniu.

Jej uroda nie była zmysłowa, ale subtelne rysy twarzy, wysoko sklepione kości policzkowe oraz wytworna smukła sylwetka zachwycały i fascynowały każdego mężczyznę.

Przede wszystkim zaś Leonie promieniowała indywidualnością, intensywną i niezaprzeczalnie atrakcyjną, co zawsze zwracało uwagę, czy tego chciała, czy nie.

Teraz jednak tak się stało, toteż poczuła się zdziwiona.

Nie pora na odgrywanie skromnego fiołka, pomyślała. Najlepszą metodą obrony jest atak.

Zainspirowana tą myślą pochyliła się nad nieznanym, żeby obejrzeć uszkodzenia. Boże! Oba samochody były tak poobijane, podrapane, pokryte tak grubą warstwą błota z wiosennych dróg, że nie mogła ocenić, czy wypadek spowodował jakiegokolwiek zniszczenia. Co więcej, w tej chwili wcale się tym nie przejmowała. Przynajmniej jeśli chodzi o tę kupę złomu, jej stare volvo. A co do range rovera... Wyglądał, jakby przejechał tam i z powrotem przez Kalahari - i to kilka razy.

- Proszę pana - odezwała się z cieniem irytacji w głosie, nerwowo przestępując z nogi na nogę - może po prostu wymienimy nazwiska i adresy, czy co tam jest potrzebne do ubezpieczenia? - Zerknęła na zegarek. Cholera! - Naprawdę muszę już...

Mężczyzna nagle podniósł wzrok i popatrzył na nią taksująco, obrzucając całą jej postać jednym szybkim, ale dokładnym, uważnym spojrzeniem. Rysy mu złagodniały, zmarszczki troski - albo może gniewu? - znikły, a gdy jego twarz rozjaśnił przelotny uśmiech, dostrzegła błysk białych zębów. Chyba podczas tych krótkich oględzin

jej przymiotów fizycznych podjął jakąś decyzję - zupełnie jakby był jurorem na konkursie piękności albo na pokazie psów, pomyślała.

Powoli się wyprostował - ależ był wysoki! - wciąż jej się przyglądając, teraz już z przyjemnością, i wsunął ręce do tylnych kieszeni dżinsów. Po chwili, która Leonie wydawała się wiecznością, wzruszył ramionami.

- Nic się nie stało - powiedział z nutą rozbawienia w głosie. - Chyba żaden z wozów nie stracił na wartości.

Ogarnęła ją fala ulgi. Dzięki Ci, Boże, pomyślała. Nie będzie się czepiał.

- Och, to doskonale - odezwała się z wdzięcznością. - Tylko tego mi brakowało, i to akurat teraz. Rozumie pan.

- Nie ma o czym mówić - odrzekł. - Nasze firmy ubezpieczeniowe wcale nie muszą o tym wiedzieć.

Leonie osłoniła dłonią oczy przed słońcem i po raz pierwszy odwzajemniła spojrzenie mężczyzny. I zmieszana się. Tak, ona, energiczna i pewna siebie Leonie Corinth, która nigdy nie traciła głowy, zmieszana się, czując na sobie niesamowicie przenikliwe zielone - czy może niebieskie? - oczy nieznanego. Poczuła moc tego spojrzenia i odwróciła głowę, dziwnie zbita z tropu.

Choć na ogół w żadnej sytuacji nie traciła przytomności umysłu, nagle nie umiała nic powiedzieć i poczuła, że rumieni się z zakłopotania. W końcu jednak presja czasu sprawiła, że Leonie musiała odzyskać panowanie nad sobą.

- To bardzo uprzejme z pana strony - wykrztusiła. - Dziękuję. Ja... Chyba już pojedę.

Znów się uśmiechnął.

- Oboje możemy jechać. - Ale stał w miejscu, nawet nie odwrócił się w stronę samochodu i nadal czuła na sobie jego przenikliwe spojrzenie.

Po chwili wahania zmusiła się, by wykonać pierwszy krok, i podeszła do otwartych drzwiczek volva. Pomachała nieznanemu koniuszkami palców, próbując tym kokietyrnyim gestem zatuszować zakłopotanie.

Wsunęła się na fotel kierowcy, zamknęła drzwiczki, zapięła pas, po czym uruchomiła silnik. Z odtwarzacza rozległ się dźwięczny głos Alberty Hunter, więc szybko ściszyła magnetofon. Ten facet gotów jeszcze pomyśleć, że jestem idiotką, zirytowała się Leonie. Następnie włączyła wsteczny bieg, cofnęła auto, przesunęła dźwignię w położenie Jazda" i powoli ruszyła.

Przez przednią szybę widziała nieznajomego: stał w rozkroku, z rękami skrzyżowanymi na piersi i przyglądał jej się z uśmiechem - czyżby drwiącym? W końcu odwrócił się i leniwym krokiem poszedł do range rovera.

Przejechała wolno obok niego, zatrzymała się przed znakiem podporządkowania, po czym skręciła w prawo, na zachód.

Boże, mam nadzieję, że to nie był zły omen, pomyślała z obawą.

Ale zastanowiwszy się nad wypadkiem, Leonie wytłumaczyła sobie rozsądnie, że można uznać to wydarzenie za dobry omen. Przecież facet uznał, że nie ma o czym mówić, prawda? A mógł się zachować jak ostatni gnojek i zrobić piekielną awanturę. Jednym słowem, po prostu jej się upiekło.

Tak, miała szczęście, to nie ulega wątpliwości. I nawet jeżeli czuła się lekko wytracona z równowagi przez wypadek i tajemniczego nieznajomego, nie zamierzała pozwolić, aby cokolwiek - zwłaszcza takie głupstwo - zakłóciło jej to wspaniałe wiosenne popołudnie. Nie. Wyrzuci całe to nieprzyjemne zajęcie z myśli. Mężczyznę także - a raczej przede wszystkim. I te jego zielone oczy drapieżnika.

Nie dopuszczę, aby cokolwiek zepsuło mi piękny dzień! - powiedziała sobie stanowczo.

Wyciągnęła rękę, żeby z powrotem podkręcić dźwięk w magnetofonie, i zaczęła śpiewać z uczuciem, wtórując Albercie Hunter, choć musiała samokrytycznie przyznać, że te fałszywe wycia nie mogły być przyjemne dla ucha. Dodała gazu, ale już z większą ostrożnością.

Po chwili uwagę Leonie przyciągnął krajobraz i zaczęła się rozglądać po dolinie rzeki Hudson budzącej się do życia z długiego, głębokiego zimowego snu. Po obu stronach drogi majestatyczne, wyniosłe świerki odcinały się ciemnym konturem od stonowanego, pastelowego tła klonów, brzoź, buków i dębów, jesionów, wypuszczających wiosenne liście we wszelkich możliwych odcieniach zieleni, wdzięcznych słońcu za ciepło i blask.

Jego promienie rozjaśniały ogrody na starannie utrzymanych farmach w dolinie. Leonie podziwiała kolorowe tulipany, żonkile, hiacynty, zachwycała się świeżością okrytej niby dziewiczym ślubnym welonem spirei - i bzami! Nie mogła się doczekać, kiedy napełni wazon pachnącymi fioletowymi kiśćmi. Pomiesza je z białoróżowymi peoniami. Tak, bzy i peonie to jej ulubione kwiaty, zdecydowanie. Siedząc teraz w swoim starym, wysłużonym volvie, Leonie wyobraziła sobie ich woń, słodką i ulotną, a jednocześnie tak wyrazistą i zmysłową, że niemal zakręciło jej się w głowie.

Opuściła szybę do samego dołu i wciągnęła głęboko w płuca orzeźwiający, chłodny wiosenny powietrze. Co za radość, pomyślała. Czysta, niczym niezmacona radość!

Jechała równym tempem, przypominając sobie, jak niemal przypadkiem odkryła tę czarodziejską okolicę, w której zakochała się od pierwszego wejrzenia. Wcześniej słyszała o Berkshires na wschodzie i Catskills za rzeką, na zachodzie, ale o samej dolinie nic nie wiedziała. Miejsce to wydawało się zagubione w czasie. A Leonie w końcu zaczęła je uważać za ulubioną krainę Boga.

Pokochała lekko falujące wzgórza oraz budowle, które na nich się wznosiły - wspomnienia z piękniejszych, mniej zabieganych czasów. Były tu proste domy farmerów, wspaniałe rezydencje w stylu króla Jerzego i federalnym, kolonialne i neoklasycystyczne, budynki w stylu królowej Anny i królowej Wiktorii, neogotyckie i romantyczne wille - co kto woli - cała historia architektury amerykańskiej. I właśnie owa dawna architektura przywiodła ją tutaj, a przynajmniej w pewnym sensie.

Cóż za dziwny spłot wydarzeń, pomyślała Leonie. Dzięki swojej pasji do starych budowli i architektury w ogóle przenosiła się do miejsca, którego jeszcze niedawno zupełnie nie знаła.

Przez kilka lat prowadziła sklep dla architektów z elementami dekoracyjnymi z odzysku w Soho, w Nowym Jorku. W jej zdolnych rękach Ozdoby Architektoniczne, bo tak go nazwała, rozkwitły. W poszukiwaniu atrakcyjnych staroci regularnie przeczesywała okolice miasta, szczególnie zaś Nową Anglię i stan Nowy Jork, skupując rzeczy, które jej się podobały, a sukces firmy dowodził, że proponowane przedmioty podobały się zamożnej klienteli. Interes szedł doskonale. W ten sposób Leonie po raz pierwszy trafiła do doliny rzeki Hudson - właściwie położonej bardzo blisko miasta, lecz tak naprawdę oddalonej od niego o lata świetlne. Było to bogate źródło różnorodnych elementów architektonicznych i z powodzeniem czerpała z niego przez kilka lat.

Nigdy nie przypuszczała, że kiedyś tu zamieszka. Że w ogóle wyjedzie z Nowego Jorku. Ale też nawet w najgorszych, najczarniejszych wizjach nie wyobrażała sobie, jak ogromne zmiany w jej życiu może spowodować rozpad małżeństwa.

Leonie i Hank - Henry Wilson Reynolds, jej mąż od piętnastu lat - rozwiedli się, gdy ich związek, jak się kiedyś wydawało, idealny, przemienił się w - w co? W piekło? Nie, nie w piekło. Przynajmniej niezupełnie, chyba że piekło jest rodzajem pustki. Ponieważ to wła-



śnie się stało: ich małżeństwo obróciło się w nicość. Wprawdzie mieszkali pod jednym dachem, ale tak się odsunęli od siebie, że byli teraz właściwie obcymi ludźmi i Leonie mimo wielkich wysiłków nie umiała przetrząsnąć mostu nad dzielącą ich przepaścią. Zresztą Hank Reynolds wcale tego nie chciał.

Wkradająca się między nich obojętność przygnębiła Leonie, lecz to chłód i bezwzględność Hanka zniszczyły ich małżeństwo. Zaczęła się czuć jak jedna z przejmowanych przez męża spółek, a w końcu jak dekoracja uczepiona jego ramienia, kiedy uważał, że okazja wymaga obecności żony.

Nie był to rozwód przyjacielski i Leonie nie tęskniła już za Hankiem Reynoldsem. Jeszcze czego! Ale czasem obawiała się, że będzie tęsknić za miastem i sklepem. Należała do rzadkiego gatunku: urodziła się i wychowała w Nowym Jorku i zawsze czuła się tam u siebie. Miała to miasto we krwi, jego betonowe mury i ulice osłaniały ją niczym ochronny klosz - tak przynajmniej sądziła. Ale po wojnie rozwodowej uznała, że potrzebuje odmiany i nowych wyzwań.

Czasami w ogóle nie była pewna, czego chce, i wątpiła w swój instynkt, ten sam, któremu niegdyś bezwarunkowo ufała. Ale która kobieta nie zwątpiłaby we wszystko, gdyby się przekonała, że wyszła za mąż za skończonego łotra?

Pozostało jednak kilka rzeczy, co do których Leonie Corinth nie miała żadnych wątpliwości. Cieszyła się własną nowo odkrytą niezależnością i chociaż wiedziała, że czekają jej samotne noce - a czy noce z Hankiem w istocie nie były samotne? - wiedziała też, że nie poświęci swojej niezależności tylko po to, by znaleźć sobie jakiegokolwiek towarzysza życia. Chciała po raz pierwszy od lat stanąć na własnych nogach i nie zależeć od nikogo. A już na pewno nie od mężczyzny.

Czuła się wypalona, wykorzystana, oszukana i upokorzona - przez mężczyzn w ogóle, a przez Hanka Reynoldsa w szczególności - i nie wiedziała, czy zdoła jeszcze jakiemuś zaufać.

Wiedziała jednak, że na pewno nie pozwoli zrobić z siebie ofiary. Nie, nie, dziękuje uprzejmie. Będzie żyć dalej - w nowy sposób i w innym miejscu stworzy sobie dom. Niech się dzieje, co chce, ale z całą pewnością nie zamierza rozpamiętywać przeszłości. Przeszłość jest częścią niej, niezaprzeczalnie, ale nie jest nią. Nie. Postanowiła żyć teraźniejszością, tu i teraz, a tylko czasami spoglądać w przeszłość i w przyszłość.

Zwalniając przed znakiem stopu, prychnęła pogardliwie. Klub byłych żon - to nie dla niej!, pomyślała. Nie ma mowy, do cholery!

Niech inne kobiety opierają się na mężczyznach, których poślubiły lub z którymi spały, ale ona nie ma zamiaru. To pułapka, w którą można wpaść aż nazbyt łatwo, czy to w Nowym Jorku, czy gdzie indziej. Sama widziała, jak spotkało to wiele jej przyjaciółek.

Po krótkim czasie miała dość roli dodatkowego gościa na prozownych obiadach. Po nowojorskich salonach kręciło się wiele atrakcyjnych rozwódek, przypominających żarłoczne piranie. Leonie nie zamierzała przyłączyć się do ich wygłodniałego, nieszczęśliwego, mściwego i wrednego stada. I naprawdę była wściekła, gdy mówiono o niej jako o byłej pani Reynolds. Nie znosiła tego tak bardzo, że wystąpiła do sądu o przywrócenie panińskiego nazwiska. Pani Corinth - to właśnie ja, pomyślała. Dobra, stara Leonie Corinth.

Roześmiała się na głos i klepnęła dłonią kierownicę. Co ja zrobiłam? - zapytała się w duchu po raz tysięczny. Wkrótce dobiję czterdziestki, mój zegar biologiczny tyka jak bomba zegarowa, nie mam już męża, nie mam dzieci, a niektórzy by powiedzieli, że nie mam też perspektyw. Przeniosłam się do tego przepięknego, ale całkowicie obcego miejsca - twarda Leonie Corinth, dumna właścicielka starej rudery, której nikt inny nie chciał - przynajmniej nikt przy zdrowych zmysłach - i w całym hrabstwie mam tylko jedną, jedną przyjaciółkę. Jedną. Czy postradałam rozum? Z całą pewnością nie. Czy się boję? Jak cholera!

Rzeczywiście była to przerażająca perspektywa, ta nowa przygoda, zwłaszcza że Leonie jeszcze nie całkiem doszła do siebie po niedawnym rozwodzie. Strach przed samotnością, przed kłopotami finansowymi, przed obcym terenem, przed zamieszkaniem w miejscu, do którego dotąd tylko zaglądała na krótko - te wszystkie lęki podnosiły swoje wstrętne łby z niepokojącym uporem. Ale Leonie stale sobie powtarzała, że pragnie właśnie tego nowego życia, nowego startu w nowym otoczeniu. Chce zrzucić przeszłość niczym starą, znoszoną skórę węża i ruszyć w nieznaną, nawet jeśli to budzi obawę.

Nowy Jork, choć znajomy, oznaczał teraz porażkę, a wspomnienia minionego szczęścia paliły niczym uderzenia w twarz. Te rany były jeszcze świeże, zbyt bolesne, by mogła odpierać nowe ciosy, jakich miasto nie szczędziło jej ostatnimi czasami.

Zachwycając się precudnymi odcieniami różu, pomarańczy, fioleto i złota, rozjaśniającymi późnopopołudniowe niebo, Leonie zwolniła, zbliżając się do malowniczej wioski Kinderhook. Gra światła i barw dodawała jej otuchy.

Tak, podjęła słuszną decyzję. Dobrą i rozsądną, a przede wszystkim praktyczną. A na tym etapie swojego życia musiała myśleć praktycznie.

Rozwód jej nie złamał, to prawda, lecz pod względem finansowym ledwo uszła z życiem. Hank, ze swoją władzą, pieniędzmi i wpływowymi kolegami na wysokich stanowiskach - do czego dołożył poważną groźbę, że zniszczy najlepszego przyjaciela Leonie, Bobby'ego Chandlera - zdołał zagarnąć prawie wszystko, co zbudowali razem przez piętnaście lat małżeństwa.

Dwupoziomowy apartament przy Park Avenue z dziełami sztuki i antykami - jego. Ogromny, kryty gontem dom w Southampton z bogatym wyposażeniem - jego. Doskonale zainwestowany pakiet akcji i obligacji - jego. Bentley turbo i kabriolet jaguar - oczywiście jego.

Nie był to typowy scenariusz rozstania, choć stawał się ostatnio coraz bardziej popularny. Leonie znała podobne do siebie rozwódki, które otrzymywały alimenty w wysokości kilku milionów dolarów albo i więcej. Ale Hankowi Reynoldsowi powiodło się tam, gdzie mniej wpływowi - lub szlachetniejsi - mężczyźni przegrywali.

Leonie ocaliła swój sklep w Sonó, Ozdoby Architektoniczne, którą wystawiła na sprzedaż. Otrzymała za niego znaczną sumę, jeszcze tylko wraz z Hankiem mieli podpisać kilka dokumentów, kiedy będą gotowe. Zatrzymała też zasobne konto sklepu oraz stare volvo kombi, którym jeździła po zakupy. Na szczęście miała trochę mebli i rozmaitych przedmiotów dekoracyjnych - wszystko, co przez lata razem z Hankiem zastępowali stopniowo ładniejszymi i droższymi rzeczami. Pierwotnie zamierzała sprzedać tę zbieraninę na aukcji w Christie's, teraz jednak była zadowolona, że zatrzymała wszystko, bo część rzeczy przyda jej się do umeblowania nowego domu na wsi.

Leonie wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Po kupnie domu za środki z konta sklepowego powinno jej wystarczyć pieniędzy na skromne życie przez rok, najwyżej dwa, jeśli będzie bardzo oszczędna. Ale to koniec. Zysk ze sprzedaży sklepu pokryje także koszty remontu domu, może zostanie też trochę na nieprzewidziane wydatki.

Wiedząc, że wkrótce będzie krucho z gotówką, wymyśliła plan. Plan odbicia się od dna. Pierwszym punktem był zakup domu, odnowienie go, umeblowanie i sprzedaż ze sporym zyskiem, aby móc zainwestować w kolejną nieruchomość. Zaimerzała powtarzać tę procedurę do czasu... Na razie nie wiedziała, jak długo. Wiedziała tylko, że przy wrodzonym smaku, talencie do urządzania wnętrz

i ogrodów oraz wiedzy, jak powinien wyglądać gustowny dom, nie może jej się nie udać. Będzie robiła to, czego inni nie umieją zrobić sami - i każe im za to słono płacić.

Miała listę zamożnych klientów swojego sklepu i była niemal pewna, że wielu z nich skwapliwie skorzysta z możliwości kupna urządzonego przez nią domu, tak byli zachwyceni jej stylem.

Rozważała też pomysł otwarcia nowej firmy tutaj, w dolinie - może w domu albo w Hudson. W tym niewielkim miasteczku nad rzeką znajdowało się ponad sześćdziesiąt sklepików z antykami i w czasie weekendów biegały po nim tłumy poszukiwaczy staroci oraz handlarzy z całego północnego wschodu. To oraz nieoceniona lista dawnych klientów pozwalało przypuszczać, że otwarcie sklepu stanie się nie tylko możliwe, ale i całkiem zyskowne.

W każdym razie zamierzała posuwać się naprzód małymi krokami, dzień po dniu, i szukać okazji.

Leonie przycisnęła pedał gazu, chcąc jak najszybciej dotrzeć do swojego nowego domu, choćby i zrujnowanego, gdzie czekała na nią długoletnia przyjaciółka, Fiona Moss. Mossy, kochana Mossy. Mossy, obdarzona zgrzyliwym poczuciem humoru, skłonnością do bezbrzeżnej ironii i niezawodnym talentem do trafiania w sedno - a przy tym mająca serce z najczystszej platyny. Mossy, miejscowa pośredniczka w handlu nieruchomościami, która sprzedała Leonie Octagon House - Ruderę na Pagórku, jak go piśczołtliwie nazwały - i czekała teraz na nią z miejscowym architektem, specjalizującym się w renowacji zabytkowych budynków.

Leonie nie bała się ogromu czekającej ją pracy. Jeśli chodzi o urządzenie wnętrza, miała już w tej dziedzinie spore doświadczenie. Ale kiedy niedawno odnawiała pewien stary dom w Southampton, przekonała się, że przy tego typu przedsięwzięciu potrzebna jest pomoc architekta.

Zirytowała się, gdy zdała sobie sprawę, że potrzebuje pomocy, jednak to doświadczenie okazało się dobre, gdyż dzięki niemu odkryła swoje mocne, chociaż i słabe strony. Przekonała się wówczas także, że zatrudniając architekta, zaoszczędziła zarówno czas, jak i pieniądze. Dzięki niemu uniknęła błędów, które wymagałyby kosztownych poprawek.

Teraz, stając przed nowym, dużo poważniejszym wyzwaniem, postanowiła jak najmniej korzystać z pomocy innych. Wyrawszy się w końcu z potężnego, duszącego uścisku Hanka Reynoldsa i porzuciwszy snobistyczny krąg jego znajomych z Wall Street, Park

Avenue i Księgi Ważnych Osób, tym bardziej zapragnęła niezależności, by móc kierować się własnym instynktem.

Niczego tak nie pragnęła, jak udowodnić światu, że potrafi dać sobie radę sama.

Sama w domu, pomyślała. Z pewnością nie jest to ulubiony sposób na życie byłych żon. Ale w moim przypadku właśnie to zalecił lekarz.

Nie mogła wiedzieć, że los szykuje dla niej całkiem inną przyszłość.

scandalous

## Rozdział2

**W**miarę jak Leonie zbliżała się do nowego domu, jej podniecenie rosło. Gdy wjechała już na łuk szosy, musiała panować nad sobą, żeby nie dodać gazu - wiedziała, że budynek jest tuż za zakrętem.

Wyłączyła magnetofon, po czym w nagłej ciszy popatrzyła przed siebie. Octagon House stał po zachodniej stronie drogi, wznosił się w całej swej przykurzonej krasie na pagórku, skąd roztaczał się widok na rzekę Hudson i widoczne za nią góry Catskills.

Zwolniła i jadąc w żółwym tempie, podziwiała domostwo i jego otoczenie, ponownie poddając się magii, którą poczuła, będąc tu pierwszy raz. Na jej twarz z wolna wypłynął uśmiech. Tak bardzo przypomina niegdyś piękną debiutantkę, myślała, która w miarę upływu lat zmieniła się w zaniedbaną matronę. Lecz mimo zanie dbania jakaż jest imponująca!

Dom był drewniany, obity deskami, podobnie jak zabudowania gospodarcze. Kiedyś pomalowano go białą farbą, która dawno już poszarzała i łuszczyła się wstrętnie. Okna miał podłużne i wąskie, szyby były popękane lub ich brakowało, a drzwi balkonowe na parterze wiodły na zarośnięte kamienne tarasy. Okiennice, z których wiele obluźowało się i teraz zwisało krzywo, niegdyś były zielone. Ten ośmioboczny cud, ze strychem na drugim piętrze, zdobiła centralnie ustawiona na szczycie przeszklona wieżyczka, także ośmioboczna.

Wieżyczka, uznała Leonie, wyglądała oficjalnie i statecznie, a zarazem figlarnie. Piękne stare szyby z falistego szkła miejscami popękały, a kilku brakowało. Jakieś trzydzieści metrów na południe stała stara drewniana stodoła z bliźniaczymi wieżyczkami. Były to

identyczne, lecz mniejsze kopie tej na szczycie domu. Nawet powozownię wykończono taką samą, tylko mniejszą wieżyczką, ozdobioną na górze wiatrowskazem. Był to zaśniedziały miedziany konik, wyciągnięty w galopie.

Bydunek i otaczające go tereny zostały pieczołowicie rozplanowane w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku. Całą posiadłość zaprojektowano w stylu klasycznym, ale miała w sobie przebłysk fantazji, szczyptę czegoś odrobinę niezziemskiego, całkiem niepraktycznego. Był to dom pełen romantyzmu. Uroczy dom, pomysłała Leonie, zbudowany na przyjaznej ziemi. Ktoś kiedyś obdarzył go wielką miłością, tego była pewna. Ja też go pokocham - powiedziała sobie.

Skrećwszy z autostrady, ruszyła wolno wijącym się, poznaczo- nym koleinami, żwirowym podjazdem, który biegł wzdłuż zaniedbanego, lecz soczyście zielonego trawnika. Wiedziała, że kolor nadają mu głównie palusznik krwawy oraz inne niepożądane chwasty, które się tam rozpanoszyły, ale to nie umniejszało jej życzliwych uczuć w stosunku do każdego źdźbła. Majestatyczne, choć od dawna niepielęgowane drzewa i krzewy ozdabiające trawnik miały się świetnie w żyznej nadrzecznej glebie.

Leonie objechała dom od strony północnej i zatrzymała się na zapuszczonym podwórzu między domem a powozownią, obecnie służącą jako garaż. Stała tam już dość stara, ale niezawodna acura Mossy. Zanim Leonie zdążyła zaparkować volvo, z tylnych drzwi domu wyszła żwawym krokiem, niepasującym do jej drobnej postaci, sama Mossy z nieodłącznym papierosem w dłoni.

- Cholera jasna, Leonie - zawołała ostrym głosem z arystokratycznym brytyjskim akcentem, podchodząc do samochodu - nie spieszyłaś się zbytnio!

Leonie prędko odpięła pas, chwyciła ogromną skórzaną torbę i wysiadła z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Mossy! - prawie pisnęła, zarzucając przyjaciółce ramiona na szyję. - Co za radość dla moich zmęczonych oczu!

Ucałowały się w policzki, nie zwracając uwagi na makijaż i fryzurę.

Mossy odsunęła się o krok i zmierzyła Leonie wzrokiem od stóp do głów.

- Ależ jesteśmy dziś szykowne - powiedziała z leciutką kpina. - Pewnie już słyszałaś, że ten architekt to prawdziwy przystojniak.

Leonie dostrzegła przewrotny błysk w oku Mossy i szybko odparła:

- Co do architekta, nie wiem o nim nic poza tym, co sama mi mówiłaś, moja droga. - Skierowała na przyjaciółkę oskarżycielski palec. - A co do ciuchów, to... - Przewiesiła torbę przez ramię i obróciła się w miejscu, po czym stanęła twarzą do Mossy. - Podoba ci się?

- Jeszcze jak - odrzekła tamta, dotykając gruzełkowej beżowo-czekoladowej wełny. - Czyje to dzieło, jeśli wolno spytać?

- Yohji Yamamoto. Prawda, że świetne?

- Boskie! - odrzekła Mossy. - Ten żakiet z szamerowaniem jest fantastyczny. Och, a te długie, superszerokie spodnie! - Wypuściła wielki kłęb dymu. - Ale zdaje się, że poczciwy Yohji dobrze się bawi kosztem Coco Chanel.

- Składa jej hołd, Mossy, składa jej hołd. - Leonie stanęła w obronie projektanta.

- Niech ci będzie - mruknęła przyjaciółka, z powątpiewaniem unosząc brwi. Strzepnęła na ziemię długi słupek popiołu. - W każdym razie przy twoich włosach ten komplet wygląda świetnie.

Leonie przeczesła dłonią lśniące, półdługie włosy, w których zaśniały kolorowe pasemka.

- Dziękujemy ci, Clairol! - wyrecytowała śpiewnie z iskierkami rozbawienia w czarnych oczach.

Mossy roześmiała się, po czym przechyliła głowę na bok i krytycznie przyjrzała się nogom Leonie.

- Musisz uważać na te cudne buty, skarbie - powiedziała. - Szkoda by było upaprać parę tysięcy dolców w wiejskim błocie.

Leonie spojrzała na swoje czekoladowe skórzane botki.

- Parę patyków! - prychnęła. - Co prawda są od Christiana Louboutins, ale nie kosztowały aż tyle - odparła obronnym tonem.

- Żartuję, skarbie - uspokoiła ją przyjaciółka. - Wejźmy do środka. Mam dla ciebie małą niespodziankę.

- Och, Mossy, co to takiego? - zapytała Leonie, gdy razem szły do tylnych drzwi.

Przyjaciółka zlekceważyła jednak pytanie, przytrzymała otwarte drzwi i gestem zaprosiła Leonie do domu.

- Starsi mają pierwszeństwo, skarbie.

Leonie roześmiała się i weszła do holu.

- A teraz do salonu - komenderowała Mossy. - Rozgość się. Wracam za sekundę.

- Wielki Boże, Mossy - westchnęła poirytowana Leonie - po co te tajemnice?



Jej obcasy zastukały głośno na parkiecie, gdy szła do szerokich, wytwornych, klasycznie zdobionych drzwi salonu. Stała przy wejściu, wzięła się pod boki i z uwagą przepatrywała wszystkie najdrobniejsze detale przestronnego, wysokiego pokoju. Milionowy raz zadała sobie pytanie, czy kiedy zdecydowała się kupić i odnowić tę rudere, na pewno była przy zdrowych zmysłach.

- Nie jest to słodki przytulny domek - mruknęła do siebie.

Tapeta odłaziła wielkimi płatami od popękanego tynku, na drewnianych wykończeniach łuszczyła się farba. Kominek obudowano niegdyś białym, teraz brudnym i popękanym marmurem. A podłogi... Leonie wzdrzygnęła się. Dawniej piękny, obecnie zniszczony parkiet był w takim stanie, że zastanawiała się, czy ktokolwiek zdoła go uratować.

Najgorsze, że dziś pod brudem pokrywającym wszystko dookoła nie umiała dostrzec magii. Widziała tylko kosztowną i czasochłonną dłubaninę. Przynajmniej na razie.

Nie wierzę, że mam tu mieszkać podczas tych wszystkich robót, pomyślała. Ale chciała być blisko, aby dopilnować wszystkiego osobiście, no i oczywiście dochodziły względy finansowe. Nie zamierzała wydawać cennych dolarów na wynajmowanie czegoś na kilka miesięcy, skoro była szansa, że zdoła się jakoś urządzać tutaj, nawet mimo remontu.

Nie chcę teraz o tym myśleć, postanowiła. Dosyć. Dzisiaj będę Scarlett O'Hara.

Spojrzała na ogromną sofę w stylu napoleońskim, przykrytą teraz kilkoma plastikowymi płachtami. Był to jeden z mebli, które wzięła z magazynu w Nowym Jorku i przysłała tutaj. Posłuży jej za wygodne łóżko, a w dzień będzie kanapą.

Podeszła wolno do sofy, pozwoliła, aby torba zsunęła się na podłogę, i zmusiła się, by usiąść na wilgotnej płachcie. Skrzywiła się, słysząc okropny chrzęszczący odgłos, jaki wydał plastik pod jej ciężarem. Potem zdjęła buty i rozprostowała nogi. Specjalnie kazała sobie zrobić sofę tak długą, by móc się na niej swobodnie wyciągnąć przy kimś, kto siedział na drugim końcu. Ów ktoś mógłby trzymać na kolanach jej stopy. Była to przyjemna myśl - w tamtym czasie.

Poruszyła palcami u nóg i rozmasowała łydki. Otóż to. O wiele lepiej. Ale ledwo zdążyła się usadowić, kiedy usłyszała kroki Mossy w holu.

- Proszę bardzo - oznajmiła przyjaciółka, wchodząc do salonu. Niosła srebrną tacę z dwoma wysmukłymi kieliszkami i butelką szampana w oszronionym srebrnym kubełku.

- Och, Mossy! - zawołała Leonie, zrywając się z sofy. - To niepotrzebne. - Uśmiechnęła się szeroko. - Ale takie miłe.

Podskoczyła, żeby pomóc, lecz przyjaciółka postawiła już tacę na odwróconej skrzynce i nalewała szampana do kieliszków. Potem podała jeden Leonie, która z wdzięcznością go przyjęła.

- Wypijmy - powiedziała Mossy, unosząc kieliszek w toaście. - Darujemy sobie zwyczajowy rytuał z chlebem i solą, dobrze? Tu trzeba szampana. Musimy uczcić twoje przybycie na tę świętą ziemię.

- Wiesz, jesteś naprawdę niemożliwa - odrzekła Leonie, podnosząc kieliszek i stukając się z Mossy. W jej oczach odbił się błękitny refleks. Złożyła w myślach podziękowania losowi, czując gorącą wdzięczność za tę najlepszą ze wszystkich przyjaciółkę, i nagle musiała otrzeć łzy, które znienacka napłynęły jej do oczu.

Upiła łyżeczek. Wytrawny szampan smakował wybornie, lubiła to uczucie, gdy bąbelki szczypały w język. Odchrząknęła i zdołała wykrztusić lekko drżącym głosem:

- Pycha, Mossy, niebiański. Co za niespodzianka.

- To tylko niedrogi perrierjouet - odparła lekceważąco tamta. - Z pewnością nie taki, do jakiego przywykłaś.

- Och, daj spokój, Moss. Znasz mnie przecież. Jeżeli nawet kiedyś byłam snobką na punkcie win, to teraz mnie nie stać na takie luksusy. - Posłała jej znaczące spojrzenie. - W mojej obecnej trudnej sytuacji - dodała z westchnieniem, opierając się na poduszkach sofy.

Mossy zrzuciła pantofle na niskim obcasie, usiadła obok Leonie i podwinęła pod siebie nogi.

- Nie martw się i nie myśl o tym - powiedziała krzepiącym tonem. - Jestem pewna, że wkrótce wszystko zmieni się na lepsze.

- Wiem. Tylko... Tylko czasem cholernie trudno mi przyzwyczać się do tych wszystkich zmian - westchnęła z żalem Leonie.

- Pamiętaj, co mówią ci od teorii Dwunastu Kroków i inne grupy propagujące pozytywne myślenie? To zaledwie chwila.

Leonie jęknęła.

- Tak, Mossy. Znam jeszcze jedno stare powiedzonko: Wszystko przemienie.

- Cholerne dupki - syknęła Mossy przez zaciśnięte zęby. Wypiła łyk szampana i nagle się uśmiechnęła. - Ale wiesz co, Leonie? Mają rację.

Leonie wpatrywała się ponuro w swój kieliszek. Zamoczyła palec w szampanie, oblizwała go i podniosła wzrok.

- Chyba tak - mruknęła.

- Wiem, że mają - oświadczyła Mossy - chociaż w tej chwili nie jest to wielka pociecha, prawda?

Leonie pokręciła głową.

Przyjaciółka przyjrzała się jej w zamyśleniu.

- Powiem ci coś jeszcze, Leonie - ciągnęła. - Myślę, że kupno tego domu - zatoczyła ręką wielkie koło, jakby chcąc objąć całą posiadłość - było jedną z najlepszych rzeczy, jakie mogłaś teraz dla siebie zrobić. Będiesz taka zajęta, że nie znajdziesz czasu na smutek.

Leonie uniosła brwi i rozejrzała się po pokoju.

- Masz absolutną rację. - Roześmiała się i łyknęła szampana.

- Pamiętaj, co zawsze powtarzam. - Mossy umilkła na chwilę i szybko podniosła do ust swój kieliszek. - Jeśli ma się za dużo na talerzu, po prostu je się szybciej - i mocniej gryzie.

Leonie parsknęła śmiechem.

- Na pewno sobie przypomnę, kiedy będę tu tkwić po kolana w gruzie podczas remontu.

- No tak, to wielkie wyzwanie, skarbie - przyznała Mossy. - Ale jestem pewna, że sobie poradzisz.

- Muszę - odparła Leonie z przekonaniem w głosie. - W miarę postępu prac będę się przenosić z pokoju do pokoju. Wystarczy mi jedno pomieszczenie. Mam nadzieję, że uda się to tak urządzić, że na jakiś czas rozbiję obóz tu, w salonie, a potem przeniosę się do którejś sypialni na piętrze albo na odwrot. Będę się przemieszczać zależnie od tego, gdzie rozpoczną się roboty.

- To nie będzie łatwe - zauważyła przyjaciółka.

- Wiem. - Leonie pokiwała głową. - Ale to bez różnicy, Mossy. Kupiłam płytkę elektryczną do gotowania...

- Płytkę elektryczną?! - zawołała ze zgrozą.

- Właśnie. - Leonie parsknęła śmiechem. - Nie rób takiej przerażonej miny! Mogą się zdarzyć dni, kiedy z powodu robót nie da się używać kuchni. Dlatego mam płytkę i inne rzeczy, z którymi zaszycę się w jakimś pokoju, nikomu nie przeszkadzając.

- Muszę przyznać, że masz w sobie ducha pionierów.

- Dam sobie radę - oświadczyła dziarsko Leonie. - Jeżeli przez jakiś czas będę musiała myć się w miednicy, niech tam! Jeżeli będę musiała jadać tylko pizzę na wynos albo kanapki, w porządku! Jeżeli będziesz mnie widywać wyłącznie w starych dżinsach, trudno!

- Brawo! - zawołała Mossy.

- Otóż to! - powiedziała Leonie, waląc pięścią w sofę.

- O cholera. - Przyjaciółka szukała czegoś po kieszeniach żakietu. - Zostawiłam papierosy i zapalniczkę w kuchni. Muszę też iść do kibelka. Za moment wracam. - Zerwała się i boso wyszła z pokoju.

Leonie popatrzyła za nią z czułym uśmiechem. Mossy jest jedyna w swoim rodzaju, pomyślała. Jedyna.

Wróciła pamięcią do ich pierwszego spotkania. Ależ to był szczęśliwy zbieg okoliczności! Mossy weszła do Ozdób Architektonicznych, aby obejrzeć niewielki witraż stojący na wystawie. Osłupiała, gdy zobaczyła cenę, prawdę mówiąc, osłupiała na widok metek na wszystkich artykułach, po czym poinformowała Leonie z całą otwartością, że w swojej okolicy mogłaby bez trudu znaleźć podobne przedmioty za ułamek tych cen. Okazało się, że stale widuje tego rodzaju rzeczy podczas swoich wypraw na wieś, gdy pośredniczy w kupnie i sprzedaży nieruchomości. „Wie pani, rozsypujące się domy, walące się stodoły, zapuszczone ogrody. W niektórych wypadkach właściciele są nawet zadowoleni, gdy mogą się pozbyć takich rupieci. Czasami nie mają pojęcia, co posiadają. Co więcej, nie obchodzi ich to. Chętnie też przyjmą od pani gotówkę”.

Tego wieczoru zjadły razem kolację i Mossy została jedną ze „szperaczek” Leonie - dostawała swoją dolę za rzeczy, które znalazła, a Leonie kupiła do sklepu. Od samego początku była to bardzo udana spółka i zarazem znajomość.

Przez ostatnie kilka lat Leonie odbyła niezliczoną ilość podróży, aby spotkać się z przyjaciółką i obejrzeć jej odkrycia; najczęściej też z miejsca wszystko kupowała. Przekonała się, że Mossy ma świetne oko do staroci.

I tupet. W przyjazny, lecz stanowczy sposób często po prostu zagadywała nieznanym, czy nie chcieliby się pozbyć jakiejś kolumny, misy ogrodowej lub czegoś tam jeszcze. Często musiała wykorzystywać cały swój urok i używać subtelnej perswazji, aby nakłonić kogoś do rozstania się ze swymi skarbami. I obu im nieźle się to opłacało.

To, co się zaczęło jako wzajemne uznanie dla smykałki do interesów, wkrótce przerodziło się w podziw dla dowcipu i inteligencji współpracownicy, a w końcu dojrzało i zmieniło się w swobodną zażyłość i bezkrytyczną wzajemną akceptację.

Mimo że żyły w całkowicie odrębnych sferach - przynajmniej na pozór - wydawały się ulepione z tej samej gliny.

Leonie była żoną ogromnie bogatego biznesmena z Wall Street, obracała się w nieznanym trosk świecie socjety z Upper East Side na Manhattanie i należała do kręgu istot uprzywilejowanych.

W przeciwieństwie do niej Mossy, od dawna rozwiedziona, żyła wygodnie, choć z konieczności oszczędnie, i miała znacznie mniej wyszukane i skromniejsze kontakty towarzyskie na wsi. Było to życie pełne wyrzeczeń.

Jednak stały się sobie bliskie niczym siostry.

Młodzięcza spontaniczność Mossy, jej specyficzne poczucie humoru, dobroć i życzliwość, jej niezłomnie optymistyczne, choć praktyczne i rozsądne podejście do życia, a przy tym bezwzględna i niezawodna lojalność podbiły Leonie. Nic dziwnego, gdyż podobne cechy miała sama.

To więc z Mossy przynajmniej częściowo skłoniła Leonie do osiedlenia się w tej okolicy.

Podniosła oczy, gdyż usłyszała odgłos kroków powracającej przyjaciółki. Mossy odstawiła szampana na kominek, umieściła koło butelki popielniczkę i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła chmurę dymu w kierunku sufitu, mierząc pokój krytycznym spojrzeniem.

Przez wszystkie lata ich znajomości Mossy prawie wcale się nie zmieniła, pomyślała Leonie. W żadnym wypadku nie wyglądała na pięćdziesiąt kilka lat, do których się przyznawała.

Była szczupła i drobna, delikatnie zbudowana, mierzyła nie więcej niż sto pięćdziesiąt kilka centymetrów, i miała małe dłonie oraz stopy. Dzięki zajęciom z aerobiku trzy razy w tygodniu i zdrowym nawykom żywieniowym zachowywała znakomitą formę fizyczną, kipiała energią i entuzjazmem. Pomimo że bez przerwy paliła.

Jej włosy natychmiast przyciągały uwagę, ufarbowane na wściekły, płomiennie pomarańczowy kolor, który nawet nie udawał, że jest naturalny lub choćby zbliżony do prawdziwego. Jak Leonie zawsze jej czule powtarzała, taki kolor w ogóle nie występuje w przyrodzie. Przypominały dekorację tortu zrobionego na jakąś wyjątkową okazję: zawsze były uczesane tak, jakby Mossy wetknęła starannie polakierowany paznokieć w gniazdko elektryczne.

Ale ta absolutnie nienaturalna, wręcz szokująca fryzura w wypadku Mossy wydawała się całkowicie normalna, pasowała do jej osobowości, uznała Leonie, Mossy mogła wyglądać tak, jak nikt inny by się nie odważył.

O ile jej włosy jedynie zwracały uwagę, to oczy ją przykuwały. Czarowały i zniewalały każdego. Barwy topazu, niemal bursztynu, ze złotymi iskierkami, przenikliwe i krytyczne, były to oczy, które rzadko przegapiały okazję. Leonie myślała, że są wszechwiedzące i mogą odgadnąć najgłębiej ukryte myśli czy sekrety.

Mossy nigdy nie wyglądała inaczej niż nienagannie, zawsze miała dyskretny, lecz precyzyjnie zrobiony makijaż i mimo że nie mogła wydawać dużo na ciuchy, zawsze nosiła rzeczy proste, eleganckie i w najlepszym guście. Tak jak dziś: miała na sobie doskonale skrojone szare spodnie, dobraną kolorem bluzkę i jaskraworóżowy żakiet.

Teraz wyszczyła ostatni łyk szampana i podniosła butelkę.

- Dolać ci bąbelków? - zapytała.

- Jasne. - Leonie wyciągnęła do niej kieliszek, jednak przez moment się zawahała. - Ale musisz obiecać, że nie pozwolisz mi się ululać, zanim przyjedzie ten architekt.

Przyjaciółka spojrzała na zegarek.

- Ciekawe, czemu go jeszcze nie ma. Jest już pół godziny spóźniony.

- Widzę, że niepotrzebnie się spieszyłam - powiedziała Leonie. - Tak pędziłam, że przy zjeździe z Taconic wpakowałam się w kufer jakiemś facetowi.

- Co zrobiłaś? - Mossy wytrzeszczyła oczy.

- Wjechałam w kufer jakiemś facetowi przy znaku podporządkowania - wyjaśniła Leonie. - Wiesz, tam na wysokości Chatham, przy zjeździe z Taconic.

- Jasna cholera, Leonie! - zawołała poruszona Mossy. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nic ci nie jest? Na pewno nie jesteś ranna?

Leonie przewróciła oczami.

- Daj spokój, czy wyglądam na ranną? Ledwo go stuknęłam. Nawet samochody się nie porysowały.

- Mój Boże! - westchnęła Mossy. - Mogłaś się zabić!

- Mossy! - zaprotestowała Leonie. - To nie było nic groźnego! Facet powiedział, że nie ma sprawy.

Przyjaciółka chodziła w kółko, gwałtownie zaciągając się papierosem; wpadła w swój najbardziej dramatyczny nastrój. Była teraz sopranem koloraturowym, może Marią Callas, na pełnych obrotach. Nagle zatrzymała się i odwróciła do Leonie.

- Kto to był? Co to za człowiek? Mój Boże, mogłaś trafić na jakiegoś miejscowego bandziora w pikapie. Z bronią! - Dramatycznie wymachiwała w powietrzu zapalonym papierosem. - Mógł cię zastrzelić!

- Ojej, Mossy, przestań. Nic takiego się nie stało. - Leonie zaczęła ją uspokajać. - Facet jechał koszmarnie drogim i brudnym range roverem. Wydawał się nieszkodliwy.

- Nieszkodliwy? Skąd wiesz? Jak wyglądał? - Mossy terkotała niczym karabin maszynowy, nie przerywając nawet dla nabrania tchu. - Kto to był?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Nie zapisałaś jego nazwiska? - Zgasiła papierosa. - To ktoś tu-tejszy?

- Nie mam pojęcia, Mossy! - zawołała z irytacją Leonie. - Obejrzał samochody i pojechał dalej. Nawet się sobie nie przedstawiliśmy. - Umilkła i napiła się jeszcze szampana. - I zupełnie nie wiem, jak wyglądał. Byłam taka zdenerwowana, że nie pamiętam. Zauważyłam tylko oczy i zęby.

- Jak to, oczy i zęby? - dopytywała się przyjaciółka, zapalając kolejnego papierosa.

- No tak. Widziałam duże, białe zęby i oczy... Były... - Leonie próbowała przypomnieć sobie ich kolor - och, nie wiem, jakie. Niebieskie. Nie, raczej zielone. Może. Nie wiem.

Mossy zaciągnęła się głęboko papierosem i wypuściła szaroniebieski obłok dymu.

- Wiesz - powiedziała w końcu mentorskim tonem, nie przestając spacerować - jeżdżąc tutaj, na wsi, musisz bardzo uważać. Ci wszyscy pijacy, kuropatwy, sarny...

- Och, na litość boską - zaprotestowała gorąco Leonie - przecież to ty rozjeżdżasz po kolei wszystkie sarny. - Wycelowała w nią oskarżycielsko palec. - To ty powinnaś mieć licencję na zabijanie. Albo zarejestrować auto jako śmiercionośną broń. Zdziwiłabym się, gdyby mi się zdarzyło znaleźć w okolicy choć jedną żywą sarnę.

Mossy wybuchnęła perlistym śmiechem, wydmuchując kolejną chmurę dymu.

- Oczywiście masz rację. Całkowitą. Te cholerne zwierzaki chyba z daleka wyczuwają mój samochód i czatują na niego w ukryciu.

- Bez wątplenia - odrzekła Leonie. - Może to się przydarzyło naszemu architektowi? Może gdzieś po drodze stuknął sarnę?

Mossy zgasiła papierosa w popielniczce.

- On? Nie - powiedziała, podchodząc do sofy i moszcząc się na niej wygodnie. - Z tego, co słyszałam, jemu wszystko wychodzi jak należy. Naprawdę wszystko.

- Co to właściwie znaczy? - zapytała Leonie.

- To, co ci mówię. Wiesz, wygląda odpowiednio, chodził do odpowiednich szkół, wzenił się w odpowiednią rodzinę z odpowiednią firmą architektoniczną. Obraca się w odpowiednich kręgach. - Jej

twarz przybrała nagle wyraz największej pogardy. - Konie, polowania, spędy towarzyskie, te wszystkie bzdety. Niech to szlag! Mieszka w odpowiednim domu, jeździ odpowiednim samochodem. - Przerwała i w zamyśleniu łyknęła szampana. - I prawdopodobnie pieprzyć się też cholernie odpowiednio i dobrze.

Leonie roześmiała się i uderzyła ją żartobliwie w dłoń.

- Mossy, jesteś nieznośna!

Przyjaciółka uśmiechnęła się lekko, po czym ciągnęła:

- Ale muszę przyznać, że ma doskonałą opinię. Wszyscy bez wyjątku chwalą jego pracę. A przynajmniej nigdy nie słyszałam o nim złego słowa.

- Myślę, że potrafię się dogadać z tym facetem - powiedziała Leonie. - No wiesz, żeby zrozumiał, o co mi chodzi. Nie chcę, aby ktoś mi mówił, co powinnam zrobić.

- Cóż! Przecież to mężczyzna! - odrzekła przyjaciółka z ironią. - Musisz się więc przygotować, że będzie cię traktował co najmniej trochę z góry.

- Och, mam nadzieję, że nie! - zawołała Leonie z niepokojem w głosie.

- Nie chciałam cię straszyć, skarbie - dodała pospiesznie Mossy. - Nie polecałabym ci go, gdybym nie sądziła, że nadaje się do tej roboty. Widziałam jego pracę i uważam, że są wspaniałe. Pierwsza klasa, muszę przyznać. To zdecydowanie najlepszy człowiek do tego zadania. - Zerwała się z sofy, podeszła do kominka i zapaliła kolejnego papierosa. - Mówią, że jest godny zaufania - tłumaczyła dalej. - Nie zedrze z ciebie skóry. A to, moja droga, wyjątek, nie reguła, jeśli chodzi o tutejszych kmiotków wykonujących usługi remontowe. - Rzuciła Leonie znaczące spojrzenie.

- Czyli tak samo, jak wszędzie - zauważyła Leonie. - Tak przynajmniej było w Southampton i Nowym Jorku.

- Przekonasz się, że tu chyba jest jeszcze gorzej. Ale podobno Sam Nicholson jest inny, a poza tym ma dobrą ekipę. Podobno pracownicy są mu bardzo oddani. - Mossy strzepnęła długi słupek popiołu do popielniczki. - Tak jak i ta cała jego żona.

Leonie podniosła oczy.

- Co ty mówisz, Mossy? Żona na pewno jest mu oddana, przecież... - urwała w połowie zdania, ponieważ usłyszała warkot samochodu na podwórku.

- Nareszcie! - powiedziała Mossy. - To pewnie nasz fachowiec.

- To dobrze. - Leonie szybko sięgnęła po botki.



Mossy zgasila papierosa i podeszła do sofy, żeby wlozyc pantofle.

- Nie musisz wstawac. Otworze mu drzwi.

- Wyniose to do kuchni. - Leonie wskazala butelke szampana i kieliszki.

Mossy poszła ku drzwiom, a Leonie pobierala kieliszki i butelke. Złapala pełna niedopałków popielniczkę i postawila na srebrnej tacy, a potem ruszyla w strone kuchni.

Uslyszala szuranie butów, skrzywienie siatkowych drzwi na zawiasach i powitalny szczebiot Mossy. Potem zauwazyła na wprost siebie przyjaciółke, sprawiajaca wrazenie jeszcze drobniejszej niz zwykle, gdyz obok niej, przy drzwiach, stal bardzo wysoki mężczyzna.

- Leonie! - zawolala Mossy. - Twój zaginiony architekt wreszcie dotarl.

- Proszę mi wybaczyć - dal się slyszec głeboki, dźwięczny baryton. - Miałem drobne spotkanie z... - Nagle urwał, gdyż zobaczył Leonie stojaca z taca w dłoniach i wpatrujaca się w niego z otwartymi ustami, jakby ujrzała ducha.

- Leonie, to jest Sam Nicholson, architekt, oczywiście - powiedziala Mossy. - Panie Nicholson, przedstawiam panu Leonie Corinth, moja najdrozsza przyjaciółka i dumna nowa właścicielka tego domu.

Na chwile zapadła cisza. Mossy z ciekawością przenosila wzrok z przybyłego na Leonie i z powrotem na mężczyznę. Nigdy dotąd nie widziala, żeby niewzruszony Sam Nicholson stal jak słup soli, ale nie znała go zbyt dobrze. Leonie także nigdy nie widziala w takiej sytuacji, a ją przeciez znała całkiem dobrze.

W końcu to Sam przerwał niezręczne milczenie.

- Chyba mieliśmy już przyjemność się spotkac.

Na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech, odsłaniajacy bielutkie zęby. Idealne zęby, jak zapamiętała Leonie. A w jego oczach - których barwy nie umiała opisać, pojawil się nagle potny, wręcz szelmowski błysk, jak jej się wydawalo. Zauwazyła teraz, że mają kolor morskiej zieleni z błękitnymi plamkami turkus.

Nagle zrobiło jej się słabo z - z czego? Z zażenowania? O, tak. I to jakiego! Z niedowierzania? Tak, chociaż bez wątpienia stal ot przed nią we własnej osobie mężczyzna, którego stuknęła na szosie. Z zaskoczenia? Absolutnie tak. Nie spodziewala się, że kiedykolwiek go ujrzy.

Czuła wszakże coś jeszcze, coś znacznie potężniejszego. Coś - czy ośmieli się wymówic to słowo choćby w myślach? - co można było określić tylko jako chemię.

Wreszcie Leonie odzyskała zdolność mówienia.

- Zgadza się, mieliśmy już tę przyjemność. - Roześmiała się swobodnie. - Jeżeli można to tak nazwać, biorąc pod uwagę okoliczności. W każdym razie miło mi pana poznać teraz. Zniosę tylko ta-cę do kuchni. Proszę się rozgościć.

- Co, u diabła... - zaczęła mówić Mossy.

- Pani Corinth i ja mieliśmy dziś małe spotkanie przy zjeździe z Taconic - wyjaśnił Sam.

- To był pan! - pisnęła. - Nie do wiary. Jakie to zabawne!

- Dlatego się spóźniłem - dodał. - Musiałem jeszcze zajechać do biura i wziąć parę rzeczy.

- Proszę do salonu - zaproponowała Mossy. - Moja przyjaciółka na pewno zechce pana oprowadzić po domu.

Leonie podsłuchiwała z kuchni, oddychając głęboko i starając się odzyskać panowanie nad sobą. Jej myśli i uczucia utworzyły splątane kłębowisko zmieszania, niepewności oraz rozbawienia i pędziły we wszystkie strony naraz.

Jakie to głupie, uznała, śmiejąc się z własnej reakcji. Ależ to idiotyczne! Co się ze mną dzieje? I dlaczego Mossy mi nie powiedziała, że on tak działa na ludzi? Że jest tak oszałamiająco przystojny?

I co teraz? - zapytała samą siebie.

## Rozdział 3

Leonie stała jak zaczarowana.

Nie zauważyli jej, gdy pojawiła się w cieniu łukowatych drzwi salonu. Obserwowała tamtych dwoje, którzy rozmawiali, spoglądając przez okno na trawnik; oczywiście przyjaciółka paliła papierosa i trąkotała jak najęta.

Ale w obecności tego mężczyzny Mossy sprawiała wrażenie ducha spowitego dymem. Jakby niezupełnie istniała i nie stała obok niego.

Gdyż niemal wbrew własnej woli Leonie skupiła całą swą uwagę na Samie Nicholsonie i wiedziała, że wbrew sobie, mimo całego opanowania, jakie starała się zachować, przepadła.

Przepadła na amen i już.

Istnieli mężczyźni, którzy wywierali na otoczenie magnetyczny wpływ dzięki pieniądзом i pozycji, oraz tacy, którzy fascynowali wszystkich wokół samą swoją obecnością. Według Leonie Sam Nicholson był obdarzony obydwoa rodzajami magnetyzmu. A nawet więcej niż obydwoa. W jego wypadku, uznała, dwa plus dwa daje znacznie więcej niż cztery.

Unosiła się wokół niego aura takiej mocy - i takiej męskości - że wykraczała ona poza oczywiste przymioty fizyczne, choć te były oszałamiające. Pomyślała, że stawia go to na równi z wszystkimi bogami Olimpu.

I podejrzewała, że podobnie jak bogowie, musi być bardzo skomplikowany, może nawet ukrywać jakąś mroczną tajemnicę, a na pewno nie jest z nim łatwo. Niełatwo go poznać. Może niełatwo polubić. Niemniej jednak fascynował ją i przyciągał jak nikt dotąd.

Więc to jest ów zniewalający magnetyzm, pomyślała.

Sam Nicholson to z pewnością najprzystojniejszy i najbardziej pociągający mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała. Przypuszczała, że miał około czterdziestu lat, mierzył przynajmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów, był szczupły, proporcjonalnie zbudowany, z mocną szyją osadzoną na szerokich, silnych ramionach. Wyobrażała sobie pod ciemną skórzaną kurtką potężną klatkę piersiową i mocny tułów przechodzący w wąskie biodra. Gęste jak u chłopca włosy, dłuższe niż nakazywała obecna moda, falowały lekko. Były brązowe, przetykane jaśniejszymi i srebrzystymi pasmami.

Mimo jego opalenizny zauważyła bliźniętę biegnącą po grzbiecie wydatnego nosa. Czyżby go kiedyś złamał? - zaciekała się. W bójkę? Do tego silna, kwadratowa szczeka i stanowcze usta.

Długie nogi w dżinsach i roboczych butach wyglądały zadziwiająco solidnie jak na kogoś tak wysokiego i zdawały się mocno stąpać po ziemi.

Tego rodzaju męskiej urody Leonie nie przywykła oglądać, nawet w opanowanych przez facetów korytarzach na Wall Street. Była to męskość potężna i lekko onieśmielająca - dopóki się nie odwrócił. Wtedy w niesamowitych, zielononiebieskich oczach Sama dostrzegła wyraz smutku i jakby osaczenia.

Kto mógł zranić tego wspaniałego mężczyznę? - zastanawiała się. Co takiego zgotowało życie człowiekowi, dla którego natura była taka hojna - co spowodowało ów zamglony cień w jego spojrzeniu?

Poczuła gwałtowny dreszcz. Nie chciała myśleć o tym, co się z nią dzieje, dlaczego ją to obchodzi, ale nagle zrozumiała, że musi się dowiedzieć wszystkiego o tym mężczyźnie, musi znaleźć sposób, aby go bliżej poznać, choć już teraz przejmowało ją to lękiem.

W tym momencie Sam odwrócił się i zauważył ją; swobodny uśmiech, który rozjaśnił mu twarz, nie do końca zamaskował ów dziwny smutek w oczach.

- O, jesteś - odezwał się dźwięcznym, głębokim głosem, który przeszył ją niczym prąd elektryczny.

Boże, co się ze mną dzieje?, pomyślała. Przecież on czuje się z nami tak swobodnie. Jest rozluźniony, a jednocześnie zachowuje uprzejmy dystans.

- Och, Leonie - wtrąciła się Mossy. - Sam dobrze zna historię tego domu. Musisz go poprosić, żeby ci opowiedział.

- Naprawdę? - Starała się mówić normalnym i wesołym głosem. Szybko przeszła przez pokój i zbliżyła się do nich. - Nie mogę się już doczekać, nie wiem o nim prawie nic.

- O tym domu wiem tylko trochę - zastrzegł się Sam, spoglądając na nią. - Za to sporo wiem o historii ośmiobocznych domów w tych okolicach.

Leonie chciała jednak porozmawiać teraz o interesach, i to prędko, bo czuła, że musi się skupić na czymkolwiek innym niż Sam Nicholson.

- Może najpierw obejdzimy dom, a wykład z historii zrobisz nam później - zaproponowała. - Dobrze?

- W porządku. - Sam zerknął dyskretnie na zegarek. - Chodźmy więc, bo niedługo będę musiał się zbierać.

- Skąd chcesz zacząć? - zapytała Leonie. - Od góry czy od dołu? - Zrobiła gest dłonią. - Od środka czy od zewnątrz?

- Może zaczniemy od piwnicy, następnie przejdziemy na górę, a potem do ogrodu? - mówił teraz jak człowiek interesu.

- Dobry pomysł - uznała. - Schody do piwnicy są w kuchni. Chodź ze mną, zaprowadzę cię. - Zwróciła się do Mossy: - Moss, idziesz z nami?

- Jeśli nie macie nic przeciw temu, to zostanę tutaj - odrzekła przyjaciółka. - Oprawdzałam klientów po tym domu tyle razy, że znam tutaj wszystkie myszy.

Sam i Leonie roześmiali się i ruszyli przez hol do kuchni.

Leonie wcisnęła włącznik światła na ścianie i ostrożnie poprowadziła Sama na dół po stromych stopniach.

- Okropnie tu ponuro - zauważyła przepaszającym tonem. - Jak w horrorze.

Doszła do końca schodów i zapaliła następne światło.

- Ale pocieszające, że chyba jest sucho. Mossy zaglądała tu przy różnej pogodzie i nigdy nie zauważyła, żeby gdzieś przeciekała woda.

- Wszystkie urządzenia są na dole? - zapytał Sam.

- Tak. Przynajmniej tak mi się zdaje - powiedziała, odgarniając z twarzy pajęczynę. - Piec olejowy. Podgrzewacz do wody. Hydrofor. Podłączenia do pralki i suszarki. Wszystkie te wspaniałości.

Sam zaczął się rozglądać dookoła w niesamowitym, nierównym świetle rzucanym przez gołe żarówki u sufitu.

- Masz sprawozdanie inżynierów? - Odwrócił się i spojrzał na nią pytająco.

- Nie. - Leonie wruszyła ramionami. - Nie kazałam go robić, bo doszłam do wniosku, że w najgorszym razie i tak wszystko trzeba będzie wymienić.

- Więc po co wydawać fortunę, żeby ktoś ci powiedział dokładnie to samo, tak? - Znow zobaczyła błysk jego idealnych, białych zębów.

- Właśnie - przytaknęła, odgarniając z oczu kasztanowe pasmo włosów. - Czyli gramy tym, co mamy.

- W porządku - powiedział i zaczął obchodzić pomieszczenie.

Zatrzymał się przy ogromnym, starym piecu, przykucnął i obejrzał go dokładnie, po czym wyprostował się i zbadał stan kanałów. Następnie sprawdził bojler i hydrofor oraz starożytne skrzynki z bezpiecznikami. Wreszcie zaczął oglądać kamienne fundamenty i ogromne belki podtrzymujące konstrukcję domu.

Leonie obserwowała go, gdy wolno chodził po piwnicy, podziwiając i niemal głośząc ciężkie, ręcznie ciosane drewniane podpory.

- Teraz już takich nie robią - oświadczył.

- A te są dobre? - zapytała na wpuł żartobliwie.

- Bardzo, bardzo dobre - odparł poważnie.

- Są naprawdę piękne, prawda? - zauważyła, lekko pocierając palcami jedną z belek i poklepując ją.

Sam pokiwał głową.

- Tak, ja też tak uważam - powiedział. - To jeden z powodów, dla których lubię dokonywać przeróbek starych stodół. Czasem można wykorzystać to wyjątkowe belkowanie i stworzyć piękne pokoje.

Leonie była zadowolona, słysząc zachwyt w jego głosie. Dostrzegając piękno, siłę i możliwości w czymś tak prostym jak te stare belki. Może, pomyślała, Sam Nicholson jest owym rzadkim okazem: mężczyzną obdarzonym wyobraźnią. Nie mówiąc o tym, że ma fajny tyłek.

Nadal rozglądał się wokół, od czasu do czasu mruczając coś do siebie, niekiedy zadając pytania, całkowicie pochłonięty tym, co robi. W końcu zwrócił się do niej.

- Wracajmy na górę - zaproponował. - Tu obejrzałem chyba już wszystko, co chciałem.

Leonie nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy. Był zadowolony z tego, co widział? Rozczarowany? Przerażony? Nie umiała odgadnąć, o czym myślał.

- Jasne - odrzekła i poszła ku schodom.

- Zgaszę tu światło - powiedział - a ty możesz już iść.

Szarmancko przepuścił ją przodem i ruszył za nią, bez powodzenia starając się nie wlepić oczu w zgrabną sylwetkę podkreślona kosztownymi ciuzzkami.

Ale świetna kobieta, pomyślał.

Podziwiał jej zręczne kroki na stromych stopniach, szybkie i zdecydowane, chociaż miała buty na wysokich obcasach. Jej żywy, energiczny sposób poruszania się świadczył o śmiałym duchu. Doceniał widoczny zapał Leonie i brak lęku przed tym przedsięwzięciem i wszystkim, co się z nim wiązało. To musi być odważna kobieta. Przepuszczał też, że mimo wyrafinowanego, eleganckiego wyglądu nie jest osobą, która boi się fizycznej pracy.

Podobało mu się to wszystko. Nawet bardzo.

Leonie weszła na schody i odwróciła się do niego.

- Teraz kuchnia? Zgadzasz się?

- Jasne - powiedział, wyłączając światło, i zamknął za sobą drzwi do piwnicy.

Leonie oparła się na rękach i usiadła na blacie kuchennym.

Skrzywiła się, widząc wokół ślady czyichś kiepskich prób remontu sprzed lat.

- Wiesz, nie rozmawialiśmy jeszcze o ogólnym podejściu do renowacji. Moim zdaniem to doskonałe miejsce, żeby zacząć.

- Świetny pomysł - zgodził się Sam. - Ustalmy to teraz, zanim obejrzymy resztę nieruchomości. W tej chwili nie wiem, jak daleko chcesz się posunąć. - Popatrzył na nią spokojnie. - Renowacja dla różnych ludzi może oznaczać różne rzeczy. Począwszy od zburzenia domu, a skończywszy wyłącznie na położeniu świeżej farby.

Leonie roześmiała się beztrasko.

- To nie jest Southampton czy Beverly Hills, więc z pewnością nie biorę pod uwagę zburzenia domu.

- Cieszę się, że to mówisz - odrzekł. - Wyrządziłabyś wielką szkodę historii architektury.

- Z drugiej strony - ciągnęła - trzeba tu będzie zrobić znacznie więcej niż tylko wszystko odmalować. Tak jak tutaj. - Zeskoczyła z blatu. - Ta podłoga. To okropne, wstrętne, obrzydliwe linoleum!

- Przepuszczam, że pod tym paskudstwem - Sam czubkiem buta uniósł naderwany kawałek wykładziny - znajdziesz podłogę z sosnowych desek.

- Miałam nadzieję, że to powiesz! - zawołała z radością.

- Przepuszczam też, że da się ją doczyścić i będzie wyglądała jak nowa, jasna i świeża. - Tak jak ty, pomyślał. Po chwili dodał na głos: - Jeśli tak właśnie chcesz podejść do remontu.

- Właśnie o to mi chodziło - potwierdziła. - Zamierzam nadać kuchni wiejski charakter, ale z wszelkimi nowoczesnymi wygodami. I oczywiście wszystkie urządzenia mają być nowe. Jest jedno

ale. I to duże. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Tam, gdzie to będzie możliwe, chcę wykorzystać oryginalne rzeczy. Jak te stare szafki. Podoba mi się ich kształt i przeszklone drzwiczki, pasują do nich te stare garnki. Sądziś, że warto je odrestaurować? - Spojrzała na niego pytająco.

- To nie będzie tanie - oświadczył - ale na pewno da się zrobić. Ja bym się na to zdecydował. Można je oszlifować i potem przetrzeć woskiem albo pomalować, jak wolisz. A jeżeli jakieś części wymagają wymiany, dopasujemy je. To nie problem - Urwał znowu, mierząc ją uważnym spojrzeniem. - Teraz chyba mam już dokładne pojęcie, o co ci chodzi.

Leonie uśmiechnęła się z wahaniem.

- Mam nadzieję. Nie zawsze potrafię jasno wyrazić swoje pomysły słowami zrozumiałymi dla innych. Czasami... Czasami czuję się, jakbym nadawała na innej fali.

- Zrozumiałem cię świetnie - zapewnił ją.

- Dzięki. - Poczwała, że się rumieni, i odwróciła się, nagle zakłopotana. - To co, może pójdziemy dalej? Widzisz ten okropny obniżony sufit? - Uniosła rękę. - Chcę to zdjąć. Nie mam pojęcia, co tam znajdziemy, ale ta dykta musi zniknąć.

- Na górze są prawdopodobnie piękne stare belki, które zostały schowane pod dyktą, kiedy ktoś postanowił zmodernizować kuchnię. O ile zechcesz je wykorzystać.

- Oczywiście! - wykrzyknęła z entuzjazmem.

Ustaliwszy, co jeszcze należy zrobić w kuchni, Leonie i Sam przenieśli się do jadalni i biblioteki, przez cały czas w podekscytowaniu rzucając pomysły prac, które należało wykonać. Ich propozycje okazywały się niemal identyczne. Chyba że, stwierdziła w duchu Leonie z nutą nietypowego dla niej cynizmu, z niego taki artysta, który wie, co i kiedy powiedzieć.

Ale jakoś nie chciało jej się wierzyć, że tak jest rzeczywiście. Sam okazywał spontaniczny, naturalny entuzjazm w stosunku do tego domu i wszystkiego, o czym rozmawiali, a swoje opinie wygłaszał bez wahania. Zresztą po co miałyby mnie oszukiwać? - pytała samą siebie.

- Więc - powiedziała wreszcie - to będzie chyba wszystko na dole, poza salonem. Może go obejrzymy, a potem przeniesiemy się na górę?

- W porządku - odrzekł i poszedł za nią do salonu, gdzie znaleźli Mossy, rozłożoną na sofie i przeglądającą włoskie wydanie „Vo-



gue'a". Spowijała ją znajoma mgiełka dymu papierosowego, towarzysząca jej zawsze i wszędzie.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - odezwała się beztrzesko. - Wzięłam sobie jedno z twoich czasopism i oglądam wszystkie te cudowne rzeczy, na które nigdy nie będę mogła sobie pozwolić. - Popatrzyła na nich sponad kolorowych fotografii. - Chociaż sądząc z wyglądu tych modelek, one też nie mogą - dodała z ironią. - Wyglądają, jakby wszystkie ciężko zarobione dolary wydawały na heroinę.

Oboje skwitowali śmiechem jej uwagę.

- Nie będziemy ci przeszkadzać, Mossy - powiedziała Leonie. - Chcemy tylko zaplanować pewne przeróbki. Nie zabawimy tu długo.

- Siedźcie choćby całą wieczność - odparła przyjaciółka. - Właśnie zaczęłam planować całkowitą przeróbkę siebie.

Leonie i Sam wymienili rozbawione spojrzenia. Następnie Leonie wróciła do sprawy.

- Tutaj też, jak i na całym parterze, martwią mnie te podłogi. - Wskazała na porysowany i popękany parkiet, w którym, niczym w gigantycznej układance, brakowało wielu niegdyś pięknych i starannie dopasowanych kawałków. - Mam sobie dać z tym spokój, czy uważasz, że można go uratować?

- Absolutnie można - zapewnił ją z przekonaniem. - I mam nadzieję, że się na to zdecydujesz. - Przykucnął, podniósł odłamany fragment i dokładnie mu się przyjrzał. - Jest kilka miejsc, gdzie można dostać drewno, którym da się uzupełnić te braki - powiedział, wstając i podsuwając jej przed oczy kawałek klepki. - Mam też bardzo utalentowanych pracowników, którzy potrafią wykonać takie naprawy. To naprawdę nie jest skomplikowana robota, tylko trochę żmudna i czasochłonna.

- Zachwyliłam się tym parkietem - wyznała Leonie. - Stanę na głowie, żeby go uratować. - Wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po pęknięciu w tynku. - A co z tym, jak myślisz? Czy to będzie wielki problem?

- Jeżeli ty masz pieniądze, ja mam ludzi - odparł z uśmiechem.

- No to w porządku - skwitowała.

Oglądali kominki, ich obudowy, okna, stiuki, tak jak w innych pomieszczeniach na parterze, zajrzeli też do malutkiej toalety obok holu.

Przez cały czas analizowali różne możliwości uratowania zrujnowanego domostwa. Następnie eleganckimi, ale zniszczonymi przez upływ czasu i nieco chwiejnymi schodami podążyli do sypialni na piętrze.

- Jak widzisz, jedyne ślady dawnej świetności zachowały się na dole. Góra jest całkowicie zapuszczona. Kolejni właściciele zabudowali kominki i zachlapali ścianki tynkiem - i to byle jak. Zerwali nawet część stiuków - powiedziała Leonie.

Sam chodził od pokoju do pokoju, oglądał je szybko, tu popukał w ścianę, tam tupnął w podłogę.

W końcu odwrócił się do Leonie.

- Wiesz, to wygląda dużo gorzej, niż jest naprawdę. Wystarczy chwila, żeby otworzyć i udrożnić kominki oraz odnowić zdobienia, jeżeli się na to decydujesz.

- Chcę, żeby było dokładnie tak jak kiedyś, dawno temu. Włącznie z gipsaturami, a wiem, że to oznacza mnóstwo pracy - odrzekła stanowczym tonem.

- To też nie będzie trudne - pocieszył ją Sam - ponieważ wygląda mi to na gotowe stiuki.

Leonie, pogrążona we własnych myślach, przechodziła w milczeniu z pomieszczenia do pomieszczenia, a Sam jej towarzyszył.

Zatrzymała się nagle.

- Myślę, że jedyna trudniejsza rzecz, jaką chcę tu zrobić, to urządzić dodatkowe łazienki, ale tak, żeby nie naruszyć stylu tego domu. - Odwróciła się do Sama i spojrzała mu w twarz. - To przy tym będę najbardziej potrzebować pomocy - oświadczyła. - Całkowicie polegam na twojej wiedzy i pomysłach.

- To nie będzie łatwe - przyznał Sam - ale jestem pewien, że coś wymyślimy.

- Jeżeli ja mam pieniądze, to ty musisz wiedzieć, jak to zrobić, prawda? - przypomniała mu.

- Zgadza się. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej.

Ten uśmiech, zauważyła Leonie, prawie rozjaśnił, chociaż nie całkiem, jego piękne, smutne, zielononiebieskie oczy.

Nagle znów ogarnęło ją zakłopotanie, chociaż teraz już czuła się swobodniej przy tym mężczyźnie. Uświadomiła sobie ironię owego faktu i wszystko razem wytrąciło ją z równowagi.

Zajmij się czymś, powiedziała sobie. Bezczyność, jak powtarzała jej matka, to okazja dla diabła. Pospiesznie wróciła do dalszych kwestii związanych z remontem.

- Skoro już tu jesteśmy, to może wejdziemy, aby zobaczyć poddasze i wieżyczkę?

- Oczywiście - zgodził się Sam. - Powiniennem obejrzeć dach od tej strony, aby sprawdzić, w jakim jest stanie.

Leonie poprowadziła go w kierunku wąskich schodów; Sam szedł tuż za nią i znów nie mógł oderwać wzroku od zgrabnych kształtów kobiety zręcznie pokonującej strome stopnie.

Nagle uświadomił sobie, że powinien się stąd wynosić, ale jednocześnie poczuł inny, znacznie silniejszy impuls. Nie chcę jeszcze odjeżdżać, pomyślał.

Leonie otworzyła drzwi u szczytu schodów i weszła na poddasze. Sam przystanął w progu, gdy przekreśliła włącznik światła.

- Fiuu! - gwizdnął cicho, rozglądając się po wielkim pomieszczeniu.

- Robi na tobie takie wrażenie jak na mnie, kiedy zobaczyłam to miejsce po raz pierwszy? - zapytała z nutką przekory, wiedząc prawie na pewno, że tak jest.

- Wielki Boże! - westchnął z zachwytem w głosie. - To marzenie każdego architekta. Co za możliwości!

Rozglądał się po ośmiobocznym poddaszu z ośmioma okrągłymi oknami dookoła. Pośrodku znajdowały się małe schody wiodące do przeszklonej wieżyczki.

- Popatrz teraz - powiedziała z dumą Leonie. Wyłączyła światło i spojrzała na Sama, ciekawa jego reakcji.

Światło wczesnego wieczoru zalało poddasze ze wszystkich stron - wpadało z wejścia do wieżyczki i z okrągłych okien. Było rozproszone i łagodne, ale zniewalająco piękne, rozjaśniało cały pokój niemal nieziemską poświatą.

- Nie zapalaj jeszcze lampy - poprosił Sam i zaczął wolno iść od okna do okna, podziwiając roztaczający się widok na wszystkie strony świata. Następnie wspiał się na wieżyczkę, a po chwili zszedł i stanął koło Leonie.

Spojrzała na niego pytająco.

- Co chciałabyś tu zrobić? - zapytał.

- Mam parę pomysłów, ale jeszcze nie jestem zdecydowana - odzekała z wahaniem. - Większość ludzi urządziłaby tu chyba pokoje dla służących albo dla dzieci. Wiesz, żeby trzymały się z daleka od wytwornych wnętrz.

- Masz rację - powiedział ze śmiechem.

- Ale ja uważam, że byłaby tu wspaniała sypialnia. Wyeksponowane belki. Skośne sufity. Gigantyczna, z ogromnymi łazienkami dla niego i dla niej, a także z małym barkiem i lodówką, żeby nie musieć schodzić do kuchni, gdy zechce się coś przegryźć w środku nocy. - Na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. - To byłoby coś

w rodzaju azylu, schronienia, z dala od reszty domu, wręcz z dala od reszty świata. Wspaniałe miejsce, żeby pomedytować, posiedzieć w samotności. Albo z kimś wyjątkowym. - Spojrzała mu w oczy. - Jak sądzisz?

- Fantastyczny pomysł - zachwycił się Sam. - To jakby oddzielny świat. Całkowicie inny. Zmieniałby się wraz ze światłem przez cały dzień i w nocy. Będąc w samym centrum domu, człowiek znalazłby się jednocześnie blisko natury - słońca, księżyca, gwiazd i chmur. Mógłby podziwiać wschód i zachód słońca. Poza tym stąd jest niesamowity widok na rzekę i góry. - Popatrzył na nią. - I masz rację, to byłoby świetne schronienie, miejsce, gdzie można się ukryć same-mu albo... Kto wie? - Uśmiechnął się do niej. - Przy wieżycze będzie dużo pracy - mówił dalej. - Sporo szyb jest popękanych, wielu brakuje, dach przecieka. Prawdopodobnie stąd te zniszczenia w sypialniach na piętrze. Zaciekło z góry.

- Tak myślałam - odrzekła Leonie - ale zależy mi, żeby wieżyczka została. Zdaję sobie sprawę, że łatwiej byłoby ją zburzyć, a dziurę pokryć dachem, ale nie chcę. Szkoda mi też zastąpić stare szkło nowym, ale chyba trzeba będzie tak zrobić.

- Zobaczymy - powiedział Sam. - Może... może znajdziemy coś, co będzie wyglądało podobnie.

- Mam nadzieję - westchnęła Leonie.

- To jest jak wieża na kościele - dodał. - Nie chce się jej burzyć, mimo że same z nią kłopoty. W pewnym sensie to dusza domu.

Leonie się rozpromieniła. Jego reakcja szczerze ją uradowała. Sam rozumiał i doceniał jej pomysły, co sprawiło, że poczuła się bardziej pewna siebie. Co więcej, jego entuzjazm był zaraźliwy. Zadanie stało się tym bardziej ekscytujące, nabrało większej wagi, skoro wiedziała, że nie będzie pracować w próżni, że jest ktoś, z kim może dzielić drobne porażki i radości.

Nagle powróciła z marzeń na ziemię. Musisz natychmiast odgrodzić się ciężkimi drzwiami od takich myśli, powiedziała sobie. Boże! Co mi się roi? Zgłupiałam! Facet nawet jeszcze nie powiedział, czy podejmie się tej pracy. Poza tym może zaśpiewać cenę, która przekroczy moje możliwości!

Ponadto, chociaż zgadzali się w wielu kwestiach, skąd mogła przewidzieć, jak jej się będzie z nim układało? W gruncie rzeczy prawie nic nie wiedziała o tym mężczyźnie, chociaż coraz bardziej miała wrażenie, jakby go znała dużo wcześniej, jakby ich obecne spotkanie nie było przypadkowe.

Sam zerknął na zegarek.

- Robi się późno - zauważył - wkrótce będę musiał jechać. Może jeszcze rzucimy okiem na ogród?

- Dobrze - odrzekła spiesźnie Leonie - ale jeżeli musisz się zbierać, możemy to zostawić na inną okazję.

- Nie. Przed wyjazdem chciałbym mieć ogólny obraz.

- Skoro tak, to chodźmy. - Odwróciła się i ruszyła na dół.

Patrzył za nią, żałując, że nie mogą jeszcze przez chwilę zostać na poddaszu. Tylko we dwoje. Ale po co? - zadał sobie w myślach pytanie. Westchnął i niechętnie poszedł za Leonie.

- Chciałabym, żeby ta klatka schodowa była otwarta - powiedziała.

- Dobrze - zgodził się bez zastanowienia. - To da się łatwo zrobić.

Przechodząc przez hol, widzieli Mossy, nadal wyciągniętą na sofie i pogrążoną w lekturze „Vogue'a”. Paliła papierosa, najwyraźniej nie zwracając na nich uwagi.

- Spróbuję ci szybko przedstawić moje pomysły - powiedziała Leonie, gdy znaleźli się na zewnątrz.

Pospiesznie zaprowadziła go do dawnej powozowni.

- Garaż na dwa samochody, na górze mieszkanie dla dozorczy albo pokoje dla gości - rzuciła krótko.

Zajrzeli do stodoły.

- Może pracownia dla artysty i jakieś biura? Jeszcze nie wiem.

Na koniec szybko obeszli ogród.

- Był kiedyś pięknie rozplanowany. Ma dobry układ, tak samo jak dom. Teraz potrzebne jest gruntowne uporządkowanie, dużo przycinania, trochę przesadzania. Wszystkie stare kamienne murki wymagają naprawy. - Spojrzała na Sama. - Mnóstwo roboty - przyznała ze śmiechem. - Ale to już nie twoja działka.

- Nie, chyba że chcesz, żebym ujął w kosztorysie naprawę pergoli i altany.

Leonie zastanowiła się przez chwilę, w końcu skinęła głową.

- Tak - zgodziła się - zrób to. Ale oddzielnie, jeśli możesz, żebym dokładnie wiedziała, jaki będzie koszt.

- Jasne. - Rozejrzał się po terenie wokół. - Przejeżdżałem tędy milion razy - powiedział - ale nie zdawałem sobie sprawy, że są tu ogrody. Z drogi ich nie widać. - Zbliżył się do pergoli z kolumnami, teraz całkowicie zasłoniętej pnączami wistarii, które nie kwitły; Leonie też podeszła.

- To mogłoby być piękne - zauważył.

- Tak - przytaknęła. - Będę musiała bezlitośnie przyciąć tę wisiarę i założyć się, że w przyszłym roku zakwitnie.

- Naprawdę?

- Podobna była koło domu mojego przyjaciela w Southampton - wyjaśniła. - O mało mnie nie zabił, kiedy dwa lata temu mocno ją przyszczygłam, ale teraz mi dziękuje, bo cała jest w kwiatach.

Wskazała na kamienny taras pokryty zarośniętymi płytami. Pośrodku stało rozsypujące się poidełko dla ptaków z rozbitą misą.

- Tarasy są obsadzone różami - powiedziała. - Będę musiała poczekać, aż krzewy zakwitną, żeby zobaczyć, jakie to gatunki, ale przypuszczam, że to odporne staroświeckie odmiany. Co innego zdołałoby przetrwać tutejsze zimy?

- Chyba masz rację. - Sam skinął głową. - Mamy trochę róż w domu, ale wymagają troskliwej pielęgnacji.

- W każdym razie - ciągnęła - im też będzie potrzebne porządne przycięcie. Tak samo jak tym przy altanie.

Podeszli do ażurowej altany, lekkiej, niegdyś białej konstrukcji z widokiem na rzekę. Podobnie jak pergola, altana była zarośnięta pnąciami, a także pnącymi różami, które dopiero wypuszczały liście.

- Trzeba będzie mocno je poprzycinać - powiedziała Leonie - choćby po to, żeby odmalować altanę. Ale różom to dobrze zrobi. - Odwróciła się do Sama. - Zastanawiałam się, czy między altaną a pergolą nie zrobić basenu - dodała. - Jak myślisz?

- To idealne miejsce - przyznał.

- Pomyślałam, że mógłby wyglądać tak, aby przypominał raczej staw - tłumaczyła dalej. - Jakies sześć metrów szerokości i dwanaście długości. Wystarczy. Bez trampoliny i drabinek. Tylko stopnie do wody na płytszym końcu. I wyłożyłabym go czarnymi płytkami.

- Czarnymi? - powtórzył zdziwiony.

- Tak - potwierdziła. - Wiem, że to brzmi dziwnie i okropnie, jakby z horroru. Ale widziałam coś takiego, wyglądało fantastycznie. I widać dno; taki basen po prostu przypomina klasyczne oczko wodne. A ma tę przewagę, że można w nim pływać.

- Wierzę ci na słowo - zapewnił ją Sam z uśmiechem.

- To dobrze - odrzekła Leonie. - Bo efekt jest naprawdę udany. Ta cała wybudowana roślinność jest bardzo malownicza i romantyczna - dodała - ale przyda jej się trochę cięcia, bo inaczej zarośnie wszystko dookoła.

- Tak bardzo malownicza, że przypomina dżunglę - zauważył Sam żartobliwie.

- Zastanawiam się nad ludźmi, którzy tu mieszkali - odezwała się Leonie w zadumie. - Jacy byli, skoro dopuścili, żeby to wszystko popadło w taką ruinę. Miałam do czynienia wyłącznie z prawnikami, dom sprzedawała agencja. Podobno nie znaleźli się żadni spadkobiercy.

- Wiem, że posiadłość należała do sióstr Wiley, Grace i Eleanor Wiley - powiedział Sam. - Obie nie żyją już od jakiegoś czasu. Żadna z nich nigdy nie wyszła za mąż.

- Ciekawe dlaczego? - spytała Leonie.

- Nie wiem. Podobno w dawnych czasach, w szalonych latach dwudziestych, obie były wielkimi pięknosciami. Jedna malowała, głównie pejzaże i niekiedy portrety. Była w tym ponoć dobra. Druga zajmowała się ogrodem.

- To wyjaśnia, skąd się wziął jego niezwykły układ - wtrąciła Leonie.

- Prawdopodobnie - zgodził się Sam. - Ich ojciec był politykiem. Zdaje się, że w pewnym momencie został sekretarzem stanu w departamencie spraw wewnętrznych czy coś takiego. Był bardzo wpływowym człowiekiem. Ale to dawne dzieje.

- Czy to on zbudował ten dom?

- Nie, jego ojciec - dziadek Grace i Eleanor - w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku. Był lekarzem, a także właścicielem ziemskim. Miał też kilka banków w okolicy. Był bardzo bogaty. Kiedy zmarł, jego syn zaczął stopniowo wyprzedawać ziemię, gdyż pracę na roli traktował tylko jako hobby.

- A te kobiety? - zapytała Leonie. - Co o nich wiesz?

- Grace i Eleanor były niezwykle ekscentryczne, mówiąc oględnie - odrzekł Sam. - Nie spotkałem nikogo, kto je naprawdę znał. Właściwie to nie znam nikogo, kto by je widział poza granicami tej posiadłości. Nie opuszczały jej od wielu lat.

- Żartujesz - powiedziała zaskoczona.

- Nie.

- Ciekawe, jak sobie tu radziły? Dwie starsze kobiety, całkiem same.

- Miały do pomocy pewnego staruszka, nazywał się Pete Blanchard - wyjaśnił Sam. - Pracował u tej rodziny całe życie i mieszkał tutaj, na miejscu. Zdaje się, że był mniej więcej w wieku sióstr. Pete robił zakupy, drobne naprawy i wszystko, co było trzeba. Kiedy ktoś próbował wypytywać go o siostry Wiley, zamykał się całkowicie. Nie mówił ani słowa.

- Dziwne - uznała Leonie.

- Rzeczywiście dziwne - zgodził się. - Mieszkali tu jak odludki, zupełnie sami. Pamiętam, jak wiele lat temu kiedyś tędy przejeżdżałem. Była wiosna, zmierzchało się już i padał lekki deszcz. Widziałem jakąś kobietę - sądzę, że musiała to być Eleanor, chyba tylko ona jeszcze wtedy żyła. Przejeżdżałem obok i zobaczyłem ją, jak przedierała się przez te krzaki - wtedy ogród był o wiele bardziej zarosnięty. Szła tu, gdzie teraz stoimy, w stronę altany.

Leonie poczuła dreszcz. To wszystko było takie tajemnicze.

- Miała na sobie długą koszulę nocną, która wydymała się za nią na wietrze - ciągnął Sam. - Biała, koronkową, a przynajmniej kiedyś taka była. Pamiętam siwe włosy staruszki, upięte wysoko. Musiały być bardzo długie, bo wysuwały się i powiewały wokół niej.

- To musiała być niesamowita scena - powiedziała, wzdrygając się, Leonie.

- Tak - potwierdził Sam. - Pewnie wciąż tak dobrze wszystko pamiętam, że widziałem ją tylko raz, właśnie wtedy. Już-już się zatrzymywałem, żeby zapytać, czy nie trzeba jej pomóc, ale zawsze słyszałem, że oni tutaj zatrząskują ludziom drzwi przed nosem, więc zostawiłem ją w spokoju i odjechałem.

- Ciekawe, co robiła - zastanawiała się Leonie. - Ciekawe, dlaczego wyszła z domu w koszuli nocnej. W deszcz.

- Nie wiem - odrzekł Sam - ale było w tym coś tajemniczego. - Wzruszył ramionami. - Pewnie już nigdy się nie dowiemy.

- A co z tym ich pracownikiem? - zapytała Leonie.

- Z Pete'em Blanchardem? Po śmierci Eleanor zniknął.

- Zniknął? - powtórzyła zdziwiona.

- Tak. Nigdy więcej go nie widziano ani nie słyszano o nim w okolicy. - Odwrócił się do Leonie. - Opowiadano, że Pete był trochę ociężały umysłowo i tak dalej, ale nie jestem pewien. W każdym razie zniknął z powierzchni ziemi.

- Wielkie nieba! - westchnęła. - Cóż za dziwna historia.

Sam skinął głową.

- Kiedy Eleanor zmarła, okazało się, że zostawiła ten dom i wszystkie pieniądze - a było ich dużo - towarzystwu dobroczynnemu. I to wszystko, co wiem o rodzinie Wileyów - zakończył.

Leonie się roześmiała.

- To bardzo dużo - powiedziała. - Rzeczywiście ekscentryczne staruszki. Mam tylko nadzieję, że jeśli są duchami, to przyjaznymi.



- Na pewno do ciebie będą się odnosić przyjaźnie - zapewnił ją z uśmiechem Sam.

Leonie poczuła, że się rumieni.

- Och, nie byłabym taka pewna - odparła. - Może uznają, że jestem uzurpatorką, bo wkroczyłam na ich terytorium.

- Myślę, że będą zadowolone, widząc kogoś tak energicznego i pełnego zapału, kto przywraca ich dom do dawnej chwały. Skoro z jakichś powodów same nie zadały sobie tego trudu, na pewno docenią twoje wysiłki.

- Może - szepnęła Leonie.

Bliskość tego mężczyzny znów zaczynała ją peszyć. Spojrzała na zachód, za rzekę. Słońce stało się teraz ogromną płomienistą kulą zachodzącą za Catskills. Było to wspaniałe widowisko, ale przypominała sobie, że Sam powinien już jechać.

- Robi się późno - zauważyła - a pamiętam, że się spieszyłeś. I tak już długo cię zatrzymałam.

Popatrzył na nią, a smutek w jego oczach znów stał się wyraźniejszy.

- Masz rację. Pożegnaj się z Mossy i jadę.

Wrócili do salonu.

- No i co o tym myślisz? - Agentka spojrzała na niego z uwagą. - Widzisz jakąś możliwość uratowania tej ruiny? Sądzisz, że to się da zrobić? Jesteś zainteresowany tym wyzwaniem?

Sam uśmiechnął się, słysząc tyle pytań naraz.

- Nie ulega wątpliwości, że powinno się uratować ten dom - oświadczył poważnie. - Tak, to z pewnością będzie wyzwanie, ale warte każdego wysiłku. - Przerwał i zwrócił się do Leonie. - Jeszcze nie wiem, czy podejmę się tej pracy, ale projekt zdecydowanie jest interesujący.

- Cieszę się, że tak uważasz - odpowiedziała trochę oficjalnie. - Kiedy będziesz się nad tym zastanawiał, zwróć uwagę na parę rzeczy.

Sam popatrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Chodzi mi o to, żeby wywołać wielką falę za pomocą małego kamienia. Rozumiesz?

- Chyba tak.

- Zależy mi na dużym efekcie - oznajmiła Leonie - za małe pieniądze.

Roześmiał się, słysząc tak żenująco szczere wyznanie.

- To rozumiem doskonale. - Potem znów spojrzał na nią w zamyśleniu. - Do takiego zadania można wybrać jedno z trzech podejść.

Leonie popatrzyła na niego uważnie.

- Po pierwsze - mówił Sam - perfekcja. To jest zwykle drogie, a tutaj byłoby bardzo, bardzo drogie.

- Chyba potrafię żyć bez perfekcji - zapewniła go na wpół żartobliwie.

- Po drugie - ciągnął - porządna robota. Znacznie mniej kosztowna i dobrze wygląda. - Rzucił jej znaczące spojrzenie. - Po trzecie, byle jaka partanina, ale tania. Osobiście nie biorę tego pod uwagę i sędzę, że ty też nie powinnaś.

- Nie mam zamiaru postępować w taki sposób - oświadczyła obronnym tonem. - Co prawda zamierzam wystawić ten dom na sprzedaż, ale chcę go odremontować tak, jakbym sama miała tu mieszkać. Chcę to zrobić z pietyzmem i miłością. Chcę przywrócić mu dawną chwałę, dodać godności i okazać trochę szacunku. Uważam, że na to zasługuje.

- Nie chciałem cię obrazić - zapewnił ją. - Po prostu jest wielu architektów i budowniczych, którzy wybierają najtańsze sposoby. Zwykle są one również najgorsze - dodał. - Czasem całość może dobrze wyglądać, ale wystarczy chwila, żeby wszystko zaczęło się sypać.

- Nie chcę używać kiepskich materiałów - oświadczyła Leonie. - Ale myślę, że będę zmuszona pójść na kompromis i w większości wypadków zdecydować się na porządną robotę zamiast perfekcji. - Popatrzyła na niego. - Możesz to zaakceptować?

- Tak. - Kiwnął głową. - Mogę.

- Jasna cholera - wtrąciła się nagle Mossy. - Na dworze jest już prawie całkiem ciemno!

- Och, przepraszam - powiedziała Leonie do Sama. - Znowu cię zatrzymuję. Jedź już. Jak przemyślisz sprawę, zadzwoń do mnie, dobrze?

- Jasne.

- Masz mój numer, prawda? - zapytała.

- Mossy mi dała.

- No to cię odprowadzę.

- Mossy - zwrócił się Sam do agentki, wyciągając rękę - miło było cię zobaczyć, jak zawsze. I dziękuję, że mnie poleciłaś.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Sam - odrzekła, ściskając jego dłoń. - Trzymaj się.

- Postaram się. - Uśmiechnął się promiennie.

Ruszył do holu, a Leonie poszła za nim. Kiedy zbliżył się do drzwi, powiedział:

- Miło mi było cię poznać, Leonie. Może coś tu razem zdziałamy. Skinęła głową ucieszona.

- Mam nadzieję.

Wyciągnął do niej na pożegnanie rękę, którą ujęła. Jego uścisk był ciepły i długi, jakby Sam nie miał ochoty wypuścić jej dłoni.

Podniosła wzrok i zobaczyła w jego zielononiebieskich oczach błysk. Pod ich spojrzeniem poczuła się nagle słaba i bezradna. Bezbronna i zagubiona. Przeszedł ją gwałtowny, pałący dreszcz, po czym nagle osłabła.

Opanowała się z trudem. To śmieszne, pomyślała. Po prostu idiotyczne. On prawdopodobnie po prostu ze mną flirtuje.

Ale rozbawienie, które wcześniej widziała w jego oczach, znikło, zastąpione przez coś znacznie poważniejszego. Ponownie uświadomiła sobie bez cienia wątpliwości, że przepadła. Czuła to w sercu, w samej głębi swojej istoty.

W końcu Sam przerwał milczenie.

- Dobranoc - pożegnał się, a jego dźwięczny głos był ledwie słyszalny. Potem odwrócił się i wyszedł szybko, nie mówiąc nic więcej i nie patrząc za siebie.

Leonie zamknęła drzwi i oparła się o nie. Zrobiła kilka głębokich, powolnych wdechów, słuchając, jak silnik range rovera zaczął pracować. Uspokoiła się, gdy usłyszała chrzęst żwiru pod kołami wozu. Kiedy samochodu nie było już słychać, odczekała chwilę, przegarnęła palcami włosy i wróciła do salonu.

Mossy, z wszystkowiedzącym wyrazem twarzy, siedziała na sofie. Strzepnęła popiół z papierosa do popielniczki, w milczeniu przypatrując się Leonie.

- Nareszcie! - odezwała się w końcu teatralnym tonem. - Może usiądziesz teraz koło biednej, nudnej, starej Mossy. - Poklepała miejsce obok siebie. - Musisz padać ze zmęczenia.

Leonie spoglądała na nią nieufnie, podchodząc powoli do sofy.

- Dlaczego miałabym padać? - spytała podejrzliwie. - Nie. Wcale. Czemu tak mówisz, Mossy?

- Jasna cholera, Leonie. Nie zamydlisz oczu takiej starej wyjadaczce jak ja. Od chwili kiedy zjawił się w tym domu Sam Nicholson, powietrze tak tu iskrzyło od napięcia seksualnego, że nawet ja jestem kompletnie wyczerpana tymi wibracjami między wami!

- To jakaś bzdura, Mossy - odparła Leonie z większym przekonaniem, niż rzeczywiście czuła, i ostrzej, niż zamierzała.

Mossy była lekko zaskoczona jej obronnym tonem. Spojrzała na nią, unosząc ciemne brwi.

- Och! - rzuciła. - Trafiłam w czuły punkt, tak? Przepraszam, skarbie. Nie chciałam cię urazić.

- Nie uraziłaś - odpowiedziała Leonie. Siedziała spokojnie, z chłodnym wyrazem twarzy, jak gdyby wyzywając przyjaciółkę, aby przekroczyła zakreśloną przez nią granicę poufałości.

Mossy wpatrywała się w nią ze zdziwieniem, a zarazem czułością. Po chwili wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Leonie.

- Posłuchaj, skarbie - powiedziała miękko. - Naprawdę nie chciałam zrobić ci przykrości, wiesz o tym. Czasem po prostu mnie ponosi, taka ze mnie królowa dramatu.

Leonie nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Królowa dramatu! Co to, to racja, Moss. Cała ty!

Mossy odsunęła się i schyliła, aby wyciągnąć papierosa z paczki, która spadła na podłogę.

- Ale musisz przyznać, że to bosko seksowny facet - rzuciła lekkim tonem, uporczywie kierując rozmowę na Sama Nicholsona.

- Tak - odrzekła Leonie - owszem. A poza tym wydaje się bardzo miły.

- Hmm - mruknęła Mossy, zapalając papierosa. Wypuściła obłok dymu, uważając, aby nie dmuchać przyjaciółce w twarz. - Miły. O, tak. To też.

- I wiesz co? Zrozumiał wszystko, o czym mówiłam. Wszystko, co chcę tu zrobić.

- Tak? - wycedziła Mossy.

- I nie tylko - ciągnęła Leonie. - Nadawaliśmy jakby na tych samych falach.

- Doprawdy?

- I... - Nagle urwała, słysząc drwiącą nutę w głosie tamtej. Spojrzała na przyjaciółkę i zauważyła, że jej uśmiezek jest jednocześnie domyślny i chytry.

- Ty... łajdaczko... ty... ty drańska... ty jędzo... ty... - wyjąkała.

- Suko, skarbie. Suko - odpowiedziała dobitnie Mossy. - To wystarczy. Wiem, że nią jestem, możesz mnie tak nazywać, kiedy zechcesz. Nie będziesz pierwsza. - Przerwała, by zaciągnąć się dymem z papierosa, po czym mówiła dalej: - Ale myślę, że tak naprawdę chciałybyś mi powiedzieć, że Sam Nicholson nadaje się do tej pracy - i nie tylko. Czyżbyśmy mieli do czynienia z przypadkiem mokrych majtek?

- Och, jesteś okropna! - Leonie zachichotała wbrew woli.
- Tak. I mam rację! - zaćwierkała Mossy. - A właściwie z dwoma przypadkami. I to poważnymi. Ty i pan Nicholson. Był w takim stanie, że ledwo zdołał stąd wyjść.
- Naprawdę tak myślisz? - zapytała ze śmiechem Leonie. - Wydawało mi się, że nie zwrócił na mnie specjalnej uwagi.
- Jasna cholera! Nie bądź taka naiwna, skarbie. Biedak ledwo mógł go utrzymać w slipkach.
- Och! - jęknęła Leonie i dała Mossy klapsa w rękę. - Przestań! Natychmiast!
- To prawda - upierała się przyjaciółka. - A jeśli mnie nie myliły moje ciekawskie oczy, ty sama też byłaś lekko zauroczona. Choć oczywiście zachowywałaś się, jak na damę przystało.
- „Zauroczona!”, pomyślała Leonie. Co za głupie słowo. Gdyby tylko Mossy wiedziała! „Zauroczona” ani w części nie oddawało tego, jak się czuła. Choć sama chyba nie potrafiłaby określić swojego stanu. Po prostu wydawało jej się, że jeszcze nigdy nie czuła się tak jak teraz.
- Na razie - powiedziała w końcu - mam tylko nadzieję, że przyjmie to zlecenie i zaproponuje rozsądny kosztorys. Naprawdę uważam, że on się idealnie nadaje do tej pracy.
- Na pewno tak - odrzekła Mossy. - To idealny mężczyzna do każdej pracy. - Zamyśliła się. - A teraz biedak jedzie do domu - do-dała - gdzie dostanie oziębienia.
- Przeziębienia - poprawiła Leonie.
- Nie, skarbie - zaprzeczyła. - Oziębienia.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Leonie.
- Nie pytaj - odparła ponuro przyjaciółka. - Lepiej nie wiedzieć.

## Rozdział 4

O żeż...! O małego jej nie zabiłem. - Sam Nicholson walnął dłonią w kierownicę, po czym ostro przyhamował i zjechał na pobocze. Zwolnił, zatrzymał się i wyłączył silnik. Właśnie o włos uniknął zderzenia z sarną przeskakującą przez drogę.

Nie wiedział dlaczego, ale prawie zawsze to one stawały się łatwym celem na szosie. Przez te wszystkie lata widział na drogach dużo łań, a tylko trzy lub cztery jelenie. Wiedział, że to nic niezwykłego w tutejszych lasach, ale jego dzisiejszy brak koncentracji był całkowicie nietypowy. Szczycił się tym, że jest jednym z niewielu kierowców, którzy nigdy nie przejechali sarny ani jakiegokolwiek innego zwierzęcia.

Zawsze też ogarniało go obrzydzenie, kiedy widywał przy drodze tablice reklamujące pokrojoną paczkowaną sarninę. Mimo że będąc chłopcem, polował ze swoim ojcem, a dzisiaj też od czasu do czasu jadał mięso, takie oferty napełniały go odrazą, jakkolwiek było to nielogiczne. Co do zabijania zwierząt, nie potrafił się do tego zmusić, a już na pewno nie dla sportu. Może życie - każde życie - stało się dlań zbyt cenne i kruche, aby mógł brać pod uwagę niszczenie go, celowe czy też nie.

Musiał ochłonać, uspokoić się i poczekać, aż poziom adrenaliny wróci do normy. Odzyskać panowanie nad sobą.

Co się ze mną dzieje, do cholery? - dziwił się. Ale odpowiedź na to pytanie znał doskonale. Wiedział dokładnie i bez cienia wątpliwości, co się dzieje. Jestem roztargniony, to wszystko, tłumaczył sobie. Po prostu. Czyżby tylko to? No więc co jeszcze?, zapytał sam siebie. Dlaczego jestem tak cholernie rozkojarzony? Czemu tracę panowanie nad sobą? Ponieważ... ponieważ...

Westchnął głośno z irytacji. Nie chciał dalej drażnić tego tematu. Pod żadnym pozorem. Nie ma mowy.

Rozdrażniony wyłączył radio. Lubił Sinatrę, ale uznał, że piosenkarz musiał mieć sporą część udziałów radia WABY, bo czasem się wydawało, że prezenterzy nie tolerują nikogo innego. W tej chwili nie miał nastroju na starego Franka i jego sentymentalne melodie. Nie, Zdecydowanie nie. Słowa miłości były ostatnią rzeczą, jaką pragnął słyszeć, niepotrzebna mu rozrywka w postaci słodkiej muzyki -jakiegokolwiek muzyki. To jasne.

Poza tym chciał побыć sam na sam ze swoimi myślami. Tymi - co za ironia - których w ogóle nie powinien mieć.

Do diabła, pomyślał. Siedząc tu, nic nie zdziałam.

Wrzucił bieg, sprawdził drogę i włączył się do ruchu. Na zachodzie, za rzeką, słońce już zakończyło swój wspaniały pokaz na ten dzień i schowało się za góry. Jadąc na północ w gęstniejącej szarówce, Sam wrócił myślami do idei ratowania ośmiobocznego domu.

To ekscytujące zadanie, uznał. I co za niezwykła stara posiadłość. Sama jej wartość historyczna sprawiała, że był to klejnot. Każdy architekt z prawdziwego zdarzenia skwapliwie wykorzystałby szansę pracy nad takim projektem i uważałby się za szczęściarza, że jego oferta została wzięta pod uwagę.

Na Boga, pomyślał Sam, chciałbym to zrobić. Było to coś, czym się pasjonował, dokładnie taki cel, jakiemu mógłby poświęcić cały swój entuzjazm i umiejętności.

Ale, powiedział sobie, nigdy nie będę mógł współpracować z tą kobietą, z Leonie Corinth.

Nie dlatego, aby sądził, że nie będzie mógł się z nią dogadać. Nie, wcale nie o to chodziło. W rzeczywistości było dokładnie na odwrót. Tak bardzo pragnął z nią pracować. Instynkt podpowiadał mu, że byliby idealnymi partnerami, że praca z nią byłaby satysfakcjonującym doświadczeniem, ogromnym wyzwaniem twórczym - a możliwe, że czymś jeszcze.

I na tym polegał problem.

Drżenie, które poczuł, kiedy ją pierwszy raz ujrzał, dało o sobie znać znowu. Leonie Corinth. Wysoka, szczupła sylwetka, budzące pożądanie ciało. Lśniące, ciemne włosy i jasna, kremowa skóra. I te oczy! Czarne jak węgiel, błyszczące jak obsydian, umiejące, pomyślał z uśmiechem, spoglądać tak kusząco i figlarnie zarazem. Gdyby nie dostrzegł w nich nieufnej i zranionej duszy, która kryła się pod iskrzącym humorem, pomyślałby, że Leonie jest twardą super-

kobietą, zbyt opanowaną i zbyt doskonałą. Ale te oczy sprawiały, że stawała się krucha, przystępna... ludzka.

Sam nie pamiętał, kiedy wcześniej oczarowała go tak jakaś kobieta, jeżeli w ogóle kiedykolwiek to mu się przydarzyło. To było niczym przyciąganie dwóch atomów, pomyślał. Świadomość ich podobieństwa, odczuwana gdzieś głęboko, dotykająca samej jego istoty. Coś żywiołowego: siła natury zarazem prymitywna i niszczycielska, bezlitosna, przemożna - i nieunikniona.

- Jezu! - westchnął na głos. Zbliżał się do Kinderhook. Wrzucił kierunkowskaz i zwolnił, żeby zjechać na lewo, w drogę wiodącą do domu.

Nieunikniona, to wielkie słowo. Lecz z jakiegoś niezrozumiałego powodu miał pewność, że to spotkanie było itn przeznaczone, a jednocześnie nie mógłby go zaplanować czy przewidzieć nawet w najśmielszych marzeniach. Czuł się bardzo nieswojo na myśl, że było to spotkanie - zetknięcie się sił, nad którymi nie miał żadnej kontroli.

Ale, powiedział sobie, to już się wydarzyło, a teraz... teraz przemieniało się w coś, czemu - czuł to - musi się podporządkować, bez względu na konsekwencje. I nie miał żadnego wyboru w tej kwestii, ponieważ stanął w obliczu czegoś nieskończenie potężniejszego.

Po prawej stronie zamajaczyła olbrzymia czarna żelazna brama, wspaniała i odpychająca. Wjazd do Van Vechten Manor.

Sam westchnął z lekką obawą, skręcił, przyhamował i wciśnięciem guzika opuścił szybę. Na stalowym panelu osadzonym w jednym z masywnych ceglanych słupków ustawionych po obu stronach wjazdu wystukał kod zabezpieczenia i popatrzył na obserwujące go kamery wideo.

Ten dom to raj paranoika, pomyślał. Rozumiał, że Minette pragnęła czuć się bezpieczna w tak olbrzymiej posiadłości, ale uważał, że przesadziła z technicznymi gadżetami, które zainstalował jej kuzyn Dirck. Dom zamienił się w twierdzę.

Skrzydła bramy otworzyły się powoli, Sam wjechał, po czym spojrzął w lusterko, czy wrota zamknęły się za nim.

Popatrzył na wspaniałe, stare drzewa - jodły, świerki i sosny - rosnące po obu stronach podjazdu. Dzisiaj stały się niesamowitymi, potężnymi wartownikami strzegącymi wejścia do domu, a ich zwykła dostojność zmieniła się w groźną wyniosłość. Sam zwolnił, nie spiesząc się do domu, wciąż zatopiony w myślach.

Może najbardziej zaskakującym odkryciem mijającego dnia był fakt, że w ogóle coś poczuł. Leonie Corinth niezaprzeczalnie była



niewiarygodnie pociągającą istotą, ale w ciągu ostatnich lat spotykał wiele pięknych i podniecających kobiet - a nigdy tak się nie czuł.

Spotykał kobiety równie zamożne, tak samo piękne, żywiołowe i bystre jak ona. Niektóre otwarcie mu się narzucały, inne ostrożnie wysyłały sygnały, flirtując za plecami mężów. Żadna z nich nie wywarła na nim tego zaskakującego wrażenia. Nie. Właściwie już tyle lat minęło od chwili, gdy odczuwał emocje choć w przybliżeniu tak silne, i był szczerze zdumiony, że w ogóle zachował zdolność odczuwania czegokolwiek. Popatrzył na światło wydobywające się z palladiańskich okien o idealnych proporcjach. Klasyczna symetria Van Vechten Manor, wybudowanego ze starej różowawej cegły, zwykle sprawiająca jego oczom architekta estetyczną przyjemność, tego wieczoru nie wywołała w nim żadnych wrażeń. Wspaniała, majestatyczna wyniosła budowla wydawała się dziś wręcz pięknym więzieniem, imponującą fortecą, która mimo ogromu nie mogła objawić swej duszy.

To miejsce jest wszystkim, tylko nie domem, pomyślał Sam.

Zatrzymał samochód na okrągłym podjeździe u stóp ceglanych stopni wiodących do frontowego wejścia, zaciągnął hamulec i wyłączył silnik. Następnie niechętnie wysiadł z wozu, wcisnął guzik alarmu na breloczku z kluczykami i ruszył po schodkach do drzwi z ozdobnym trójkątnym zwieńczeniem. Zanim doszedł, same się otworzyły.

- Dobry wieczór, panie Nicholson - powitała go Erminda, jedyna mieszkająca z nimi służąca.

Przytrzymała mu otwarte drzwi; nieładny, szary uniform, który Minette Nicholson kazała nosić dziewczynie, ledwo skrywał jej okrągłe kształty, obciskając wydatny biust.

- Cześć, Ermindo - powiedział Sam, zmuszając się do uśmiechu, i wszedł do holu.

Był to imponujący hol z marmurową posadzką w czarno-białą szachownicę, lśniącym, kryształowym żyrandolem od Waterforda oraz ręcznie malowanymi osiemnastowiecznymi tapetami, które przedstawiały sceny polowań, nad rzeźbioną boazerią.

- Jak się miewasz?

- Doskonale, panie Nicholson. - Jej ciemne oczy błysnęły prowokująco. - Mam nadzieję, że pan też.

- Jasne, Ermindo - odrzekł Sam. Wrzucił kluczyki do dużej porcelanowej misy w różę, która stała na bogato rzeźbionej pozłacanej mahoniowej konsolce.

- Pani Nicholson jest w oranżerii. Prosiła, żeby pan do niej poszedł, jak tylko pan wróci do domu. - Erminda podniosła na niego wzrok, przyglądając lśniące kruczoczarne włosy, ściągnięte w surowy kok na karku; uczesanie też było narzucone przez Minette.

- Zrób coś dla mnie, Ermindo, dobrze? - poprosił Sam, starając się utrzymać na twarzy uśmiech. - Powiedz mojej żonie, że zajrzę do niej za chwilę. Mam coś do zrobienia.

Erminda uśmiechnęła się szeroko.

- Tak. Już idę.

Sam zauważył wyraźną satysfakcję dziewczyny na myśl o tym, że ma zanieść wiadomość, która na pewno nie uszczęśliwi jego żony.

Nie kochają się one, co to, to nie, pomyślał. Dziwne, że w ciągu ostatnich lat była to jedyna mieszkająca w rezydencji na stałe pokojówka, którą Minette zdołała utrzymać dłużej niż kilka tygodni. Erminda pracowała u nich od dwóch lat i choć pozostawała dla Sama pewną zagadką, przez ten czas posłusznie i w milczeniu spełniała wszelkie kaprysy Minette, ustanawiając swego rodzaju rekord zatrudnienia w Manor.

Sam obszedł wielki okrągły stół z ogromną kompozycją ze świeżych kwiatów i wbiegł na górę po wyłożonych cennym kaukaskim chodnikiem schodach, które skręcały się elegancko niczym prawdziwy morski ślimak. Na piętrze zatrzymał się na chwilę, po czym pospiesznie przeszedł przez małżeńską sypialnię do swojej garderoby i łazienki. Zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz.

Ściągnął skórzaną kurtkę, buty, skarpety, następnie zdjął dzinsy, koszulę i bieliznę, rzucając wszystko na wyfroterowaną podłogę z szerokich sosnowych desek. Podeszedł boso do ogromnej umywalki, odkręcił staroświecki kurek z zimną wodą i kilkakrotnie ochlapał sobie policzki. Energicznie wytarł się ręcznikiem, po czym popatrzył w lustro. Przyglądał się sobie pierwszy raz od niepamiętnych czasów.

Nieźle, jak na faceta w tym wieku, uznał, patrząc na swoją twarz pod różnymi kątami. Zupełnie nieźle. I co z tego, pomyślał jednocześnie, to wszystko się marnuje. On się marnuje. I to już od lat.

Poszedł do garderoby i wyciągnął się na sofie, aż brązowa skóra zaskrzypiała pod jego ciężarem. Nie zwracał uwagi na lampy, na dębowy stolik do szachów, który służył mu jako biurko, na artystycznie tkany dywan na podłodze, ceramikę Grueby'ego i Rookwooda, swoje ulubione poźółkłe szkice i mapy na ścianach oraz wszystkie pozostałe przedmioty, które normalnie dawały mu uczucie zadowolenia.

To było jego małe królestwo, z meblami, które lubił, bez sztywnych amerykańskich antyków od najlepszych producentów, jakie podobały się Minette. Tego pokoju nie zносиła i nigdy do niego nie zaglądała.

Leżąc na sofie, Sam pograżył się w niewesołych myślach.

Dlaczego się marnuje?, zastanawiał się. Po co rozmieniam na drobne? Znał odpowiedź: to ten związek zawarty bez miłości. Związek zrodzony z jego poczucia winy i wstydu. Związek zrodzony z poświęcenia. Poświęcił się dla małżeństwa, które go tak przytłoczyło, że stał się niemal całkowicie obojętny na otaczający go świat, które zdusiło jego marzenia i ambicje, jego szanse na jakiegokolwiek uczucia.

Uświadomił sobie, że starał się wypełniać czymkolwiek czas, pozwalając, aby dni płynęły swoim nurtem, przeżywał jeden po drugim niczym we śnie, nie żyjąc naprawdę. Dopuścił, by opanowało go poczucie winy i wstydu. Teraz wyraźniej niż kiedykolwiek zdał sobie sprawę, że ten związek pozbawił go wszelkiej radości w życiu.

I uświadomił sobie *coś* ponadto. Może *coś jeszcze* bardziej przerażającego: że jego zdolność odczuwania radości przebudziła się nagle, że nie musi spędzić reszty życia w tym somnambulicznym stanie, wyrzekając się prawa do szczęścia. Wiedział także, że to z powodu Leonie Corinth.

Spotkanie z nią zmusiło go, by spojrzeć w twarz prawdzie, której nie chciał uznać od bardzo dawna - prawdzie o związku bez miłości, opartym na poświęceniu. Spotkanie z tą kobietą, Leonie Corinth, przebudziło też jego uśpione marzenie o uczuciu. Może, może byłoby możliwe...

Poderwał się, gdy nagle jego myśli przerwał rozlegający się tuż obok głos żony.

- Sam, kochanie! - wołała Minette Nicholson głosem dziwnie zniekształconym przez interkom.

Usiadł, słuchając.

- Sam, co ty tam robisz? - Chwila ciszy. A potem: - Sam! Sam! Gdzie jesteś? Odpowiedz mi, do diabła!

Z westchnieniem zeskoczył z sofy i posłusznie podszedł do interkomu, aby wcisnąć guzik odpowiedzi.

- Jestem w garderobie, Minette - odezwał się. - Schodzę za moment.

- Co ty tam robisz?! - krzyknęła. - Czekam na ciebie tak długo.

- Zaraz schodzę. - Wyjął z komody świeżą bieliznę i skarpetki, a następnie z dużej szafy wziął koszulę i czyste dżinsy. Szybko się

ubrał, wsunął stare klapki, wyszedł przez łazienkę, gdzie ze złością kopnął leżącą na podłodze stertę ubrań, po czym zbiegł na dół.

Z holu przeszedł przez połyskującą ciemno, wykładaną mahoniem bibliotekę do przeszkłonych drzwi, prowadzących do oranżerii, drugiego z jego ulubionych miejsc w domu. Zatrzymał się w drzwiach i zajął do środka.

Było to obszerne pomieszczenie w stylu georgiańskim, które sam zaprojektował, tak aby harmonizowało z resztą domu. Posadzkę ułożono ze starego francuskiego wapienia, urozmaiconego gdzieś niedzie lekko wypukłymi czarnymi kamieniami, a szklane ściany wznosiły się na ponad sześć i pół metra. Z sufitu zwisały dwa identyczne kryształowe żyrandole, duże klasycystyczne rosyjskie antyki. W ciągu dnia rzucały światło we wszystkich barwach tęczy, a wieczorami migotały romantycznie w blasku świec.

Pokój wypełniały różnorodne rośliny, od wyniosłych palm i fikusów, poprzez mniejsze drzewka cytrynowe i pomarańczowe po krzaki róż i orchidee. Na ścianie domu, do której dobudowano oranżerię, krzewił się bluszcz, a na nim wistaria. Zapach bijący z jej wielkich kwiatostanów koloru lawendy był niemal duszący. Tu i ówdzie z zieleni wyglądały klasyczne popiersia i posągi z połótkłego marmuru, nieruchomi świadkowie rozgrywających się przed nimi dramatów.

Od drzwi Sam dostrzegł niezmierną szarobłękitną poświatę, odbijającą się w żyrandolach i szklanych ścianach. Dziś nie będzie blasku świec. Minette oglądała telewizję.

Nie usłyszała, gdy wszedł. Siedziała z pilotem w jednej ręce i z drinkiem - jack daniels z wodą, jak przypuszczał - w drugiej. Jej długie do ramion, jasne włosy lśniły w odbłasku z telewizora, a duże, lodowato niebieskie oczy wpatrywały się pilnie w ekran.

Odrzuciła się, a wówczas Sam wyraźniej dostrzegł jej twarz. Jak zawsze, Minette miała perfekcyjnie nałożony delikatny makijaż. Wargi w kolorze najbledszego różu, leciutko podkreślone rumieńce, kreski na powiekach i wytuszowane rzęsy. Była starannie ubrana - tego wieczoru w jeden ze swoich ulubionych kremowych kaszmirowych swetrów i dobrane do niego kolorem wełniane spodnie. Na nogach miała ciemnozielone, pikowane płaskie aksamitne pantofelki. W jej uszach i wokół szyi blado połyskiwały perły, oba nadgarstki otaczały złote bransoletki z drogimi kamieniami rzucającymi ogniste błyski, gdy robiła najmniejszy ruch ręką.

Boże, jaka ona piękna, zachwyił się Sam. Jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem. Z wyjątkiem...

- Jesteś nareszcie! - Oczy Minette błysnęły, gdy go zauważyła.

Sam zbliżył się i pochylił, by ją pocałować. Było to zdawkowe powitanie, ale ostatnio oboje tak woleli. Stwarzamy pozory, pomyślał.

Minette wypita łyk ze swojej szklanki, jakby chcąc spłukać smak pocałunku, i spojrzała na męża pytająco.

- Gdzie byłeś, przystojniaku? - Jej głos był zachrypnięty i niski od alkoholu. Postawiła szklankę na stole obok i wcisnęła na pilocie guzik wyłączający dźwięk.

- Oglądałem budynek do renowacji w dole rzeki - powiedział. - Stary, zbudowany na planie ośmioboku. - Sam usiadł po drugiej stronie stołu i spojrzał na Minette. - Może się tym zajmę.

- Ach, ta rudera Wilejów! - rzuciła lekceważąco.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytał.

- Dlatego, kochanie - odparła - że moim zdaniem byłaby to strata twojego czasu. Przecież nie musisz w ogóle pracować, jeżeli nie chcesz. Po co więc zawracać sobie głowę jakąś ruiną? To nie jest żaden szczególnie ważny dom, prawda?

Minette mówiła dalej, nie pozwalając Samowi nawet wtrącić słowa, jakby jego odpowiedź nie miała znaczenia.

- Nie mieszkał tam nigdy nikt znany. Tylko dwie zwariowane kobiety. - Pociągnęła spory łyk ze szklanki i uśmiechnęła się słodko. - To bez sensu, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Nie wierzę, że tak myślisz, Minette - odrzekł Sam z irytacją w głosie. Był naprawdę poruszony jej reakcją. - Myślałem, że kto jak kto, ale ty będziesz zainteresowana ocaleniem tej budowli. Tyle czasu poświęcasz na pracę w towarzystwie historycznym, że powinnaś wiedzieć, iż pod względem architektonicznym ten dom jest ważny.

- Uspokój się, kochanie - powiedziała. - Uważam po prostu, że w okolicy jest wiele innych zabytków, bardziej godnych uwagi. Zwłaszcza twojej, jak sądzę.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że oktagonalne domy w tym hrabstwie znikają - zauważył. - I to szybko.

- Może ten powinien. - Minette znów podniosła do ust szklankę, po czym dodała: - Poza tym słyszałam, że kupiła go jakaś okropna kobieta z Nowego Jorku. Nowobogacka rozwódka, która prawdopodobnie i tak go zniszczy. - Spojrzała na Sama znacząco. - A raczej będzie chciała, żebyś to ty go zniszczył.

Sam popatrzył na nią ostro.

- To cholerna bzdura, Minette - oświadczył - i ty o tym wiesz. Rozmawiałaś z Andrea Walker?

- Nie musisz przeklinać, kochanie - odrzekła z niesmakiem. - Jeśli nawet rozmawiałam z Andrea, to co z tego? Od wieków miała tę kupę gruzu na swojej liście domów do sprzedaży. Dlatego wie, co tam nie gra.

- Aha! - zawołał Sam, nagle wszystko rozumiejąc. - Więc o to chodzi! Teraz rozumiem. Andrea Walker wciągnęła cię do spisku, żeby zatruć życie nowej właścicielce i nie dać jej tutaj żadnych szans. - Westchnął głośno. - Tylko dlatego, że tamta kupiła dom przez kogoś innego i twoja przyjaciółka straciła prowinę.

Minette, nie zwracając na jego słowa uwagi, zajrzała do swojej szklanki. Potem podniosła wzrok na Sama.

- „Zatruć” to nieładne określenie, Sam. Zwłaszcza że chodzi o kogoś, kto i tak nie miał żadnych szans, aby wejść w nasze towarzystwo. Słyszałam o niej sporo i uwierz mi, wiem, co mówię. - Wybuchnęła brzydkim, wzgardliwym śmiechem i potrząsnęła głową. - To nikt, zero, jakaś nowojorska awanturka, która już się spiknęła z tą brytyjską flądą, Fioną Moss, chyba mnie rozumiesz.

- Tak, Minette - westchnął Sam. - Chyba tak. Rozumiem cię bardzo dobrze.

Wstał i podszedł do stolika z napojami. Był to typowy dla Van Vechten Manor okazały, cenny i jego zdaniem sztywny mebel, klasyczny dziewiętnastowieczny nowojorski stolik na jednej nodze - mahoniowy, ze złoceniami i białym marmurowym blatem. Sam naładował sobie solidną porcję szkockiej do staroświeckiej kryształowej szklanki, dodał kilka kostek lodu i trochę wody. Napił się, po czym wrócił do Minette.

Siedziała w milczeniu, śledząc go spojrzeniem, a na jej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

Wreszcie Sam przerwał ciszę.

- Wszystko jedno, co myślicie ty, Andrea i wasza klika bogatych snobek. Zamierzam podjąć się tej pracy. Mam nadzieję, że renowacja się uda.

Minette jakby go nie słyszała. Przycisnęła guzik interkomu, który znajdował się na stole obok niej.

- Ermindo - powiedziała oschle. - Za kilka minut zjemy kolację. Przygotuj wszystko.

- Tak jest, proszę pani - rozległ się głos służącej.

Cała Minette, pomyślał Sam.

Nie powie „proszę” czy „dziękuję”, te wyrazy prawie nie istnieją w jej słowniku. Zwłaszcza jeśli chodzi o pomoc.

Spojrzał na żonę ponuro. Dlaczego musi tak być?, zastanawiał się. Czemu tak jest zawsze? Zawsze te dokuczliwe małe utarczki!

Minette odwróciła się do niego z promiennym uśmiechem.

- Dziś jedno z twoich ulubionych dań, kochanie - oznajmiła. - Kazałam Katie przygotować owoce morza. Masz homara. - Kiedy nie zareagował, dodała, w irytujący sposób naśladując dziecinny język: - Chłopczuku, wyglądasz, jakby ci ktoś zjadł wszystkie ciukielki.

Sam jednak nie chwycił przynęty.

Minette wyprostowała się, nagle rozżłoszczona.

- Przedstawiłam ci tylko moje zdanie, Sam. Nie jestem złą czarownicą z bajki, przecież wiesz. Ale może już czas, żebyś sobie dał spokój z tym twoim... hobby i posiedział ze mną w domu.

- Absolutnie nie - odparował. - Zarabiałem na tym pieniądze, nadal zarabiam - i lubię to robić. - W jego oczach zapłonął upór, w głosie brzmiała determinacja.

- Dobrze, dobrze - wycofała się Minette. Zdała sobie sprawę, że to nieodpowiedni moment na dalszą dyskusję. - Skoro ci to sprawia przyjemność. Ale nadal uważam, że marnujesz swój czas i talent. Szczególnie gdy chodzi o ten dom.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Zostawmy to, Minette, dobrze? - powiedział cicho. - Nie mam nastroju do tej rozmowy.

- Tak. - Nagle poweselała. - Właśnie. Zostawmy to. - Wysączyła resztkę drinka, odstawiła szklanke na stół i popatrzyła pytająco. - Idziemy na kolację? - Ermindą już chyba wszystko przygotowała.

- Tak - odrzekł Sam i dopił szybko swoją szkoocką.

- Zabierzesz mnie? - zapytała Minette.

- Jasne.

Sam wstał, posłusznie stanął za nią, zwolnił hamulce i popchnął wózek w stronę jadalni.

Kolejna samotna kolacja, z niewielkim, milczącym rozlewem krwi, pomyślał.

## Rozdział 5

Leonie wrzuciła szczotkę do plastikowego wiaderka pełnego brudnych szarych mydlin i przysiadła w kucki.

- Boże miłosierny, panienko Scarlett! - Skrzywiła się. - Ja nie jestem od szorowania podłóg!

Wstała, ściągnęła z rąk gumowe rękawiczki, które lekko zatrzęszczały, wrzuciła je do zlewozmywaka i otarła czoło grzbietem dłoni. Zdjęła chusteczkę z głowy i potrząsnęła włosami.

- No - powiedziała na głos - od razu lepiej. - Następnie przeprowadziła inspekcję domu, wolno przechodząc z jednego pokoju do drugiego. Uznała, że po dokładnym sprzątnięciu wyglądają jeśli nie idealnie, to zdecydowanie lepiej.

Dokonawszy lustracji pola bitwy, wróciła do kuchni i nalała sobie kieliszek białego wina. Wzięła butelkę i kieliszek i przeniosła się do salonu, gdzie usiadła na sofie.

Ach, pomyślała, nareszcie sama. Mogła teraz zrzucić buty i odpocząć. Niewielka, lecz gorliwa armia pomocników, których znalazła jej Mossy, skończyła wielkie sprzątanie i poszła.

Dom lśnił, o tyle, o ile to możliwe, od góry do dołu. Robotnicy będą mieli co brudzić, pomyślała z uśmiechem Leonie. Wczoraj uznała, że nie zniesie mieszkania w czyimś brudzie, dlatego postanowiła posprzątać. Teraz sama zacznie robić bałagan, żeby potem znowu go sprzątnąć, ale w ten sposób mogła naznaczyć ten dom sobą.

Po sprzątnięciu zaczęło się rozpakowywanie. Najpierw rzeczy w kuchni, z której podczas remontu zamierzała korzystać jak najwięcej, aby oszczędzić pieniądze. Następnie kilka bibelotów, bez których nie potrafiła żyć. Na końcu zaśłała sofę i dwa pojedyncze



łóżka na piętrze i przygotowała do użytku łazienkę na dole oraz jedyną na piętrze.

Zamierzała mieszkać głównie w salonie i kuchni, korzystając z łazienki na parterze, a w razie potrzeby przenosić się do pomieszczeń na piętrze. Wiedziała, że w miarę postępu prac prawdopodobnie przyjdzie jej przemieszczać się po całym domu - z pokoju do pokoju. Nie będzie to łatwe, ale jakoś da sobie radę.

Nie przypuszczała, że czeka ją tyle roboty, jako że większość rzeczy zostawiła w magazynie. Wiedziała, że będą zawadzać i mogą zostać uszkodzone. Ale, jak się okazało, i tak było ich mnóstwo.

No cóż - powiedziała sobie - skoro mam żyć w obozowisku, to mogę to zrobić w wielkim stylu. Poza tym mogła teraz zaprosić kogoś na weekend, chociaż nie przychodził jej do głowy nikt, kogo ucieszyłaby perspektywa koczowania na placu budowy.

Zupełnie nikt. Dla większości jej nowojorskich przyjaciół weekend na wsi oznaczał przyjęcia koło basenu, może konne wycieczki, spacer po pięknych, wypielegnowanych ogrodach, przepyszne posiłki, podziwianie antyków, zwiedzanie i popisywanie się nowymi ciuchami od znanych projektantów, kupionymi specjalnie na taki weekend. Mnóstwo słomkowych kapeluszy i kwiecistych sukien.

No cóż, tutaj mogłaby im zaoferować mniej luksusów, mówiąc oględnie. Nie ma basenu, przynajmniej na razie. Nie ma koni. Jedzenie takie, żeby przetrwać. Ogród całkowicie zarośnięty. Zrujnowany dom.

Może gościom wystarczyłoby trochę czarnych much? Nie? Więc może gzy? Komary? Albo wąż przemykający wśród bujnego zielska? Gruz z remontu? I wspaniała wizja domu po renowacji.

Nie, uznała. Na pewno większości jej znajomych nie wystarczyłyby opowieści o tym, czego tu wkrótce dokona.

Och, do licha, i co z tego? Gdyby Pammy, jej siostra, i James, szwagier, przyjechali na swoją coroczną wycieczkę z Włoch, chyba nie mieliby nic przeciwko pionierskim warunkom... Prawda?

Rozejrzała się po swoim królestwie i stwierdziła, że z pomocą ludzi znalezionych przez Mossy dokonała małego cudu. Poczwała się zadowolona. Dumna z siebie. I słusznie.

Ale była też podenerwowana. Bardzo podenerwowana. W głębi jej umysłu pojawił się problem, który nie dawał o sobie zapomnieć.

Wstała, założyła ręce na piersi i zaczęła spacerować po salonie.

Tam i z powrotem.

Jeżeli ten parkiet nie został całkiem wydeptany przedtem, to z pewnością teraz mu to groziło.

W końcu z powrotem usiadła na sofie i napiła się wina, jednak uporczywe myśli nie chciały zniknąć.

Sam Nicholson. Wiedziała, że problemem jest Sam Nicholson. Nie mogła wyrzucić go z głowy, musiała coś zrobić, żeby przestać tak obsesyjnie o nim myśleć.

Ale jakoś nic nie skutkowało. Przez cały czas sprzątanania, rozpakowywania, przygotowywania jedzenia, przeprowadzania niezliczonych rozmów telefonicznych - zwyczajnych zajęć związanych z wprowadzaniem się - gdzieś w zakamarkach umysłu błąkała się ta jedna jedyna myśl.

Daj spokój - powiedziała sobie w końcu. Nie w zakamarkach, tylko w samym środku.

Był to oczywiście Sam.

Sam Nicholson.

Musiała przyznać, że to miła myśl, która dawała przyjemne wytchnienie od czekającego ją zadania. Sam miał w sobie coś tak pociągającego. Jego wygląd, oczywiście, zapierał dech w piersiach, ale chodziło o znacznie więcej. Tak, znacznie więcej. Czuła, że mimo oczywistej i wyraźnej męskiej siły jest taki bezbronny. Wydawał się rozsądny i praktyczny - a jednocześnie tak zagubiony w świecie. Niczym łódź, która zerwała się z kotwicy, a teraz dryfuje, unosząc się bez celu na falach życia.

Coś - Leonie zastanawiała się, co to mogło być - w jego życiu potoczyło się jeśli nie całkiem źle, to z pewnością niepomyślnie. Przypomniała sobie jego oczy, fascynujące, niebieskozielone oczy. Był w nich cień smutku, a może nawet udręki.

Ten wyraz Leonie znała aż za dobrze, ponieważ jeszcze do niedawna dostrzegała go, patrząc w lustro; nadal go widywała od czasu do czasu.

Westchnęła i nalała sobie jeszcze jeden kieliszek wina.

Nie miała pojęcia, czy Sam Nicholson został skrzywdzony przez kobietę - jest przecież żonaty, przypomniała sobie - lecz z własnego doświadczenia wiedziała, że ten sam wyraz udręki i zagubienia na jej twarzy wywoływał eksmąż.

Hank Reynolds niemal ją zniszczył, tak jakby przyłożył lufę do jej skroni i pociągnął za spust.

Na początku, kiedy oboje byli młodszy i biedniejsi, starali się, aby Hank mógł ukończyć Wharton i zdobyć tytuł M.B.A., o którym marzył; wtedy oboje harowali jak niewolnicy. Ale harowali razem, znajdowali radość w tej pracy, świętowali swoje małe triumfy, pocię-

szali się nawzajem, gdy któremuś z nich życie dało kopniaka. Były to trudne lata, lecz zarazem pełne śmiechu, radości i czułości; nie przypuszczała, że to się kiedykolwiek skończy.

Po studiach Hank został zwerbowany przez szacowną nowojorską firmę brokerów i bankierów inwestycyjnych - Endicott, Weismuller. Był początek upajających lat osiemdziesiątych i od samego początku zarabiał krocie. Po biedzie okresu nauki nagle mieli mnóstwo pieniędzy i zaczęli wspinać się na szczyt zamożnej socjety.

Leonie musiała przyznać, że cieszyły ją korzyści oraz przywileje wynikające z ich pozycji i rosnącej góry forsy. Mogła realizować swoje zamiłowania artystyczne w coraz bardziej przestronnych i bogatych apartamentach i domach, które z zapałem urządziła. Nie wystarczało jej, że korzystała z umiejętności innych, ale zaczęła sama interesować się sztuką i poznawać sekrety sztuki dekoratorskiej, aż stała się niemal ekspertem od cennych zabytkowych mebli. Te rzeczy zawsze wydawały jej się pasjonujące, a teraz wiedziała na ten temat tyle samo, co znani marszandzi.

Była stałą bywalczynią domów aukcyjnych, najlepszych sklepów z antykami i galerii sztuki w Nowym Jorku, Londynie oraz Paryżu, zawsze też włączała się w organizowanie balów na cele dobroczynne, pracowała w różnych komitetach i przewodniczyła wspianym wydarzeniom towarzyskim. Stopniowo jednak rozczarowała się do takiego życia. Znudziło ją myślenie o następnym przyjęciu, nowej sukni, jeszcze jednym drogim francuskim meblu czy kolejnym słynnym obrazie impresjonistycznym, który miał być wystawiony na aukcji.

Właśnie wtedy postanowiła otworzyć swój sklep, któremu z czasem całkowicie się poświęciła. Dawał jej wielką satysfakcję, poczucie niezależności i przekonanie, że robi coś ważnego, a przy tym okazał się sukcesem finansowym.

Tymczasem Hank został szefem działu wykupu zadłużonych spółek w Endicott, Weismuller, następnie założył własną firmę, a przeprowadzane przez niego operacje przyniosły mu grube miliony dolarów. Zapisał się do wszystkich „odpowiednich” klubów i zaprzyjaźnił z mniej rygorystycznymi spośród przedstawicieli „starych pieniędzy” oraz z przyjmowanymi w towarzystwie nuworyszami, odrzucając wszystkich, którzy przestali być użyteczni albo nie spełniali jego wysokich wymagań. Wiedziała, że wspinając się na szczyt, podeptał niejedne stopy w sztych na zamówienie butach.

Ale w miarę jak się bogacił i zyskiwał władzę, w ich związku pogłębiała się przepaść, której przyczyn Leonie nie potrafiła sobie wy-

tłumaczyć. Hank przestał jej okazywać zainteresowanie seksualne i nadal się upierał, żeby poczekali z dziećmi, chociaż rozpaczliwie pragnęła mieć rodzinę. Rozumiała jego pracoholizm, obsesję na punkcie dążenia na szczyty i coraz większe zainteresowanie budowaniem własnego imperium - to rozumiała. Nie rozumiała jednak jego rosnącego braku zainteresowania dla niej.

Stopniowo Hank stawał się coraz ambitniejszy i bardziej chciwy, a przy tym bezwzględny i samolubny. Leonie była przekonana, że nie stali się sobie obcy z dnia na dzień. To mąż zaczął ją odsuwać, powoli, ale stanowczo, najwyraźniej uznawszy, że nie będzie już dlań użyteczna, podobnie jak niektórzy dawni współnicy w interesach.

I nie wystarczyło mu, że po prostu zepchnął ją na boczny tor - jeszcze próbował ją zniszczyć. Tak jakby nie chciał, aby cokolwiek przypominało mu wysiłek, pot i trud włożony w osiągnięcie obecnej pozycji. Zdaniem Leonie pragnął teraz wierzyć, że jego życie zawsze było tak bogate, pełne przywilejów i luksusu jak teraz. Że zawsze był tak wielką osobistością na Wall Street.

Lecz ona знаła prawdę i Hankowi się to nie podobało. Wiedziała, że miał kruche ego i potrzebował stałych zapewnień o swojej wartości i osiągnięciach, ale nigdy nie przypuszczała, jak delikatne jest w istocie owo ego.

Wyglądało na to, że wzmacnia je swoimi osiągnięciami w interesach - często kosztem wielkiego bólu i cierpienia innych. Co na przykład, pytała siebie, działo się z tysiącami ludzi, których stowiska zostały zlikwidowane podczas wykupu zadłużonych firm? Zaczęła się obawiać, że ich wystawny tryb życia jest zbudowany na ludzkich łzach. Pytała o to męża, ale nie chciał na ten temat mówić.

A potem Hank ją porzucił. Jak cuchnący śmieć.

Na szczęście przetrwała i to całkiem nieźle. Pracowała nad tym, żeby się nie rozsypać, i miała szczęście...

Głośny dzwonek telefonu przerwał jej rozmyślenia. Leonie sięgnęła po słuchawkę.

- Halo?

- Witaj, skarbie, to ja.

- Cześć, Moss - ucieszyła się Leonie. - Jak się masz?

- Tak sobie - odrzekła Mossy. - Dzwonię pod wpływem impulsu, chcę cię zaprosić na obiad.

- Och, Moss! - zawołała Leonie. - Przez cały dzień sprzątałam i wyglądam jak półtora nieszczęścia.

- Ty nigdy nie będziesz tak wyglądać! - oświadczyła przyjaciółka. - Narzuć szybko coś oszałamiającego, przyjadę po ciebie za jakieś pół godzinki.

- Pół godzinki! - zaprotestowała Leonie. - Aleja...

- Nie ma żadnego ale, skarbie - przerwała Mossy. - Do zobaczenia za pół godziny. -I odłożyła słuchawkę.

Leonie przez chwilę patrzyła na słuchawkę, po czym odłożyła ją na widełki.

- Cała Mossy! - westchnęła. - Ale w co ja mam się ubrać?

Godzinę późniejjechały na obiad do gospody Old Chatham. Leonie wiedziała, że tam jest drogo i przyjaciółka nie bardzo może sobie pozwolić na taki wydatek, ale Mossy nie chciała słyszeć o odmowie. W pięknie odnowionej i urządzonej sali, nad wspianiałym obiadem złożonym z pieczonych przepiórek, jagnięciny z kuskusem oraz pysznej szarlotki, Leonie, wypytywana przez Mossy, otworzyła się w końcu przed przyjaciółką. Ta zaś odwzajemniła się pociechą i rzeczowymi radami.

- Musisz sobie stworzyć nowe życie - tłumaczyła jej stanowczym tonem. - Ja tak kiedyś zrobiłam. Musiałam. Nie trzeba zapominać o przeszłości, skarbie, ale nie warto się w niej zagrzebywać na wieki.

- Staram się, Mossy - powiedziała cicho Leonie. - To znaczy próbuję zbudować sobie nowe życie. Znam tę okolicę i bardzo mi się tu podoba - poza tym w obecnych warunkach jest akurat na moją kieszeń.

- Zastanawiałaś się, co zrobisz z tym starym domem? - zapytała przyjaciółka.

- Tak - odrzekła Leonie. - Wiesz już, że zamierzam go odrestaurować. Potem chcę go urządzić i wystawić na sprzedaż. Mam nadzieję, że zarobię jakieś pieniądze, a później będę powtarzać tę procedurę i z każdej transakcji zaoszczędzę trochę na jakieś gniazdko dla siebie. Kiedyś może otworzę sklep, taki jak ten w Nowym Jorku. W weekendy przyjeżdża tu dużo turystów, a do tego architekci, których poznałam w mieście - myślę, że może mi się udać. Wielu z moich najlepszych klientów nie wahałoby się przyjeżdżać do mnie na zakupy.

- Mamy tu długie zimy - zauważyła przekornie Mossy. - Noce bywają smutne. Szczególnie jeśli się jest samotną dziewczyną. Wiem coś o tym, skarbie, sama przez to przechodziłam.

- Racja, ale w mieście bywa tak samo. - Leonie uniosła kieliszek w stronę Mossy. - Poza tym mam ciebie.

Przyjaciółka rozpromieniła się z dumy.

- To prawda. Chociaż nie wiem, czy to wystarczy. Ale co z mężczyznami? Tu na pewno nie znajdziesz ich tyłu, co w Nowym Jorku, a większość miejscowych uzna, że jesteś z Marsa.

Leonie się roześmiała.

- Na razie skończyłam z mężczyznami - oświadczyła stanowczo. - Mam ich potąd. - Przesunęła dłonią na wysokości gardła.

- Grzeczna dziewczynka! - zawołała entuzjastycznie Mossy. - Zawsze mówię, że trzeba ich wykorzystywać i porzucać. Wyzyskiwać cały ten parszywy gatunek.

Leonie znów się roześmiała.

- To prawda - ciągnęła Mossy. - Moim zdaniem Lizystrata miała świetny pomysł. Ale może dokończymy tę rozmowę w domu? Robi się późno, mogłybyśmy sobie wypić po kieliszku na dobry sen.

- Czemu nie - zgodziła się Leonie.

Mossy zapłaciła rachunek kartą kredytową i opuściły gospodę z uczuciem błogiego zadowolenia.

Kiedy dojechały do małego, supernowoczesnego domku w Chatham, Mossy natychmiast rozsunęła ogromne zasłony w salonie z sufitem na wysokości pierwszego piętra i olbrzymią ścianą ze szkła. W oddali widziały migoczące światła domostw przycupniętych u stóp Berkshires, a niebo nad wzgórzami iskrzyło się milionami gwiazd.

Z niewielkiego barku w kącie jadalnym Mossy przyniosła kryształową karafkę brandy oraz dwie szklaneczki. Ustawiła je na stoliku, nalała dwie solidne porcje i wręczyła jedną Leonie.

- Za twoje zdrowie i szczęście! - wygłosiła toast.

- I twoje - dodała Leonie.

Wypiły po łyku brandy i usadowiły się wygodnie. Pani domu wyciągnęła się na kanapce, a Leonie w dużym, wygodnym fotelu.

Mossy zapaliła papierosa, wydmuchnęła obłok dymu i popatrzyła na przyjaciółkę.

- Wracając do naszej rozmowy w gospodzie, uważam, że świetnie sobie radzisz, zważywszy na to, co przeszłaś.

- Dzięki, Mossy - powiedziała serdecznie Leonie. - Nie wiem, jak bym tego dokonała bez ciebie. Prawie z nikim nie rozmawiałam o rozwodzie. Tak trudno opowiadać ludziom o swoich sprawach, a w dodatku większość znajomych z Nowego Jorku chyba nie chce

o tym słuchać. Wiesz, to przeważnie ludzie, którzy nie chcą słuchać niczego poza imprezowymi banałami. I wolą rozmawiać o ostatnich sukcesach.

- Za to przeze mnie przemawia doświadczenie - odparła Mossy - jeśli nie rozsądek. - Zaciągnęła się ponownie i dodała: - Po tym, jak Larry zamienił mnie na nowszy model, postanowiłam, że nigdy nie dam się namówić innemu mężczyźnie na miłość i małżeństwo. Nie spotkałam samotnego mężczyzny, który zdobyłby się na uczciwość i wierność przez czas dłuższy niż potrzebny na zaciągnięcie kobiety do łóżka.

- Och jej, ależ jesteś cyniczna - zauważyła Leonie z rozbawieniem.

- Zgadza się - odrzekła Mossy. - Mam powody. - Zgasła papierosa w popielniczce. - Mężczyźni - prychnęła. - Wszyscy są jednakowi, cały ten parszywy gatunek!

- Chodzisz z kimś teraz? - zapytała Leonie.

- „Chodzić”! Ha! Od czasu do czasu mam dobre staroświeckie bzykanko, ale nie chodzę z nikim. - Łyknęła brandy, po czym z brzękiem odstawiła szklaneczkę i zapaliła nowego papierosa.

- I nie umawiasz się na randki? - pytała Leonie. - To znaczy do kina, na obiad czy inne przyjemności tego typu?

- Właśnie byliśmy na uroczym obiedzie, nieprawdaż?

- Nie mogę zaprzeczyć.

- Och, pewnie, czasem chodzę do kina czy na obiad z facetem - przyznała Mossy. - Ale częściej z zaprzyjaźnioną kobietą. Czasem z Thomasem, starszym wdowcem, którego bardzo lubię. Ale co do chłopaków - kochaj i rzucaj, oto moja polityka.

Leonie się roześmiała.

- Teraz jest to tutejszy nauczyciel. To młody, wysoki blondyn, zbudowany jak atleta. Kłamca, oszust i trochę pije. Ale jest diabelnie seksowny i bardzo energiczny w łóżku.

Leonie znów się roześmiała, po czym upiła łyk brandy.

- Chciałabym być taka jak ty - powiedziała, odstawiając szklaneczkę na stół.

- Nie jest łatwo być mną - odparła Mossy - nawet jeśli ma się reputację łatwej kobiety. Niektórzy z tych chłopców oczekują ode mnie czegoś, to znaczy oprócz seksu. A nie dostaną tego.

- Więc naprawdę jesteś zaprzysięgłą samotnicą?

- Jasne - przytaknęła Mossy i spojrzała na Leonie. - Ale dość o mnie. Nie żałujesz, że się tu przeprowadziłaś?

- Może troszeczkę - przyznała Leonie. - Wszystko jest wciąż takie nowe.

Przyjaciółka sięgnęła po karafkę.

- W takim razie muszę ci dolać. Możemy wykończyć tę brandy.

- Skoro tak uważasz. - Leonie podała swoją szklanekę Mossy, która wlała do niej sporą porcję, po czym napełniła swoją.

- No proszę. - Mossy odstawiła karafkę. - Czyli masz wątpliwości?

- Właściwie nie - powiedziała Leonie. - Chociaż trochę się denerwuję, kiedy pomyślę o tych wszystkich zmianach. - Urwała, strzepując niewidoczny pyłek z jedwabnej bluzki. - Wiem też, że nie będzie łatwo mieszkać w domu podczas remontu, ale nie mam wyboru. - Westchnęła. - Po prostu nie mogę wydawać pieniędzy na nic innego.

- Naprawdę tak krucho u ciebie z forszą?

Leonie popatrzyła na nią i skinęła głową.

- Tak, Mossy - odrzekła. - Mogę kupić dom i go odnowić, a może jeszcze uda mi się żyć przez rok albo dwa z tego, co zostanie. Jeśli będę ostrożna. Bardzo ostrożna. Ale nic poza tym.

- Ten skurwiel naprawdę cię załatwił! - zawołała Mossy.

Leonie ponownie skinęła głową.

- Tak. Zabrał wszystko, co do grosza.

- Wiedziałam, że dostałaś po głowie, ale nie wiedziałam, że aż tak.

- No to już wiesz - odparła Leonie. - Rozumiesz więc, że mądrze robię, mieszkając w domu podczas robót.

Mossy zaciągnęła się głęboko dymem.

- Tak. Ale jeśli byłoby ci za ciężko, zawsze jesteś tu mile widziana, skarbie - zapewniła ją z uśmiechem.

Leonie spojrzała jej w oczy.

- Dzięki, Mossy. Jesteś niezwykła. Ale ty masz swoje życie, a ja swoje. Każdy ptaszek potrzebuje gniazdko. A my się od nich nie różnimy.

- Zaprosiłam cię, pamiętaj - powiedziała uroczystym tonem Mossy. - Drzwi są otwarte.

- Ciągłe poprawiasz mi samopoczucie, moja droga. - Leonie się uśmiechnęła. - Naprawdę chciałabym być taka jak ty.

- Chyba postradałaś zmysły! - wykrzyknęła przyjaciółka.

- Wcale nie - zaprzeczyła Leonie. - Jesteś taka niezależna. Masz śliczny dom. Robisz karierę. Prowadzisz bogate życie towa-



rzyskie i nikomu nic nie zawdzięczasz. A dokonałaś tego wszystkiego sama, bez mężczyzny.

Mossy wydmuchnęła strużkę dymu, po czym popatrzyła na Leonie.

- Ty możesz osiągnąć to samo - zapewniła ją z naciskiem. - Pamiętaj, Leonie. Niezależnie od tego, co ci zrobił ten twój eksmąż, wciąż jesteś młoda, piękna i zaradna. Masz rozum, dowcip i urok. Tego nikt nie może ci zabrać, mimo że dużo już straciłaś. Nikt nie jest na tyle potężny, żeby cię z tego okraść. Musisz stale patrzeć do wewnątrz. To tam odkryjesz swoją wartość jako istota ludzka. Nie w tym, co ci powie jakiś napalony mężczyzna czy ktokolwiek inny. A już na pewno nie znajdziesz tego w słowach człowieka, który okazał się tak podły i bezwzględny jak Hank Reynolds.

Słuchając tych pocieszających słów, Leonie czuła w gardle łzy i kiedy przyjaciółka zamilkła, z początku nie mogła nic powiedzieć. W końcu zachrypniętym głosem wykrztusiła:

- Dziękuję ci, Mossy. Potrzebne mi było takie zapewnienie.

- Od czego są przyjaciele? - rzuciła tamta lekkim tonem.

Leonie napiła się brandy.

- Hank okazał się naprawdę podły. Ciągłe nie mogę tego zrozumieć.

- Jest inna kobieta?

- Nie - odrzekła z wahaniem Leonie. - Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Jeżeli jest, to jeszcze się nie ujawniła.

- Więc jakim cudem, na litość boską, zagarnął prawie wszystko? - zdziwiła się Mossy. - Ale może jestem zbyt wścibska?

- Nie, wcale. Prawdę mówiąc, cieszę się, że pytasz. O tym też prawie z nikim nie rozmawiałam. Częściowo dlatego, że czuję się jak idiotka, a częściowo... Nie chciałam, żeby w Nowym Jorku zaczęto gadać o niektórych szczegółach. - Wzięła głęboki oddech i kontynuowała: - Mówiąc w skrócie, Hank coraz bardziej się ode mnie odsuwał. Potem zachowywał się wręcz wrednie, kiedy znalazłam się w pobliżu. W końcu zaczęliśmy rozmawiać o rozwodzie i zaproponował, żebym znalazła sobie adwokata. Odkryłam, że prawie wcale nie znałam własnego męża. Wiesz, jak byłam pochłonięta urządzaniem mieszkania w Nowym Jorku, a potem domu w Southampton. I jeszcze prowadzeniem sklepu. Dlatego naszym majątkiem zawsze zajmował się Hank ze swoimi prawnikami. Na szczęście z wyjątkiem sklepu. Okazuje się, że mieszkanie w Nowym Jorku było zapisane tylko na Hanka...

- Chyba żartujesz! - wykrzyknęła Mossy.  
- Chciałabym. Ale poczekaj, dalej będzie jeszcze gorzej. Nie tylko mieszkanie było zapisane wyłącznie na niego, ale i dom w Southampton. No i oczywiście pakiet akcji.

Przyjaciółka na chwilę oniemiała ze zdumienia. Siedziała bez słowa, wpatrując się w Leonie i potrząsając głową.

- Nie wierzę własnym uszom - oświadczyła wreszcie.

- Wiem - powiedziała Leonie - byłam taka głupia, beztrudno płynęłam przez życie i ufałam Hankowi, że zajmie się wszystkim. - Zamilkła na moment. - I zajął się. A przy okazji dopilnował, żeby w razie potrzeby móc mnie załatwić co do grosza.

- Mój Boże! - westchnęła Mossy. - Każdy myśli, że dostaniesz fortunę. Wszyscy wiedzą, że Hank jest wart setki milionów. Ciągłe o nim piszą w gazetach i czasopiśmie biznesowych.

- Tak - odrzekła z goryczą Leonie - i zamierza wszystko zachować dla siebie. Ja dostaję pieniądze ze sprzedaży sklepu i to, co było na moim koncie bieżącym. A także trochę mebli i rzeczy osobistych. Oczywiście sporo z tego poszło na adwokatów.

- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie - zarykowała Mossy.  
- Czy twoi adwokaci nie mogli nic zrobić? Boże, byliście małżeństwem tyle lat, przecież to ty pomogłaś Hankowi dojść tam, gdzie jest teraz.

- Gdybym się zdecydowała walczyć - wyjaśniła Leonie - kosztowałyby to fortunę, a tej nie miałam. I tak trudno mi było znaleźć w Nowym Jorku dobrego adwokata rozwodowego, który by wystąpił przeciwko zespołowi Hanka. Wszyscy się bali jego wpływów. W dodatku - i to przesądziło sprawę - Hank miał przeciwko mnie pewne dowody i groził, że ich użyje, jeśli będę z nim walczyć.

Mossy popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

- Nie mów! - wykrzyknęła. - Miałaś kogoś na boku?

Leonie roześmiała się smutno.

- Nie. Ale to mogło tak wyglądać - powiedziała. - Wiesz, jak bardzo byłam zżyta z Bobbym Chandlerem.

- To ten bankier o błękitnej krwi. Gracz w polo. Zawsze pokazywał go na stronach towarzyskich z jakąś dziedziczką uwieszoną do ramienia. Ciągłe go fotografują z księciem Karolem czy innym bogaczem z wyższych sfer na meczu polo czy innym. Bardzo duże i bardzo stare pieniądze.

- To cały Bobby - potwierdziła Leonie. - Robert Winston Chandler Czwarty. Bobby i ja bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Ciągłe się spo-

tykaliśmy na przyjęciach w mieście i w Hamptons. Pomagałam mu, kiedy urządził swój dom w Southampton. Właściwie zrobiłam to sama.

- Aha! - triumfowała Mossy. - Wiedziałam! Między tobą a Chandlerem coś zaszło!

- Nie! - Leonie roześmiała się znowu. - Na tym właśnie polega cała sprawa. Bobby... Bobby jest gejem.

- Chyba żartujesz! - Przyjaciółka była szczerze zaskoczona. - Ale... on wygląda na takiego zapalonego sportowca! I ma reputację faceta, który bez przerwy łamie dziewczynom serca.

- Zgadza się - odrzekła Leonie. - Masz rację w obu punktach. Jest zapalonym sportowcem i ma reputację faceta, który łamie serca dziewczynom. Chce, żeby tak uważano. Jest bardzo dyskretny. Gdyby się ujawnił, bank inwestycyjny, w którym pracuje, znalazłby jakiś sposób, żeby się go pozbyć, i to natychmiast. Poza tym rodzina by się go wyrzekła. A wierz mi, Bobby nie ma ochoty stracić choćby centa z milionów Chandlerów.

- Mój Boże! - Mossy westchnęła. - Nigdy bym się nie domyśliła. W życiu.

- Prawie nikt o tym nie wie - ciągnęła Leonie. - Bobby dba o swoją reputację stuprocentowego faceta. W każdym razie on i ja bardzo się zżyliśmy. Jest dla mnie jak brat, którego nigdy nie miałam. Dużo czasu spędzał u nas, kiedy jego dom w Southampton był remontowany. Potem, jak go urządziłam, Bobby właściwie przesadywał u nas stale. Któregoś weekendu, gdy Hank wyjechał służbowo do Tokio, Bobby został nawet na noc. Byliśmy razem na prostym obiedzie, a potem, po powrocie poszliśmy popływać. Fakt, że nago. Oboje byliśmy na lekkim rauszu i pomyślałam sobie, cholera, przecież Bobby jest gejem. Potem siedzieliśmy w łóżku, gadaliśmy przez pół nocy i wygłupialiśmy się. Bobby mnie obejmował, całował, taka błazenada. Całkowicie niewinna.

- Och, mój Boże! - powtórzyła Mossy. - Chyba wiem, co było dalej.

- Nasza mała imprezka w łóżku została sfilmowana na wideo. Co ciekawe, bez dźwięku. Tak że nasze wygłupy rzeczywiście wyglądały niedwuznacznie. Gdyby było słychać rozmowę, to by wszystko zmieniło. Prawdę mówiąc, przez większość nocy gadaliśmy o seksualnych wyczynach Bobby'ego. I to nie z kobietami.

- Czyli Hank najwyraźniej czekał na coś takiego - stwierdziła Mossy. - Musiał to starannie zaplanować.

- Chyba tak - zgodziła się Leonie. - Prawdopodobnie opłacił kogoś ze służby, żeby ten włączył kamerę w odpowiednim momencie. Przynajmniej tak przypuszczam. Bo wkrótce potem odszedł Raimondo, nasz kamerdyner. Żadnych wyjaśnień, nic, po prostu odszedł. Więc kiedy powiedziałam Hankowi, że zamierzam walczyć o podział majątku, zagroził, że wykorzysta film ze mną i Bobbym. Oświadczył, że skompromituje mnie w sądzie.

- Ale na litość boską, Leonie! - wykrzyknęła Mossy. - Jeśli Bobby Chandler jest gejem, Hank nie miałby szans!

- Właśnie o to chodzi, Mossy - odrzekła Leonie. - Nie rozumiesz? Nie mogłam wydać Bobby'ego. Gdybym ogłosiła, że jest gejem, zrujnowałabym mu karierę i całe życie. W żadnym wypadku nie mogłam tego zrobić.

- Czy Hank wiedział, że Chandler jest gejem? - zapytała Mossy.

- O tak, oczywiście! Ale wiedział także, że prawdopodobnie nie będę chciała wydać Bobby'ego, a gdybym nawet spróbowała to zrobić, trudno byłoby cokolwiek udowodnić. Cała ta sprawa zrobiła się taka... obrzydliwa, że się wycofałam. Wzięłam, co mogłam zabrać bez walki, tylko po to, żeby móc odejść. Chyba mnie wykończył cały ten brud.

- I dlatego teraz masz takie kłopoty z forszą.

- Tak - odrzekła Leonie. - Ale sobie poradzę. Już to robiłam, mogę zrobić jeszcze raz.

- Po czymś takim można stracić resztki wiary i zaufania do całego rodzaju ludzkiego. Zwłaszcza do mężczyzn. - Mossy znowu westchnęła. - Potrafią być wredni. Pamiętaj tylko, skarbie, że masz mnie. Zawsze.

Później, wieczorem, już w koszuli nocnej, Leonie spacerowała po swoim salonie. Zatopiona w myślach, rozważała płynące ze szczerego i dobrego serca rady Mossy. Opuszczona w tak ciężkiej sytuacji przez wielu nowojorskich przyjaciół, była jej wdzięczna za wyciągniętą rękę, za propozycję pomocy. Mossy była doskonałą słuchaczką i pomogła Leonie odzyskać mocno nadwątlony szacunek do samej siebie i poczucie własnej wartości.

Usiadła na sofie, wypija łyk wina i westchnęła.

Chyba oszalałam, pomyślała. Żeby w ogóle myśleć o takim mężczyźnie jak Sam Nicholson! Wydawał się zbyt skomplikowany i mimo pewności siebie oraz męskiego, swobodnego wdzięku miał jakąś zadrę w sercu, tego była pewna.

Jest też zbyt przystojny, uznała. Pewnie przez cały czas ugania się za nim połowa kobiet z doliny. Tak, musi wieść bardzo urozmaicone życie. I przeżył coś, o czym ona nic nie wie.

Poza tym Sam Nicholson ma żonę.

Odstawiła kieliszek i zaciśnęła usta. To przesądza sprawę, stwierdziła. Absolutnie nie dopuści, żeby Sam Nicholson opanował jej myśli. Z najbardziej oczywistego i praktycznego powodu: ten facet jest żonaty.

scandalous

## Rozdział 6

Dwa tygodnie później Sam Nicholson usłyszał, jak na jego prywatnej linii włącza się automatyczna sekretarka, ale nie chciało mu się od razu odsłuchać wiadomości. Właśnie wrócił z porannej przejażdżki konnej i przebierał się w garderobie. Oparł jedną stopę o „pieska” do zdejmowania obuwia, pociągnął i zsunął zakurzony but do jazdy konnej. Powtórzył procedurę z drugim, następnie zdjął beżowe bryczesy i cisnął je na sofę. Ściągnął skarpety, czarną koszulkę, a na końcu bokserki. Zostawiając wszystko na podłodze, podszedł boso do automatycznej sekretarki, podkręcił głoś i wcisnął guzik odtwarzania.

Kiedy usłyszał znajomy głos, poczuł dreszcz i zaczął oddychać szybciej. Samo brzmienie tego czystego, głębokiego kontraltu sprawiło mu zmysłową przyjemność, o której istnieniu niemal zapomniał.

- ...Mossy zawiozła mnie wczoraj do domu Cranstonów - mówiła Leonie - i bardzo mi się spodobało to, co tam zrobiłeś. Świetny projekt i doskonałe wykonanie. Chciałabym, żebyś podjął się renowacji mojego domu, oczywiście jeżeli cena będzie rozsądna. Skontaktuj się ze mną jak najszybciej. Podaję numer...

Sam wcisnął guzik przewijania. Nie potrzebował numeru Leonie Corinth, który utkwiał mu w pamięci na zawsze. Tak jak i ona sama.

Mimo uporczywych starań nie mógł wyrzucić jej z myśli. Miała w sobie niezwykły urok. Oszałamiająca uroda w połączeniu z żywiołowym, niezależnym duchem tworzyły kombinację, której nie

potrafił się oprzeć. Wspominał jej energiczny krok, gdy szła przed nim po schodach. Te nogi, ten... Boże, musi przestać o niej myśleć!

Leonie Corinth jest zbyt niezależną kobietą, żeby się nim zainteresować. Przypuszczalnie prowadzi bardzo aktywne, dynamiczne życie, które sama sobie stworzyła; był pewien, że wiedziała, czego chce, i na obecnym etapie raczej wykluczyła ewentualność związku z mężczyzną. A już na pewno z kimś takim jak on, uznał.

Naturalnie wiedział, kim ona jest. Kto by nie wiedział? Przecież o jej mężu ciągle pisała prasa, a ich towarzyskie sukcesy i wystawny styl życia były od kilku lat na bieżąco komentowane w plotkarskich artykułach oraz gazetach biznesowych. Sam zdawał sobie sprawę, że nawet teraz, rozwiedziona, Leonie jest mieszkanką innego świata. Oddalonego o lata świetlne od jego świata. Oczywiście, Minette miała pieniądze i koneksje, toteż w porównaniu z większością mieszkańców doliny żyli w bogactwie i luksusie. Ale była pani Reynolds obracała się w najwyższych kręgach międzynarodowego biznesu i socjety. Nie pośród dziesiątków milionów dolarów, lecz setek milionów, wręcz miliardów. Co innego być zamożnym i znanym, żyjąc w wiejskiej okolicy pośród farm, małych osad i miasteczek, a zupełnie co innego należeć do światowej elity, jak Leonie. Ona może zatrudnić Sama Nicholsona do renowacji domu, ale poza tym nie poświęci mu ani odrobiny czasu.

Skoro była żoną człowieka o tak wielkim majątku i wpływach, w mężczyznach w rodzaju Sama może widzieć wyłącznie służbę, która ma spełniać zachcianki pani. Nie jestem taki jak ona, myślał Sam. Przecież właściwie nigdy nie byłem bogaty, a wszystko, co mam, należy do Minette.

Dlaczego zatem czuł z nią taką więź? Potężną, wręcz nierozrwalną więź, uprzytomnił sobie. Naturalnie, zainteresował się nią częściowo ze względu na pewną rezerwę w jej zachowaniu. Domyślał się, że wiele przeszła. Prawdopodobnie bardzo przeżyła rozwód. Jeżeli Henry Reynolds w domu był takim samym rekinem jak na Wall Street, Leonie mogła sporo wycierpieć.

Zaczął spacerować po garderobie, zastanawiając się, co zrobić, jak odpowiedzieć na tę wiadomość, biorąc pod uwagę swoje uczucia - oraz zdanie Minette. Szybko jednak doszedł do wniosku, że jawna niechęć żony - wręcz wrogość - wobec tej propozycji nie powinna wpływać na jego decyzję. W przeszłości Minette też nie zgadzała się na jego pracę, nie zamierzał więc teraz ustępować jej samolubnym żądaniom.

Nie warto się zastanawiać, stwierdził. Potraktuje tę ofertę jak każdą inną. Leonie Corinth życzy sobie, żeby dla niej pracował, a on chce pracować. Więc trzeba do niej zadzwonić.

Podniósł słuchawkę i wystukał numer. Po dwóch sygnałach odebrała.

- Cześć - przywitał się. - Mówi Sam Nicholson, zgłaszam się po twojej wiadomości.

- Cześć - odrzekła. - Nie chcę cię poganiać, ale w zeszłym tygodniu Mossy zabrała mnie do domu Cranstonów i po prostu musiałam zatelefonować. Jest naprawdę piękny, Sam. Właśnie o taki efekt mi chodzi.

- Dziękuję bardzo - powiedział. - Było ciężko, ale chyba się udało. Posłuchaj, Leonie. Zrobię wstępne obliczenia i z grubsza opracuję pewne pomysły, jakie przyszły mi do głowy w związku z tym domem, a wtedy za parę dni będziemy mogli porozmawiać.

- Świetnie - ucieszyła się. - Chciałabym zakończyć remont przed zimą. O ile to możliwe.

- To nie powinno być trudne - uznał. - Jeżeli zdecydujemy się pracować razem, myślę, że możemy wszystko skończyć do Bożego Narodzenia. Może zostaną jakieś drobiazgi do zrobienia, ale nie główne roboty.

- Dobrze - powiedziała Leonie. - Może wobec tego wpadniesz w czwartek czy piątek. Odpowiada ci?

- Umówmy się na piątek - zaproponował Sam. - Będę miał więcej czasu na opracowanie kosztorysu i planu. Może w piątek rano, około dziesiątej. Zgadzasz się?

- Doskonale - odrzekła. - A zatem do zobaczenia.

- Do zobaczenia. - Odłożył słuchawkę, nabazgrał datę w notesie, po czym poszedł do łazienki. Czas wziąć prysznic i zjeść śniadanie.

I powiadomić żonę, co zamierza.

Jezu, pomyślał, w co ja się wpakowałem?

- Jak ci się udało przejeżdżka? - zapytała Minette, popijając mocną czarną kawę Colombian Supremo z delikatnej filiżanki. Do oranżerii, gdzie jedli śniadanie, wlewało się słońce, w którego blasku włosy żony lśniły jeszcze bardziej złociście niż zwykle.

- Doskonale - odrzekł z uśmiechem Sam. - Jicky, ten dwuletni wałach, którego kupiliśmy od Whitneyów, to świetny koń.

- Ma znakomity rodowód - przypomniała Minette. - Co krew, to krew, prawda?



- Chyba tak - rzucił nieuważnie. Chciał jej powiedzieć, że podejmuje się renowacji Octagon House, i mieć to z głowy. Wiedział, że reakcja żony nie będzie radosna.

- Widziałeś się dziś z Dirckiem? - spytała Minette.

- Tak. Ale tylko przez chwilę. Gdzieś się spieszył. Miałem nawet cię o to zapytać. Powiedział, że rozmawiał z tobą wczoraj wieczorem i wspomniałaś mu, że wybierasz się znowu do tego lekarza w Nowym Jorku. Zdawało mi się, że miałaś testy w zeszłym tygodniu, kiedy Dirck cię zawoził.

- Owszem - odrzekła Minette. - Ale wczoraj, kiedy ciebie nie było, zadzwonili z gabinetu doktora Nathansona. Powiedzieli, że trzeba przeprowadzić jakieś dodatkowe badania, więc zapisałam się na wizytę w przyszłym miesiącu.

Sam popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Jakie badania?

- Dokładnie nie wiem - odparła urażonym tonem. - Recepcjonistka nie mówiła, a ja się nie dopytywałam. Tylko umówiłam się na wizytę.

- To dość dziwne, prawda? - zauważył. - Nie wyjaśniła ci, o co dokładnie chodzi?

- Nie. Powiedziała tylko, że już od jakiegoś czasu nie robiono mi kompletnych badań i doktor chce je teraz wykonać.

- Życzysz sobie, żebym to ja zawiózł cię do miasta? - zapytał Sam. - Czy wolisz, żeby Dirck cię zabrał?

- Ty - rzuciła pospiesznie. - Chcę, żebyś tym razem ty mnie zawiózł. Więc zaznacz sobie ten dzień w kalendarzu. Wszystko ci tu zapisałam. W przyszłym miesiącu. - Wręczyła mu kawałek papieru.

- O pierwszej - przeczytał Sam. - Wyjedziemy więc około siódmej, żeby mieć dość czasu.

Dziwne, pomyślał. Prawie zawsze Minette jeździła z Dirckiem, by móc z nim porozmawiać, głównie o rodzinnych interesach, jak przypuszczał. Dziwił się, dlaczego tym razem chciała, aby to on ją zawiózł, ale postanowił nie pytać.

Jakby czytając w jego myślach, Minette wyjaśniła:

- Poprosiłabym Dircka, ale jestem na niego wściekła.

- A co tym razem zrobił? - zapytał Sam.

- Och, spotyka się z tą okropną dziewczuchą.

- Margy Newsome - domyślił się.

- Właśnie - przytaknęła z niesmakiem. - Co oznacza kłopoty - powiedziała dobitnie. - Przez duże K.

- Skoro ta dziewczyna uszczęśliwia Dircka... - zaczął Sam, odstawiając filiżankę z kawą.

- Ha! - prychnęła Minette. - Wcześniej prawdopodobnie uszczęśliwiała wszystkich robotników na farmach w całej dolinie.

Sam się uśmiechnął.

- Chyba masz rację - powiedział. - Cieszy się opinią takiej, co umie sprawić chłopakom przyjemność.

- Jeśli tylko będę mogła coś zrobić w tej sprawie - oświadczyła Minette - to panna Margy pójdzie sprzedawać swoje towary gdzie indziej.

- On jest twoim kuzynem - zauważył Sam. - Nie wtrącałbym się w to. - Napił się kawy i spojrzął przez stół na żonę. Lepiej to załatwić od razu, uznał. - Minette - oznajmił - w tym tygodniu będę opracowywał plan renowacji Octagon House.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Potem wypła łyk kawy i uniosła brwi.

- Jak chcesz, Sam - oświadczyła. - Ale tylko marnujesz czas na ten dom. I to dla tego śmiecia, tej rozwódki, jak jej tam.

- Och, daj spokój, moja droga - powiedział, starając się ją udobruchać. - Dom warto wyremontować, i wiesz o tym sama. A Leonie Corinth wcale nie jest śmieciem. Wydała mi się dystyngowaną damą.

W oczach Minette błysnęła ledwie ukrywana złość.

- Może i wydaje się dystyngowana, ale wątpię, czy byłoby ją stać, żeby ci zapłacić tyle, abys mógł sobie zafundować co rano konne przejażdżki!

Sam odstawił filiżankę i spojrzął na żonę.

- To było niepotrzebne, Minette. - Zrozumiał, że tym razem nie uda mu się jej ułagodzić. - Złóścisz się za każdym razem, kiedy przyjmuję nowe zlecenie, chyba że pochodzi od kogoś z twoich znajomych.

- Przynajmniej są wari twojego czasu - odparła gniewnie. - W ogóle nie musisz pracować. Mam masę pieniędzy, mógłbyś zająć się tylko posiadłością i końmi.

- Minette, rozmawialiśmy już na ten temat, nie mam ochoty do tego wracać - perswadował łagodnie Sam. - Ta praca jest dla mnie ważna i ty o tym wiesz.

- Twoja praca - prychnęła - jest niczym więcej jak tylko bezsensownym hobby!

Spokojnie złożył serwetkę i zostawił ją obok talerza.

- Przykro mi, że tak to odbierasz, moja droga, ale nie zmienię decyzji. - Wstał. - Schodzę teraz do gabinetu, a potem wyjeżdżam. Do zobaczenia później.

Wyszedł z oranżerii, ignorując grymas wściekłości na pięknej twarzy żony.

Ruszył spiesznie do gabinetu przy kuchni, zabrał swoją teczkę, a następnie zatrzymał się w kuchni, widząc Erminde, która drżała z ledwie powstrzymanej złości. Twarz miała zaczerwienioną, w oczach błyszczał gniew. Zobaczył, jak służąca ostrożnie odkłada nóż, którym siekała szalotki, i wpatruje się w ostrze.

- Co się stało, Ermindo? - zapytał cicho Sam.

Podniosła na niego wzrok.

- Ja... przepraszam... niechcący słyszałam państwa rozmowę, panie Samie - odpowiedziała. A pana żona to zła czarownica, dodała w myślach, bez serca i okrutna, którą zasługuje na karę za to, jak traktuje ludzi.

- Nie przejmuj się, Ermindo - odpowiedział łagodnie. - Po prostu Minette nie czuje się dzisiaj zbyt dobrze.

Młoda kobieta skinęła głową.

- Naturalnie, panie Samie - odrzekła. Nie czuje się dobrze! - pomyślała z furją. Ona nigdy nie czuje się dobrze. Każe mi tyrać bez chwili odpoczynku i traktuje mnie jak zwykłą puto. Jednak bez słowa wzięła nóż i zaczęła siekać szalotki.

- Na razie, Ermindo - powiedział Sam.

Służąca ponownie skinęła głową.

- Życzę miłego dnia, panie Samie.

- Ja tobie również - odrzekł, wychodząc z kuchni.

Ermina popatrzyła za nim. Zauważyła, że on jest dla niej miły, pomyślała. To jeden z powodów, dla których jest wobec niego taka okropna - i wobec mnie też. I dalej siekała szalotki.

W holu Sam porwał kluczyki z porcelanowej misy w różę i wypadł za drzwi, do swojego range rovera. Uruchomił silnik i wyjechał, chcąc czym prędzej uciec z tego nieznośnego więzienia, rozdartego jednak nieuniknionym poczuciem winy, że robi przykrość kobiecie, którą uczynił kaleką na całe życie.

## Rozdział 7

Mgła zniknęła i poranek zmienił się w błękitne marzenie bez śladu obłoku na niebieskim niebie. Kilka ćwierkających o brzasku ptaków stopniowo wyparł chór wyspiewujący bez dyrygenta dziesiątki symfonii, aż Leonie poczuła się, jakby była w ogromnej ptaszarni. Wkrótce jednak ptaki zgłodniały i ucichły, skupione na wyszukiwaniu jedzenia i polowaniu. Przez chwilę obserwowała rudziki, których główki podskakiwały na trawniku w rytm uderzeń dziobów, a potem obejrzała gonitwę pręgowców i wiewiórek pośród ogromnych starych sosen. Gdzieś w pobliżu powozowni gruchały gołębie, a na jednej ze starych rabatek ujrzała dwa białe motyle wykonujące pas *de deux*.

Leonie przygotowała śniadanie na starym ogrodowym stole, pozostawionym za domem przez poprzednich właścicieli. Przyciągnęła go na jeden z kamiennych tarasów i przykryła słonecznie żółtym bawełnianym obrusem w drobny wzorek z czerwonych kwiatków. Kupiła go w Prowansji tak dawno temu, że strach wspominać. Pośrodku umieściła kremowy dzbanek, do którego włożyła mnóstwo fioletowego bzu zerwanego z olbrzymich starych krzaków rosnących w ogrodzie. Ustawiła dwa kremowe stare talerze z pasującymi do nich miseczkami, filiżankami i spodeczkami, srebrną tacę z chlebem żurawinowym, który dopiero co wyjęła z pieca, salaterki pełne truskawek i brzoskwiń, dzbanuszek ze śmietanką, świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy oraz dzbanek aromatycznej, gorącej kawy. Srebrne rosyjskie sztuce z początku dziewiętnastego wieku lśniły w słońcu.

Wstała wcześniej i szybko zrobiła lekki makijaż, następnie z niezwykłą starannością ubrała się w przewiewną, białą bawełnianą

długą sukienkę w stylu Carmen, z falbankami i wycięciem w łódkę, odsłaniającym ramiona. Idealnie pasowały do niej proste, białe sandały ze skóry.

Patrząc na nakryty do późnego śniadania stół, pomyślała, że jest uroczy i powinien zrobić wrażenie na każdym mężczyźnie. To znaczy, na każdym obdarzonym odrobiną wrażliwości. I chociaż próbowała sobie wmówić, że postarałaby się tak samo dla każdego gościa, w głębi serca wiedziała, że chce zrobić jak najlepsze wrażenie na Samie Nicholsonie.

W ubiegłym tygodniu ponownie obeszlą posiadłość, tym razem poddając ją drobiazgowym oględzinom. Sam przywiózł także dwóch inżynierów, aby ocenili stan szamba, pieca, studni, systemu oczyszczania wody - słowem wszystkich głównych urządzeń. Nic porywającego, ale rzecz istotna. Potem Leonie została z nim sama, żeby obejrzeć wstępne plany, dokumentację i przybliżony kosztorys.

Ogromne wrażenie zrobiły na niej profesjonalizm Sama, analiza, którą wykonał w bardzo krótkim czasie, jego wizja całości remontu i przemyślane propozycje. Przedstawił jej wybór między perfekcją, porządną robotą i jedynie kosmetyką - musiała tylko ustalić budżet. Bardziej niż kiedykolwiek uderzyło ją, że nadają na tych samych falach, jeśli chodzi o zakres koniecznych prac, aby tchnąć w dom nowe życie. Po wielu godzinach chodzenia z pokoju do pokoju, analizowania planów i słuchania nawzajem swoich propozycji zgodzili się we wszystkich punktach. W końcu podjęli decyzję, że on wykona renowację posiadłości, jeśli Leonie zaakceptuje ostateczny projekt i kosztorys.

Dzisiejszego ranka miał je przywieźć razem z umową, gdyby zdecydowała się ją podpisać. Leonie była przekonana, że nie znajdzie się tam żaden haczyk, który przeszkodziłby w jej zaakceptowaniu. Była jednak kobietą praktyczną, wiedziała, że wszystko może się zdarzyć. Przekonała się o tym przy renowacji domu w Southampton. Tam niekończące się poprawki, umowy renegocjacyjne, zwalnianie robotników i zatrudnianie nowych, zastępstwa oraz tym podobne sprawy były na porządku dziennym. Przez cały czas panował ledwie kontrolowany chaos.

Ale było to jej pierwsze przedsięwzięcie tego typu i ostatecznie okazało się bardzo udane. Prawdę mówiąc, okazało się triumfem. „Architectural Digest” zamieścił fotografię domu na okładce, co wzbudziło zazdrość niejednego mieszkańca Hamptons.

Kiedy usłyszała charakterystyczny warkot range rovera na zwirowym podjeździe, coś w niej zatrzepotało. Od rana z zapartym tchem oczekiwała przyjazdu Sama. Prawie obezwładniające fizyczne przyciąganie między nimi nie malało, może nawet było potężniejsze niż kiedykolwiek, nawet po kilku razem spędzonych godzinach.

Pobiegła do łazienki, aby sprawdzić uczesanie i makijaż. Spoglądając w lustro, przegarnęła dłonią włosy, aby je trochę unieść. *Voila*, rzuciła w myślach swojemu odbiciu i pobiegła z powrotem do stołu, gdzie przysiadła na żelaznym ogrodowym krzesełku, starając się nie wyglądać jak podekscytowana nastolatka na pierwszej randce.

Sam zaparkował i wysiadł z auta. Staął, wpatrzony w roztaczający się przed nim widok. W rękę miał teczkę, z dużej skórzanej torby wystawały zwinięte w rulon plany. Gdy ruszył ku Leonie przez wiosenny ogród, znowu obezwładniły ją jego zielononiebieskie oczy, ogorzała od słońca skóra, chłopiące włosy, ciało... stop, powiedziała sobie stanowczo w tym momencie.

- Co to za uczta? - zapytał wesoło Sam. - Wygląda wspaniale.

- Pomyślałam, że jak cię nakarmię, to może urwę coś z twojego honorarium - odrzekła Leonie z nutą rozbawienia w głosie.

Sam się zaśmiał.

- Niezły pomysł. - Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej. - Ale szczerze mówiąc, w tej sytuacji raczej nie podziąła.

- Ach, Sam - zażartowała Leonie - rozczarowujesz dziewczynę z Nowego Jorku, która przywykła targować się z najlepszymi!

- Mam wrażenie - powiedział - że chyba będziesz zadowolona z kosztorysu. Postarałem się, jak mogłem, żeby utrzymać wydatki na niskim poziomie bez rezygnowania z jakości.

- Wierzę ci - zapewniła go. - Chcesz, żebym obejrzała umowę i kosztorys teraz, czy jak już coś zjemy?

- Lepiej potem. - Sam uśmiechnął się rozbijająco. - Chcę mieć pewność, że zdołam się nacieszyć tymi pysznościami.

Leonie nalała mu kawy i soku, a potem przysunęła chleb, truskawki, brzoskwinie i śmietankę.

Zabrał się do jedzenia z apetytem.

- Pyszne - pochwalił poczęstunek.

- Dzięki, Sam - odrzekła ciepło. - Cieszę się, że ci smakuje. To proste rzeczy, ale czasami prostota jest najlepsza.

- Zgadzam się z tobą całkowicie.

Spojrzał na nią ukradkiem znad filiżanki z kawą i przeszedł go znajomy dreszcz. Boże, pomyślał, przecież ona jest piękna, mądra

i taka miła. Jaki mężczyzna mógłby ją porzucić? Chciał wstać i usiąść obok niej, objąć ją, aby poczuć ciepło tej gładkiej promiennej skóry.

Leonie zauważyła jego spojrzenie i jej twarz pokryła się rumieńcem. Prędko odwróciła głowę, pełna irracjonalnej obawy, że Sam potrafi odczytać jej myśli. Jego męska siła i seksualność nadal wytrącały ją z równowagi, tak że po prostu nie umiała zapanować nad fantazjami, które przychodziły jej do głowy od pierwszej chwili, gdy go ujrzała. Pragnęła go dotykać, poczuć jego silne ciało przy swoim i czasem ogarniała ją smutek, ponieważ wiedziała, że to niemożliwe. Nie, powtarzała sobie w duchu, nie mogę o tym myśleć. Nie wolno mi.

Sam wyczuł jej niepokój i odstawił filiżankę. Zaczął mówić o domu.

- Raport inżynierów okazał się lepszy, niż się spodziewałem - oświadczył.

Leonie pospiesznie przytaknęła.

- Byłam przygotowana na najgorsze - przyznała się. - A tu takie przyjemne zaskoczenie. Teraz się nie buduje tak jak kiedyś, prawda?

- Nie - odrzekł Sam - racja. To wszystko wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości.

- Uważam, że miałam szczęście, prawda?

- Tak, Leonie, zgadzam się z tobą. Ale i nasza okolica miała szczęście, że zainteresowałaś się tym domem. Stał tu od dawna, niszcząc, psując widok. - Spojrzał jej w oczy. - Więc chyba wszyscy skorzystaliśmy na twoim przyjeździe.

Leonie przełknęła kawę i odwzajemniła jego spojrzenie.

- Dziękuję, Sam - powiedziała. - To... To brzmi szczególnie miło w twoich ustach.

Kończyli powoli śniadanie, gawędząc o dolinie, jej pięknie, historii i ciekawej, różnorodnej architekturze, która urozmaicała krajobraz.

Wreszcie Leonie niechętnie przystąpiła do interesów.

- Dobrze - powiedziała - już dość długo odkładam to, co nieuniknione. - Popatrzyła na niego. - Ile mnie to będzie kosztować? Pokaż mi kosztorys.

Sam położył na stole podniszczoną, starą, brązową teczkę z cielecej skóry, otworzył ją i wyciągnął plik spiętych kartek. Podał papiery przez stół Leonie, która zaczęła czytać pierwszą stronę.

- Uwzględniłem wszystkie koszty - oświadczył. - Robocizna, dostawy, honorarium architekta i tak dalej. Wydzieliłem też koszty

remontu poszczególnych budynków - domu, stodoły, powozowni oraz wykonania basenu. Nawet naprawy altany i pergoli. Lepiej, żebyś dokładnie znała cenę każdej inwestycji, bo gdybyś chciała zmniejszyć jakieś koszty lub wprowadzić zmiany, łatwo możesz to zrobić.

- Świetnie - odezwała się Leonie, uważnie czytając kosztorys.

- Widać, na co pójdzie każdy cent - dodał Sam, obserwując ją i starając się odgadnąć jej myśli.

Leonie skończyła przerzucać kosztorys i odłożyła go na stół.

Sam spojrział na nią pytająco.

- Co o tym sądzisz? - zapytał.

Podniosła na niego oczy i skinęła głową.

- Podoba mi się to, co zobaczyłam - oznajmiła rzeczowym tonem.

Na twarzy Sama odmalowała się ulga.

- Jestem gotowa podpisać - dodała - o ile twoja umowa będzie mi odpowiadać.

- Sądzę, że nie ma tam nic, co by ci się mogło nie spodobać - oświadczył. Wyjął egzemplarz umowy i podał Leonie. - Jeśli chcesz, żebym coś wyjaśnił, pytaj.

- W porządku.

Obserwował Leonie, gdy czytała kontrakt, podziwiając jej rzeczowe, praktyczne nastawienie. Taka jest we wszystkim, pomyślał. W niczym nie przypomina trzepoczącej rzesami, bezradnej kobietki, jaką zdaniem wielu musi być bogata rozwódka. Miał nadzieję i modlił się, żeby podpisała, bo w tej chwili niczego w świecie tak nie pragnął, jak współpracować przez następnych kilka miesięcy z tą uroczą istotą, tak ściśle, jak to możliwe.

Leonie skończyła czytać i odłożyła umowę na stół.

- No cóż - powiedziała - odpowiada mi. Masz pióro? - Uśmiechnęła się do niego.

- Jasne - odrzekł, odwzajemniając uśmiech. Wyjął z teczki pióro od Cartiera - bardzo drogi prezent, który sprawiła mu kiedyś Minette - i wręczył jej. - Proszę - powiedział - a tu jest drugi egzemplarz.

Leonie podpisała oba, po czym oddała pióro i jedną kopię Samowi.

- Druga dla mnie, prawda? - spytała.

- Tak. - Włożył pióro i kontrakt do teczki, zamknął ją z trzaskiem, po czym wstał i wyciągnął rękę. - No to zawarliśmy umowę, co?

- Tak - oświadczyła Leonie, ściskając mu dłoń. - Na to wygląda. Kiedy zaczynamy?



- Jutro rano.
- Jutro rano? - zapytała zaskoczona.
- Około siódmej - sprecyzował Sam.
- Siódmej rano? - powtórzyła.

Uśmiechnął się i skinął głową.

- Punktualnie - powiedział. - Przecież ci się spieszy, prawda?
- Prawda - odrzekła Leonie. - To znaczy, że moje spokojne życie w dolinie właśnie się skończyło. - Podniosła na niego oczy. - Będę czekać, zwarta i gotowa.

I pomyślała: Jeszcze nigdy w życiu tak się nie cieszyłam na myśl o ciężkiej pracy.

scandalous

*CZĘŚĆ DRUGA*

# **LATO**

scandalous

## Rozdział ósmy

Wczesny czerwcowy poranek zalał blaskiem jej łóżko, a chór ptaków jak codziennie wyśpiewywał swą wrzaskliwą symfonię. Ale Leonie spała mocno. O tej porze czuło się jeszcze miły chłód, lecz później, w ciągu dnia, słońce nagrzeje powietrze i zrobi się bardzo ciepło. Niebo było bezchmurne, lazurowe. W dolinie Hudsonu panowało idealne lato.

Budzik zabrzączał przenikliwie. Leonie przewróciła się i wyciągnęła rękę w kierunku, z którego dochodził ostry dźwięk. Oczy wciąż miała zamknięte przed porannym światłem.

- Do licha, gdzież on jest? - zirytowała się, przesuając dłoń po stoliku obok sofy, szukając pośród książek, czasopism, szklanki z wodą, chusteczek higienicznych, toniku, kremów i... w końcu sukces! Jest! Zdecydowanym ruchem wyłączyła budzik i drażniący dźwięk umilkł.

- Oooch - jęknęła na głos - dzięki Bogu! - Ziewnęła i powoli otworzyła oczy, przetarła je palcami, po czym usiadła w łóżku, oparta plecami o poduszki.

- Oooch! - jęknęła ponownie. Przeciągnęła się, prostując ręce i nogi, ramiona i kręgosłup, a potem jeszcze raz ręce i nogi.

Była cała obolała, od czubka głowy po czubki palców u nóg, a każdy skrawek każdego mięśnia w jej sprężystym ciele buntował się przeciwko wysiłkowi, jakiego nigdy dotąd nie zaznało.

Wszystko mnie dziś boli, pomyślała. Wszysciutko. Nawet paznokcie. Włosy też mnie boją!

- Zachciało mi się ogrodnictwa - mruknęła i wzdygnęła się. - Porządkowanie ogrodu mnie wykończy. Na amen!

W ciągu ostatnich kilku tygodni zrobiła jednak wyraźne postępy, a poza tym nie pamiętała, żeby kiedykolwiek mogła tak dobrze spać. Na przykład wczoraj wieczorem po długiej gorącej kąpieli i bogatej w cholesterol kolacji, złożonej z cheddara i omletu z sałwą oraz grzanek z masłem, zwinęła się w kłębek w łóżku; zdołała przeczytać zaledwie dwie strony wciągającego kryminału, który zaczęła w ubiegłym tygodniu, kiedy już spała z książką w dłoni przy wciąż zapalanej lampce. W takim tempie będzie czytać tę książkę przez całe lato! Ale czuła, że zmęczenie fizyczne i głęboki, niczym niezakłócony sen pozwalają jej się zregenerować, chociaż bolało ją całe ciało.

Przeciągnęła się jeszcze raz i przeniosła wzrok na budzik. Za dwadzieścia pięć szósta! Do roboty, pomyślała. Muszę się brać do roboty! Odrzuciła prześcieradło i wyskoczyła z łóżka, wsunęła stopy w gumowe klapki - bardzo praktyczne podczas remontu, bo jak się zabrudziły, wystarczyło je opłukać - i pędem pobiegła do łazienki.

Pospiesznie ochlapała policzki zimną wodą raz, drugi i trzeci, po czym wytarła twarz, energicznie umyła zęby i uczesała włosy. Zerkając na siebie w lustrze, sięgnęła po kosmetyczkę i zaczęła nakładać róż na policzki, ale nagle odłożyła kosmetyki.

Po co?, zapytała w duchu swoje odbicie w lustrze. Po co? Przecież po wyjściu zaraz się wybrudzę.

Wówczas w jej myślach pojawił się zawsze świeży, opalony, przystojny Sam Nicholson i Leonie natychmiast znów chwyciła kosmetyczkę. Ale zanim wyjęła róż, zdecydowała, że nieskazitelny pan Nicholson musi polubić ją taką, jaka jest. *Saute*, by tak rzec. W obecnej sytuacji, uznała, codzienne skrupulatne upiększanie się jest stratą cennego czasu i energii.

Odłożyła kosmetyczkę z powrotem na toaletkę i pobiegła do salonu, gdzie prędko zdjęła koszulę nocną i włożyła stanik, figi, koszulkę z długim rękawem oraz długie, poplamione farbą spodnie khaki - wszystkie rzeczy leżały starannie złożone na wypakowanej walizce stojącej obok sofy. Zamknęła walizkę - aby lepiej chronić ubrania przed warstwą pyłu - naciągnęła kapę na sofę, nie składając pościeli, tylko nieco ją wygładzając. Następnie złapała olbrzymią plastikową płachtę, rozwinęła ją i starannie rozłożyła na całej kanapie. Gotowe! To uchroni jej małą oazę w centrum prac remontowych przed najgorszym pyłem z trocin, tynku i rozmaitych innych materiałów.

Włożywszy z powrotem klapki, popędziła do kuchni, przygotowała kawę i włączyła ekspres. Czekając, aż się zaparzy, wyjęła z szafki

dwa kubki, odszukała słodzik i wydobyla z lodówki odtłuszczone mleko. Włączyła radio - znowu na stację WABY z Albany.

- O, nie! - powiedziała na głos. - Znowu! Frankie, skarbie, jest za wcześnie, o wiele za wcześnie na twoje słodkie piosenki o miłości. Uwielbiam cię, ale nie przed południem.

Zmieniła falę na 89,1 FM, stację nadającą muzykę poważną. Mozart, doskonale, pomyślała. Trochę spokojnej, kojącej muzyki fortepianowej, idealnej na wczesny ranek.

Wzięła dwie kromki pełnoziarnistego chleba, wrzuciła je do tosteru, wyjęła z lodówki margarynę i spojrzała na dżemy. Konfitury - nie! Agrest. Nie. Czarna porzeczka. Też nie. O, to! Grubo krojona sewilska marmolada pomarańczowa. Dzisiaj to będzie najlepsze.

Kawa się zaparzyła. Leonie nalała sobie kubek, dodała słodzik i odtłuszczone mleko, następnie posmarowała tosty margaryną i marmoladą. Ustawiła kubek na talerzu z grzankami i podeszła do tylnego wyjścia. Z kołka w ścianie zdjęła sweter i stary słomkowy kapelusz, zmieniła klapki na drewniaki i ruszyła w kierunku altany.

Wcześniej ustawiła tam mały, metalowy stół ogrodowy z krzesłami; teraz usiadła przy nim, by delektować się kawą z grzankami przy akompaniamencie porannego chóru ptaków, kakofonii, która przez kilka pierwszych nocy budziła ją o świcie, ale obecnie nie mogła się przedrzeć przez jej mocny sen.

Drząc w chłodnym porannym powietrzu, narzuciła sweter. Wiedziała, że potem go zdejmie - kiedy zajmie się pracą fizyczną w ogrodzie, a mgła powoli wyparuje w słonecznych promieniach.

Gryząc grzankę i popijając kawę, Leonie powiedła wzrokiem po domu i ogrodzie, a potem popatrzyła na wzgórze Berkshires, na rzekę i dalej na zachód w kierunku Catskills. Właśnie w takich chwilach jak ta, ciesząc się pięknem i spokojem poranka, czuła, że kupując ten dom, podjęła właściwą decyzję. Oczywiście w ciągu pracowitych, wypełnionych obowiązkami dni i zmęczonych wieczorów były momenty, kiedy powątpiewała w słuszność swego wyboru, lecz to magiczne miejsce nieodmiennie uświadamiało jej, że cel jest szczytny, a decyzja była naprawdę mądra i praktyczna - może nawet natchniona.

Szybko dokończyła kawę i grzankę, wstała i włożyła duży, słomkowy kapelusz pod takim kątem, żeby chronił jej twarz przed słońcem. Poszła do stodoły, gdzie trzymała wózek ogrodniczy, zawsze załadowany narzędziami i wszelkimi niezbędnymi materiałami. Była to właściwie sporych rozmiarów taczka z dużymi kołami o żelaznych szprychach. Leonie włożyła rękawiczki, które leżały na wia-

drze wypełnionym drobnymi akcesoriami ogrodniczymi. Długie rękawiczki z koźlej skórki dobrze chroniły ręce przed kolcami, i chociaż tak niedawno były nowe, zniszczyły się już niemal doszczętnie przy wykonanej dotąd pracy.

No cóż, westchnęła, i tak miała w planie kolejną wycieczkę do miejscowego centrum. Ogród natychmiast pochłaniał wszystkie dostawy, ledwo nadszała z kupowaniem roślin i innych niezbędnych rzeczy.

Ujęła rączki wózka w obie dłonie i pociągnęła za sobą w kierunku klombu, po drodze przyglądając się swojemu dziełu: pokrytej różami altanie i obwieszonej wistarią pergoli.

Z altaną poszło stosunkowo łatwo, wystarczyło usunąć obumarłe pędy róż i przyciąć splecione niczym dżungla gałązki. Nie wyglądało to teraz zbyt pięknie, ale matka natura zajmie się resztą w okresie letniej wegetacji. Leonie była zadowolona ze swojej pracy i nie mogła się doczekać kwitnienia i rozrostu róż. Poza tym po przycięciu łatwo będzie naprawić i odmalować altanę bez uszkodzenia krzaków.

Pergola - to była zupełnie inna sprawa. Aby przyciąć bujnie rozrosnięte pnącza, Leonie musiała posłużyć się piłą oraz wielkim sekatorem. Wiedziała, że w tym roku wistarią nie odwdzięczy jej się kwiatami, ale była pewna, że zakwitnie następnej wiosny, jeżeli nie dla niej, to dla nowych właścicieli, kimkolwiek będą.

Przyciągnęła wózek do rabaty i oceniła czekające ją zadanie. Przycinanie, przycinanie i jeszcze raz przycinanie. Nawożenie i spulchnianie gleby. Pielenie i pryskanie. Czy to się nigdy nie skończy? - zapytała siebie w myślach.

Zaczęła od wrywania chwastów, ponieważ cały ten kawałek był tak zarośnięty, że z trudem mogła dostrzec krzewy róż pośród reszty roślin. Podobnie jak ścieżki między kwartałami. Samo wypilenie i przycięcie krzaków wzdłuż kamiennych alejek zajęło jej dwa dni.

Za to, pomyślała, róże tutaj odwdzięczą mi się tak samo jak te pnące przy altanie, a dzięki ogrodowi pełnemu kwiatów posiadłość zyska na wartości i będzie bardziej atrakcyjna dla nabywców.

Z sekatorem w ręce zaatakowała gałązki kolejnego krzewu, starając się uważać na kolce, chociaż zadrapania były nieuniknione. Na tym kawałku zostało jej jeszcze tylko kilka róż i będzie gotowy. Nie tracąc czasu, rozerwała szpadlem torbę nawozu i zaczęła go rozrzucać wokół krzaków. Uśmiechnęła się, gdy uderzyła ją ironia faktu, że dzięki temu obrzydliwie śmierdzącemu paskudztwu pojawią się cudownie pachnące kwiaty.

Ledwo zaczęła, kiedy usłyszała warkot range rovera na podjeździe. Codziennie rano Sam zjawiał się pierwszy i zwykle odjeżdżał wieczorem ostatni - i często siadał z nią przy filiżance kawy, aby omówić postępy prac.

Oparła się o szpadel i odwróciła głowę w stronę podjazdu, patrząc, jak Sam wysiada i idzie do powozowni. Urządził tam sobie coś w rodzaju tymczasowej kwatery głównej, ze stołem z dużych płyt pilśniowych opartych na kozłach do piłowania, gdzie rozkładał plany. Gdy dostarczano materiały budowlane, większość z nich rozładowywano właśnie w powozowni albo w stodole, a Sam wszystko starannie sprawdzał.

- Cześć! - zawołała do niego.

Zatrzymał się przed wejściem do powozowni i rozejrzał się wokół. Kiedy ją zauważył, dostrzegła, jak uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Cześć! - odpowiedział i od razu podszedł do klombu.

- Jeżeli chcesz kawy - powiedziała - to jest na blacie w kuchni.

- Super - ucieszył się. - Dla ciebie też?

- Poproszę. - Leonie zsunęła słomkowy kapelusz z czoła. - Wypijemy w altanie, dobrze?

- Zaraz wracam - powiedział Sam.

Leonie oparła łopatę o wózek, ściągnęła rękawiczki i otrzepała je o udo.

- Fiu, fiu! - powiedziała na głos. Ruszyła do altany, gdzie zdjęła kapelusz i sweter, a potem potrząsnęła włosami. Nie było jeszcze siódmej, a ona już tak się zmęczyła, że całe jej ciało pokrywała błyszcząca warstewka potu. Żałowała, że nie może pracować w szortach, ale wśród kolczastych róż było to niemożliwe, chyba że chciała podrapać sobie nogi do krwi.

Usiadła w chwili, gdy Sam wszedł z dwoma kubkami gorącej kawy.

- O, dzięki - powiedziała, biorąc jeden.

- Proszę bardzo. - Popatrzył na nią z zaciekawieniem. - Wyglądasz, jakbyś grzebała w ziemi przez dłuższy czas - zauważył i dodał: - Jak zwykle.

- Tak - odrzekła Leonie. - Chcę zrobić jak najwięcej, zanim będzie upał i pojawią się owady, a przynajmniej skończyć te najcięższe prace.

- Muszę przyznać, że przez te parę tygodni działałaś tu cuda.

- Wyglądasz na zdziwionego - zaśmiała się Leonie.

- Bo jestem - potwierdził. - Nawet nie przypuszczałem, że weźmiesz się do tego sama.

Odstawiła kawę i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- A to dlaczego? - zapytała.

Sam zamyślił się na chwilę.

- Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że miejska ślicznotka z dużymi pieniędzmi będzie własnoręcznie rozsypywać nawóz w ogrodzie. Wydawało mi się, że raczej kogoś do tego zatrudnisz.

Leonie się uśmiechnęła.

- Wierz mi, myślałam o tym - przyznała się. - To znaczy, żeby wziąć kogoś. Ale ta praca sprawia mi przyjemność. - Przerwała i napiła się kawy. - No i w ten sposób zaoszczędzę parę dolców, a wszystko będzie zrobione tak, jak chcę. A te duże pieniądze, jak to ująłeś, są tak duże, że jeżeli nie będę ostrożna, to bardzo szybko znikną.

- Nie chciałem być niegrzeczny. - Sam miał minę winowajcy. - Po prostu zdawało mi się...

Leonie uniosła rękę.

- W porządku, Sam. Nie ma sprawy. Mogę tylko powiedzieć, że nie jestem nadzianą rozwódką, za jaką się mnie uważa. A teraz może zrobimy obchód? - Wciąż niechętnie rozmawiała z kimkolwiek oprócz Mossy o swoim położeniu, dlatego wolała zmienić temat. Chociaż bardzo lubiła (to słowo nie oddawało w pełni jej prawdziwych emocji) Nicholsona, nie czuła się jeszcze w jego towarzystwie na tyle swobodnie, by mu się zwierzać.

- Dobry pomysł. - Sam odstawił kubek. - Zwłaszcza że wczoraj nie zdążyliśmy. Chodźmy, zanim będzie tu pełno robotników. - Poczuli się zawiedziony, że z jakiegoś powodu Leonie Corinth nie pozwalała mu poznać się bliżej.

Obeszli południową stronę domu, gdzie pagórki ziemi i kamieni wyznaczały położenie nowego szamba i rur kanalizacyjnych, które zainstalowano w zeszłym tygodniu.

- Szkoda, że trzeba odczekać z wyrównaniem ziemi - powiedziała Leonie. - Mogłabym od razu zasiać trawę, żeby wyrosła w ciągu lata.

- Problem w tym - wyjaśnił Sam - że ziemia w miejscu wykopu osiadzie. Jeżeli zaczekasz przynajmniej do końca lata, kiedy grunt trochę się już utwardzi, zyskasz dużo większy teren pod trawnik. Jeśli zasiejesz teraz trawę, później trzeba będzie to robić od nowa.

- Czyli muszę wytrzymać - odparła zrezygnowana. - Ale wygląda to okropnie. - Odwróciła się i spojrzała na Sama. - Zresztą cała posiadłość wygląda teraz okropnie, prawda?



- Tak, ale już niedługo - pocieszył ją. - Przez jakiś czas jeszcze będzie tu sądny dzień, a potem nagle... pstryk! - i wszystko zacznie nabierać kształtu.

Leonie ogarnęła spojrzeniem dom. Zniszczona elewacja została już usunięta i zastąpiona nowym drewnem. Zdjęto okiennice i część z nich poszła do naprawy, a część miano wyrzucić i zastąpić nowymi, identycznymi. Usunięto też sporo dachówek. Wszystkie miały być wymienione, reszta zostanie zrzucona dzisiaj. Leonie wybrała nowe dachówki w kolorze ciemnozielonym, prawie czarne, aby pasowały do farby, jaką zostaną pomalowane okiennice. Była to zieleń essex, bardzo ciemna, z odcieniem czarnoniebieskim. Większość przeszklonych drzwi i wysokich okien nadawała się do naprawy, ale parę trzeba było wymienić. Dom stanowił więc połączenie nowego ze starym, nie licząc kilku braków, które należało uzupełnić.

- Wygląda jak zwariowana łatanina - powiedziała.

- To prawda - przytaknął Sam. - Jak patchwork.

Leonie wskazała na stojący na trawniku olbrzymi pojemnik na odpadki.

- Bardzo szybko się zapełnia - zauważyła. - To niesamowite, ile tu gruzu i śmieci.

- Tak - odrzekł Sam - ale to chyba przedostatni. Wyburzenia już prawie zakończone.

Podeszli do kolejnego pagórka ziemi i kamieni, w miejscu, gdzie położono podziemne kable elektryczne, telefoniczne i telewizyjne. Tak jak przy szambie, można będzie posiać tu trawę dopiero pod koniec lata. Na ścianie domu umieszczono nowy licznik elektryczny, przystosowany do wszystkich nowoczesnych urządzeń.

- Kolejne paskudztwo - powiedział Sam z uśmiechem.

- Ale już niedługo - zapewniła go Leonie wesołym tonem.

Zaczęli się zjeżdżać robotnicy, żwir na podjeździe zgrzytał pod kołami samochodów. Wołali „cześć” na powitanie albo trąbili klaksonami i machali. Przyjacielscy i sympatyczni ludzie, pomyślała Leonie, a wszyscy odnoszą się do Sama z szacunkiem i wręcz go uwielbiają.

Z początku dziwiła ją ich zażyłość, ale potem zrozumiała, że to dlatego, że Sam przebywał razem z robotnikami. Nigdy nie odgrywał wielkiego szefa i brał udział w pracach każdej brygady. Zobaczyła jeszcze coś, co ją zaskoczyło i ucieszyło: kiedy któryś z ludzi nie mógł sobie z czymś poradzić, gdy kogoś zabrakło albo nastąpił jakiś kryzys, Sam Nicholson bez wahania ruszał z pomocą, czy chodziło o radę, czy o pracę fizyczną.

Przez ostatnie dwa tygodnie kilka razy widziała, jak sam brał się do roboty. Nie był wywyższającym się architektem, który tkwi w swoim biurze, wydaje polecenia, a na placu budowy pojawia się tylko po to, żeby zarządzać albo krytykować. Robił to, kiedy było trzeba, ale miał do swej pracy bardzo emocjonalny i osobisty stosunek. Razem z robotnikami przeciągał kable, dźwigał gruz, kopał, piłował, wbijał gwoździe - wszystko to, co akurat było potrzebne.

Kogo się spodziewałam?, zapytywała siebie Leonie. Prawdopodobnie kogoś bardziej w stylu bardzo sławnego, drogiego i snobistycznego architekta, którego zatrudniła w Southampton. Wiedziała przecież, że Sam jest mężem miejscowej potentatki, mieszka w wielkiej rezydencji i hoduje konie, a kształcił się w Yale. Wyobrażała więc sobie, że będzie zimny - może nawet wyniosły - i nie zainteresuje się przyziemnymi szczegółami budowy. Z radością przekonała się jednak, że umiał zakasać rękawy, by wziąć się do roboty, i wcale nie był snobem.

- Chcesz rzucić okiem w środku? - zapytał Sam.
- Tak, jeśli nie będziemy przeszkadzać.
- Na razie nie.

Weszli na taras, gdzie kładziono nowe spoiny między kamieniami. W kuchni Sam zatrzymał się i rozejrzał.

- Mówiłaś, że wybierasz się do Southampton?
- Tak - odrzekła Leonie. - Dlaczego pytasz?
- Bo to będzie idealny moment, żeby podgonić prace w kuchni.

Wtedy mogłabyś z niej korzystać do samego wyjazdu. - Spojrzał na nią. - Kiedy wyjeżdżasz?

- Za jakieś trzy tygodnie - odpowiedziała. - Może cztery. Jeszcze nie wiem.

- Na razie postaramy się zrobić wszystko dookoła. Daj mi znać, dobrze? - Popatrzył na nią pytająco.

- Jasne. Byłoby świetnie, gdybyście mogli tak to urządzić.

- Trzeba będzie zerwać to drewno, skuć sufit i zdjąć linoleum - wyliczał Sam - ale będziesz mogła używać kuchenki i lodówki. Zlew zdemontujemy na końcu. Co ty na to?

- Świetnie. - Leonie skinęła głową.

Dom zaczynał ożywać - słychać było robotników i rozmaite odgłosy remontu: warkot piły i wiertarki, stukot młotków. W uszach Leonie wszystko to brzmiało jak muzyka.

- Byłaś od wczoraj na górze? - zapytał Sam.  
- Nie - odrzekła - aż wstyd się przyznać. Nie zagłędałam tam rano, bo nie chciałam przestraszyć. A wieczorem byłam zbyt zmęczona, żeby wejść na schody.

Sam się uśmiechnął.

- Chodźmy popatrzeć - zaproponował.

Spiralnymi schodami ruszyli na piętro i wyżej, na poddasze. Klatka schodowa nie była już zabudowana, tylko otwarta, dzięki czemu cała góra robiła wrażenie przestronnej i jasnej. Weszli do dużego pomieszczenia.

Leonie rozejrzała się zdumiona. Ściany i sufit zostały ocieplone, a przewody grzejne, elektryczne i wszystkie rury znalazły się na swoich miejscach. Wyznaczono miejsce na łazienki, ścianka działowa była w budowie. Nabierało to kształtu sypialni, jaką sobie wymarzyła.

- Jak ci się podoba? - zapytał Sam z uśmiechem.

- Jak mi się podoba? - powtórzyła, pełna entuzjazmu. - Och, Sam, to fantastyczne. Dobrze wiesz! Będzie lepiej, niż sobie wyobrażałam.

- Pięknie, prawda? - zapytał z nutką dumy w głosie. Nagle poważniał. - Ale mam tu pewien problem.

- Co takiego?

- Okienka wieżyczki. Zanim zajmę się przegniętymi ramami, muszę coś zrobić z szybkami. A za nic nie chcę wstawiać nowych.

Leonie westchnęła.

- Może trzeba będzie pójść na kompromis - powiedziała. - Ale ja też bym nie chciała. Tak mi się podoba to stare faliste szkło, szkoda, że nie można nic do niego dobrać.

- Coś wymyślę - obiecał Sam. - W każdym razie postaram się przede wszystkim wykończyć ten pokój. W ten sposób będziesz miała swoją kryjówkę, z daleka od całego bałaganu. Przeprowadzimy cię tutaj. - Zwrócił się do niej z uśmiechem. - Będziesz mogła spać do oporu.

Leonie roześmiała się tylko.

- Wątpię, czy zdołam, dopóki remont się nie skończy, ale dziękuję za życzliwość - powiedziała. - Zresztą muszę jeszcze podgonić prace w ogrodzie. A kiedy tylko basen będzie gotowy, zacznę sadić rośliny wokół niego.

- Sama samiuteńka? - zapytał.

- Sama samiuteńka - odparła.  
- Naprawdę jesteś niezwykła - stwierdził Sam. - Po prostu bierz się do roboty. Klękasz, włączysz na drabiny. Ty chyba niczego się nie boisz.

Leonie zarumieniła się, słysząc taki komplement.

- Chciałabym, żeby to była prawda - powiedziała gorąco - ale... ale prawdę mówiąc, są rzeczy, których się obawiam.

Popatrzył na nią z ciekawością.

- Czy to będzie wścibstwo, jeśli zapytam, czego?

Zawahała się, po czym odrzekła:

- Chyba nieznanego. Tego... że znowu jestem sama.

Sam wyglądał na zaskoczonego, na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia.

- Rozumiem cię - powiedział.

- W każdym razie - odezwała się wesoło Leonie, zmieniając temat - to wygląda świetnie, Sam. A teraz wracam do ogrodu. Węże się za mną stęskniły.

Roześmiał się swobodnie.

- A ja idę do powozowni i wreszcie zajmę się pracą.

Leonie zeszła pierwsza. Rozstali się na podjeździe.

- To na razie.

- Tak, do zobaczenia - powiedział Sam.

Patrzył za nią przez chwilę, a potem ruszył do powozowni. W głowie mu się kręciło na myśl o tej kobiecie, która z dnia na dzień zajmowała coraz więcej miejsca w jego myślach. Sądził, że jest bogata. Wszyscy zresztą tak uważali. Była przecież żoną Henry'ego Reynoldsa. Sam z początku przypuszczał, że Leonie tak bardzo oszczędza na renowacji dlatego, że zamierza wystawić dom na sprzedaż. Gdyby odnawiała go dla siebie, miałaby większe wymagania. Uznał, że jest chytrą damulką z miasta, która potrafi wycisnąć krew nawet z pietruszki - a przynajmniej postara się o to. W przeszłości miał już do czynienia z takimi kobietami. Wciążnie się o wszystko targowały, wszystko było dla nich za drogie. Z zaskoczeniem dowiedział się więc, że Leonie naprawdę nie ma pieniędzy.

Po wejściu do powozowni zapalił światło, zdjął marynarkę i powiesił ją na haczyku przy drzwiach. Nie mógł przestać myśleć o Leonie Corinth. Wcześniej uważał, że to twarda i zawzięta kobieta, ale teraz z radością przekonał się, że jest też wrażliwa. Miała realne podstawy do obaw i nie wahała się do nich przyznać. Może, pomyślał, jest bardziej ludzka, niż przypuszczałem. I bardziej przystęp-

na. Jej wrażliwość i strach, o którym mówiła, sprawiły, że stała się jeszcze bardziej pociągająca.

Wiedział, że wciąż jeszcze nie pozbiierała się po rozwodzie; może dlatego tak niechętnie się przed nim otwierała. Może z czasem to minie.

Zastanawiał się coraz częściej, kim jest ta kobieta, która go tak oczarowała?

Leonie kopała, spulchniała glebę i przycinała bez końca. Lecz choć starała się skupić na tym, co robiła, jej umysł wypełniał Sam Nicholson. Ostatnio nie było to nic niezwykłego, a po porannej rozmowie ukrywane głęboko w sercu uczucia znów doszły do głosu. Pociągał ją od chwili, kiedy go zobaczyła. Pewnie nie tylko mriie, pomyślała.

Ta pierwsza, fizyczna reakcja spotęgowała się i nabrała teraz innego wymiaru. Leonie polubiła Sama. Szczerze mówiąc, nawet bardzo. Tak jak jego robotnicy, szanowała go i ceniła. Widziała, że mimo zamożności i pozycji społecznej - oraz przywilejów, jakie się z tym wiązały - pozostał miłym, życzliwym człowiekiem bez cienia zarozumiałości. Był przystępny i bezpośredni, czuła także, że w głębi duszy jest niezwykle wrażliwy.

Przekonała się również, że to ktoś znacznie bardziej skomplikowany niż „niezły okaz” z „odpowiednim” wyglądem, pozycją, wykształceniem i innymi cechami, które wymieniła Mossy. Owszem, Sam posiadał wszystkie owe walory, ale Leonie wiedziała teraz, że poza tymi powierzchownymi cechami miał znacznie więcej do zaoferowania.

Tak, pomyślała, to mężczyzna, w którym mogłabym się zakochać. Och, przestań się oszukiwać, dodała zaraz. To mężczyzna, w którym właśnie się zakochałaś.

Robotnicy już odjechali, ale Leonie widziała, że range rover Sama wciąż stoi na podjeździe. Zdjęła słomkowy kapelusz i wyciągnęła z tylnej kieszeni starą bandanę. Otarła pot z twarzy i szyi.

- Uff! - powiedziała na głos. - Na mnie też chyba już czas. - Przypomniała sobie jednak o poidelku dla ptaków. - No, prawie.

Wsunęła chustkę do kieszeni, włożyła z powrotem kapelusz i poszła do swojego volva. Otworzyła bagażnik i popatrzyła na ciężką, betonową misę.

- Litości, dziewczyno -jęknęła. - Do czego ty się zabierasz?

W końcu wytoczyła z bagażnika misę, która ciężko upadła na ziemię. Kolej na postument. Przyciągnęła bliżej jeden koniec, wysunęła poza krawędź samochodu i wreszcie zdołała wytoczyć go na zewnątrz. Upadł koło misy z jeszcze głośniejszym hukiem.

Usłyszała zgrzytanie żwiru pod butami i podniosła głowę. To był Sam.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - zapytał zdziwiony.

- Choćbym miała skonać, dowlokę to poidełko na miejsce.

- Pozwól, pomogę ci - zaproponował.

- Nie - odrzekła szybko. - Nie trzeba. Robi się późno, Sam.

Popatrzył na nią spokojnie.

- Ja nie gryzę, Leonie.

- W-wiem - zająknęła się. - Ale sama sobie poradzę. - Schyliła się i spróbowała dźwignąć misę.

- Nie ma mowy - zaprotestował. Podszedł szybko i złapał misę, dotykając przy tym palców Leonie.

Zawahała się, a potem odsunęła rękę. Jego dotyk sprawił, że przeszedł ją gorący dreszcz. Sam spojrzął na nią i poczuła, że się rumieni.

- Przepraszam - powiedział, uśmiechając się niepewnie, jakby odrobinę nieśmiało.

Bez wysiłku podniósł ciężki postument i ruszył z nim na środek klombu, a Leonie podreptała z tyłu.

- Tutaj? - zapytał, zatrzymując się.

- Tak - potwierdziła. - Idealnie.

Stare, rozsypujące się poidełko już usunęła. Sam ustawił postument prosto, po czym zawrócił do samochodu po misę, którą umieścił na podstawie.

Leonie cofnęła się i przyjrzała poidełku krytycznie z różnych stron, podobnie jak Sam.

- Chyba stoi prosto, prawda? - zapytała.

- Tak. Na szczęście pasuje dokładnie do miejsca, gdzie stało stare.

- Gdyby tylko nie było takie nowiutkie! - westchnęła. - Ale to się szybko zmieni, już ja się postaram. Musi być wilgotne, żeby porósł je mech. A może puścić po nim bluszcz? - Spojrzała na Sama. - Jak uważasz?

- Niezły pomysł - uznał.

- Dzięki za pomoc - powiedziała Leonie, schylając się, żeby podnieść pozostawione na ziemi obcięte pędy.

- Uważaj! - krzyknął Sam. - Przy twojej nodze jest wąż!

Leonie odskoczyła i popatrzyła na ziemię.

- Och, taki mały, całkiem nieszkodliwy. One przecież też muszą jeść.

Sam roześmiał się, a wąż zniknął w trawie.

- Byłem pewien, że wpadniesz w histerię.

- Ja? - zdziwiła się Leonie. - Nie. Nawet polubiłam te stworzenia. Fakt, że nie natknęłam się na nic dużego. Węże podpadają pod moją nową pierwszą zasadę ogrodniczą.

- Nowa pierwsza zasada? - powtórzył Sam. - A jak ona brzmi?

- Nie przyglądaj się - odpowiedziała Leonie. - A przynajmniej patrz niezbyt dokładnie. Kiedy przycinasz, kopiesz, nawozisz i tak dalej. Po prostu się nie przyglądaj. Bo prędzej czy później zobaczysz coś, co cię wystraszy.

- Bardzo dobra zasada - pochwalił z uśmiechem Sam.

- Choć z drugiej strony - tłumaczyła Leonie - jest to dokładne przeciwieństwo mojej starej pierwszej reguły. Czyli: zawsze patrz uważnie, co wygarniasz grabiami spod krzaka. Nikt przecież nie chce wygarnąć sobie na buty węża.

- Masz rację w obu wypadkach - oświadczył. - I co teraz?

- Sama chciałabym wiedzieć. - Leonie westchnęła. - To chyba tak, jak w życiu. Wydaje ci się, że wszystko dokładnie zaplanowałeś, a tu nagle bum! - i coś ciężkiego wali ci się na głowę. - Zaśmiała się krótko. - Reguły są pewnie po to, żeby je łamać.

- Tak, chyba masz rację.

Spojrzała na niego i nagle poczuła się dziwnie zakłopotana i zawstydzona.

- Muszę poskładać narzędzia - powiedziała. - Wiem, że chcesz już jechać do domu.

- Nie - odrzekł Sam. - Nie spiesz się. Pomogę ci z tym.

Leonie chciała zaprotestować, ale nic nie powiedziała. A co mi tam, pomyślała. Jestem tak strasznie zmęczona, skoro chce mi pomóc, to niech pomaga.

Zaczęli zbierać narzędzia i składać na wózek. Sam starannie wycierał je z ziemi swoimi roboczymi rękawicami.

- Och, zaczekaj - powiedziała Leonie. - Podaj mi na chwilę sekator.

Sam wziął go z wózka i wręczył jej.

- Widzę tam krzaki róż, które przeoczyłam - wyjaśniła. - Wolę je poprzycinać od razu.

Podeszła do pierwszego i zaczęła usuwać suche pędy.

Sam znalazł drugi sekator i zajął się drugim krzakiem.

- Sam! - zaprotestowała. - Nie trzeba, poradzę sobie! Wiem, że musisz jechać do domu.

- Nie - odparł stanowczo. - Mówiłem ci, nigdzie się nie spieszę.

Po półgodzinie skończyli i z zadowoleniem podziwiali swoje dzieło. Sam pomógł Leonie poskładać narzędzia, odebrał jej wózek i zaciągnął do stodoły, gdzie chowała go na noc.

- Masz ochotę na kieliszek wina? - zapytała, gdy już skończyli.

- Jasne, chętnie.

Przyniosła butelkę oraz dwa kieliszki. Usiedli w altanie, popijając wino i zachwycając się widokiem wzgórz za rzeką.

- Zadomowiłaś się tu - powiedział Sam. - Myślisz, że polubisz to miejsce?

- Tak - odrzekła Leonie. - Bardzo mi się podoba. - Zamyśliła się. - Nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale na razie dobrze mi tutaj. Poza tym miasto nie ucieknie. Jeśli uznam, że chcę tam wrócić, zawsze *mogę to zrobić*.

- Tęsknisz za Nowym Jorkiem? - zapytał. - Brakuje ci go?

- Na razie nie. Oczywiście, czasami brakuje mi znajomych, no wiesz, ale jestem stale zajęta.

- Rozumiem cię - powiedział cicho.

Spojrzała na niego i zauważyła w jego oczach przygnębienie.

- Ale twoje życie jest tutaj, prawda? To znaczy masz tu pracę, rodzinę i tak dalej.

- Tak, mam pracę - potwierdził Sam - ale to wszystko. Nie mamy dzieci, a moja żona... Powiedzmy, że ma inne zainteresowania.

- Ach tak - szepnęła Leonie.

Wydawał się taki samotny. Taki zagubiony i nieszczęśliwy. Widocznie Mossy miała rację, mówiąc o jego nieudanym małżeństwie. Leonie niczego tak nie pragnęła, jak móc wyciągnąć do Sama rękę, pocieszyć go... Przestań! - nakazała sobie w myślach. Z tego mogą być tylko kłopoty!

Sam nagle przywołał na twarz uśmiech.

- Skoro nie mogę ci już w niczym pomóc - powiedział - to chyba pojedę.

- Stokrotne dzięki, Sam.

- Nie ma za co. Kiedy będziesz chciała przenosić ciężary, zawołaj mnie albo Skipa, majstra, gdyby mnie nie było. Zawsze ktoś ci pomoże. - Ale wiedział, że ona tego nie robi, jest zbyt niezależna, zbyt samodzielna, aby prosić o pomoc. Podobało mu się to.



- Dobrze - obiecała Leonie, wdzięczna za propozycję; chociaż wiedziała, że z niej nie skorzysta.

Odprowadziła go do samochodu i pomachała na pożegnanie, gdy ruszał.

Żałowała, że Sam musiał już jechać, że nie mogą dłużej porozmawiać. Jego troska i łagodny, spokojny sposób bycia sprawiały jej przyjemność. Nie musi odgrywać macho, myślała. Nie musi mi niczego udowadniać. I do tego ja też przy nim mogę być sobą.

Dotąd Leonie nie zdarzyło się spotkać mężczyzny, który by nie próbował narzucić jej swojej woli. I oto właśnie go widziała. To ceniła w nim najbardziej. Przypomniała sobie, jak ich dłonie się zetknęły, i na samo wspomnienie ogarnęła ją fala podniecenia. To też było urocze. O, tak. Jego dotyk był zdecydowanie przyjemny.

scandalous

## Rozdział 9

Słońce zaczynało dogasać; ognista kula chowała się za Catskills. Zrobiło się późno. Sam wyskoczył z range rovera i wbiegł na kamienne schody Van Vechten Manor. Pogwizdywał, trochę fałszywie, ale co z tego. Był dziś w wyjątkowo radosnym nastroju. W ciągu ostatniego miesiąca prace w Octagon House posunęły się znacznie do przodu.

Pogoda sprzyjała, a robotnicy z ekip remontowych starali się, jak mogli. Sam był przekonany, że brali przykład z Leonie, która harowała w ogrodzie niczym wyrobnicą, trudząc się na równi z nimi. Nie szczędziła im także pochwał za rozmaite osiągnięcia, a jeśli miała jakieś zarzuty, wyrażała je zawsze grzecznie i precyzyjnie, raczej zachęcając, niż karcąc. Sam już wiedział, że zakończą renowację domu zgodnie z planem, a może nawet wcześniej, i że nie przekroczą kosztorysu.

Jego radosny nastrój wynikał jednak przede wszystkim z tego, że się zaprzyjaźnili. Leonie stopniowo stawała się przy nim coraz swobodniejsza, okazywała mu więcej zaufania. Dziś po odjeździe robotników napili się razem wina i zgodziła się, żeby pomógł jej wywieźć ogrodowe śmieci za stodołę, gdzie zrobiła miejsce na kompost.

Dziwne, myślał, jak wiele radości dają mu te drobne, wspólnie wykonywane prace - a był pewien, że jej także sprawiają przyjemność. Przypomniał mu się tamten wieczór, kiedy pomagał jej ustawić poidełko dla ptaków. Taka zwyczajna rzecz, a tyle radości. Zmartwił się, że ona wyjeżdża, ale miała wrócić za dwa dni. Praca nie przestawała go cieszyć, ale bez Leonie to już nie to samo. Zupełnie nie.

Tworzymy zgraną ekipę, pomyślał.

Pokojówka otworzyła drzwi, zanim włożył klucz do zamka.

- Cześć, Ermindo - powitał ją. Jego uśmiech był tym razem szczyry.

- Dobry wieczór, panie Samie - odpowiedziała. Jej głos zabrzmiał niewiele wyraźniej od szeptu, popatrzyła na niego ponuro.

Sam natychmiast poznał, że coś jest nie w porządku, bo zawsze witała go z radością.

- Co się stało, Ermindo? - zapytał.

- Pani Nicholson czeka na pana w oranżerii. I jest w bardzo złym humorze.

Uśmiech znikł z twarzy Sama.

- Dziękuję, Ermindo - rzucił. - Już do niej idę.

Wrzucił klucze do porcelanowej misy, położył teczkę na empierowym krześle i szybko przeszedł po czarno-białej marmurowej szachownicy holu do biblioteki, a stamtąd do oranżerii.

Żona odwróciła się do niego w chwili, gdy wszedł do pełnego zieleni pomieszczenia. Na jej twarzy ujrzał wyraz wystudiowanego spokoju, zwodniczą pogodę, która mogła oznaczać tylko jedno: Minette gotowała się z ledwo powstrzymanej złości, ślepej furii i zaraz wybuchnie.

Niekiedy pragnęła, aby miłymi słówkami i pieszczotami łagodził jej gniew. Była to niemiła i nużąca gra, w którą żona coraz częściej lubiła się bawić. Dzisiaj jednak przeczuwał, że nie będzie musiał udawać. Nie. Wszystko wskazywało na to, że Minette nie jest w nastroju do zabawy w czułe słówka. Chciała wyładować na nim wściekłość. Dłoń, w której trzymała kieliszek z winem, zadrżała. Wyglądało na to, że poleje się krew.

Wcześniejsza euforia Sama ulotniła się na sam widok jej twarzy.

- Minette... - zaczął.

- Jak mogłeś! - wybuchnęła. - Jak mogłeś!

Jej piękne rysy wykrzywił grymas furii. Z taką siłą uderzyła ozdobioną pierścionkami i bransoletami dłonią w oparcie wózka, że zawartość kieliszka chlusnęła na jedwabne spodnie.

- Co się stało, Minette? - zapytał Sam najspokojniej, jak potrafił.

Był szczerze zaskoczony jej wybuchem. Podeszedł bliżej i wyciągnął rękę, chcąc dotknąć ramienia żony, ale odsunęła się gwałtownie i zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Nie dotykaj mnie! - syknęła. - Nawet nie próbuj!

- O co chodzi, Minette? - Sam usiadł naprzeciwko niej i oparł rękę na kolanach. - Powiesz mi, co się stało?

- „O co chodzi, Minette?” - przedrzeźniała go. - „Powiesz mi, co się stało?” - Na jej usta wypląnął ironiczny uśmiech, z oczu wciąż biła złość.

Sam siedział i zastanawiał się, co zrobił, żeby wywołać taki gniew. Nie miał wątpliwości, że przyczyną jest jakiś jego postępek.

Jak grom z jasnego nieba, pomyślał. Przez kilka ostatnich tygodni wyjątkowo spokojnie podchodziła do jego pracy w Octagon House. Nie okazywała zainteresowania postępami robót ani nie była ciekawa Leonie Corinth, ale też nie narzekała na to, że jest zajęty i spędza długie godziny poza domem. I nagle to. O co chodzi, do diabła?

Sam w końcu przerwał milczenie.

- Czy możesz mi powiedzieć, co cię tak zdenerwowało? - odezwał się spokojnie.

- Gdzie byłeś rano? - zapytała.

- Jak to, gdzie? - zdziwił się. - Przecież wiesz. Pojechałem do pracy, jak zwykle.

Minette poprawiła się niecierpliwie na fotelu.

- Do pracy! - rzuciła drwiąco. - Jak zwykle. No tak. Gdybyś dał sobie trud i spojrział w kalendarz, zauważyłbyś, że miałeś mnie dzisiaj zawieźć do Nowego Jorku. Do lekarza.

- O Boże, nie! - jęknął Sam i ukrył twarz w dłoniach. - O Boże, Minette! Przepraszam - wykrztusił. - Ja...

- Co, ja? - powtórzyła złośliwie. - Nic cię to nie obchodzi i tyle! Musiał mnie zawieźć ten gnojek, Dirck. - Napiła się wina i popatrzyła na niego znad kryształowego kieliszka.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś na komórkę, Minette? - zapytał. - Albo do Octagon House? Masz przecież numer.

- Skoro sam nie pamiętasz o swoich obowiązkach, to nie do mnie należy przypominanie ci o nich. Jasno pokazałeś, co jest dla ciebie ważniejsze. Wiesz, że nie proszę cię o wiele, zwłaszcza w porównaniu z tym, co ci dałam przez te wszystkie lata - ciągnęła. - Prawie nigdy niczego od ciebie nie żądam. Prawie nigdy nie proszę, żebyś mnie gdzieś zawiózł. A kiedy raz mi się zdarzyło, to jaki jest skutek? Ignorujesz mnie. Po prostu cię nie obchodzę. Jestem tylko twoją żoną, żalostną kaleką, którą trzymasz w ukryciu w domu, kiedy sam rozbijasz się po okolicy - na mój koszt.

Sam zacisnął szczęki, niemal bojąc się odezwać. Rozumiał oczywiście jej gniew, a poczucie winy spowijało go smutkiem i przygnębieniem niczym mroczny całun. Jak mogłem o tym zapomnieć? - pytał sam siebie.

Jednocześnie uważał, że Minette przesadza - nie musiała go przecież upokarzać - i prawdopodobnie odreagowuje ostatnie spokojne tygodnie, kiedy tolerowała jego nieobecność w domu. Przez

cały ten czas kipiała z gniewu i tylko czekała na odpowiedni moment, żeby zaatakować. Stworzyłem jej doskonałą okazję do awantury, pomyślał z goryczą Sam.

Zastanawiał się, czy za tym wybuchem nie kryje się coś więcej. Wprawdzie żona zawsze sprzeciwiała się jego pracy, ale nigdy nie była aż tak gwałtowna i rozwścieczona. Czy po prostu stara się zatrzymać go w domu? Nie wiedział.

Podniósł głowę i spojrzał na Minette. Obserwowała go z wyrazem triumfu na twarzy, wyraźnie zadowolona, że wzbudziła w nim poczucie winy i żalu.

- Nie umiem powiedzieć, jak mi przykro, Minette - odezwał się cicho. - Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Zawsze się staram spełniać twoje życzenia i bardzo cię przepraszam za dzisiaj. Chyba zapomniałem to zapisać w kalendarzu.

- Nic dziwnego - oświadczyła. - To by się nie zdarzyło, gdybyś się nie upierał przy tej głupiej pracy. Jesteś tak zajęty tym starym domem, że prawie cię nie widuję. - Wypiła trochę wina i postawiła kieliszek na stole obok. - Na przykład dzisiaj, Sam - ciągnęła bezlitośnie. - Jest po ósmej. Co ty tam, do diabła, robisz do ósmej wieczorem?

- Zasiedziałem się, Minette - wyjaśnił. - Przeglądałem plan najbliższych robót. - Miał wyrzuty sumienia, zgoda, ale nie zamierzał się przyznać, że pomagał Leonie Corinth w ogrodzie. Szczególnie w sytuacji, kiedy zapomniał, że miał jechać z żoną do lekarza. - Chyba straciłem poczucie czasu - dodał.

- Chyba tak - odrzekła z goryczą.

- Co powiedział lekarz? - zapytał Sam.

- A co za różnica?

- Och, daj spokój, Minette. Przecież sama rozumiesz, że chcę wiedzieć. Co powiedział?

- Nic - fuknęła w końcu. - Nic. To była tylko seria badań.

- Jakich badań?

- Nie wiem - rzuciła z irytacją. - Po prostu badania. Krew i tak dalej. Jak zwykle.

- Ale po co? - naciskał Sam.

- Czy ja wiem? - odparła niecierpliwie. - To część kontroli okresowej. Skończmy już z tym. Mdli mnie od tych rozmów.

Świetnie, pomyślał Sam. Doprowadziła do tego, że poczułem się jak najgorszy drań, więc możemy już skończyć. Dobrze.

- W porządku - odezwał się ugodowym tonem. - Ale mam nadzieję, że mi przebacysz, Minette, naprawdę bardzo cię przepraszam.

- Nie mówmy już o tym. - Machnęła ręką. Jej wściekłość gdzieś się ulotniła, pozostawiając lekkie znużenie. Nacisnęła guzik interkomu. - Ermindo, zjemy teraz obiad - odezwała się do mikrofonu.

- Tak jest, pani Nicholson - odpowiedział głośnik.

Minette popatrzyła na Sama.

- Widzę, że nie nosisz zegarka.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Zdjąłem go - wyjaśnił. - Nie chcę, żeby się zabrudził przy ro-

- Może jednak powinieneś - odparła. - Kosztował mnie dwadzieścia tysięcy dolarów, a gdybyś go nosił, może byś zdążył do domu na drinka przed obiadem. - Uśmiechnęła się ironicznie. - A teraz - powiedziała słodziutkim głosikiem - zabierzesz mnie do jadalni, kochanie?

Sam poczuł, że się czerwieni i zaciska szczęki, ale opanował gniew i wstał.

- Oczywiście, Minette.

Mój Boże, pomyślał, gorzej już chyba być nie może.

## Rozdział 10

Niebo było błękitne, bez śladu chmurki, a słońce świeciło niemal oślepiająco. Leonie zjechała z autostrady Long Island w kierunku Sunrise. Zapomniała już, jak jaskrawe i intensywne jest tutejsze słońce, jak zalewa wszystkie potokami blasku.

Wspaniały dzień, pomyślała Leonie i uśmiechnęła się cierpko. Odpowiedni dla tego najwspanialszego z nadmorskich kurortów. Wszystko tutaj musiało być doskonałe, absolutnie odpowiednie. Przynajmniej na pozór. Ona jednak wiedziała, że podobnie jak Palm Beach czy Monte Carlo ta zaciszna enklawa potrafi się zmienić niczym pogoda, w groźne, mroczne i burzliwe miejsce.

Nagle, jakby za sprawą czarów, wszystkie jej gorzkie myśli zniknęły. Och, pomyślała, sunąc szybko po Sunrise, już prawie zapomniałam, jakie to uczucie. I ten oszałamiający zapach oceanu. Słone, rześkie powietrze wypełniło jej nozdrza i przywiodło na myśl wspomnienia - niektóre smutne, ale i sporo miłych - lecz w końcu zostało na podniebieniu wyraźnie kwaśny smak. Gdzieś w żołądku czaił się obezwładniający lęk.

Lęk przed czekającym ją spotkaniem. Chętnie przeszłaby po rozrzarzonych węglach, żeby tylko móc go uniknąć. Jednak wiedziała, że to niemożliwe.

Wrzuciła prawy kierunkowskaz i wolno skręciła z autostrady na piaszczystą drogę wiodącą do lasu i dalej na brzeg oceanu. Zjechała na bok, zatrzymała się i wyciągnęła z torby puderniczkę.

Krytycznym okiem sprawdziła makijaż. Może trochę więcej różu. Tak, odrobinę. Delikatnie musnęła kości policzkowe pędzelkiem zanurzonym w pudrze w odcieniu terakoty.

Nie była tego lata na plaży, więc będzie wyglądać trochę blade w Southampton, a dziś szczególnie jej zależało, żeby wypaść jak najlepiej.

Czy to ambicja?, zastanawiała się. A może próżność? Kto wie? Nie obchodziło jej to zbyt. Wiedziała tylko, że musi być pewna siebie i energiczna - nie wymizerowana i przygnębiona. Co to, to nie, nie będzie wyglądać jak ofiara. Jak kobieta, którą Hank Reynolds próbował zniszczyć.

Nazywasz się Leonie Corinth, powiedziała sobie, i jesteś z siebie dumna!

Jestem też mocno wystraszona, pomyślała, ale zaraz się poprawiła: nie tyle wystraszona, ile bardzo, bardzo zdenerwowana. Perswadowała sobie, że nie ma czego się bać, powtarzała w duchu pozytywne, asertywne maksymy, wyliczała na głos wszystkie dobre rzeczy związane z obecną sytuacją. Ale wygłaszane niczym mantra entuzjastyczne stwierdzenia nie pomagały. Nadal bardzo się denerwowała. I miała powody.

Przedwczoraj zadzwonił do niej Bobby Chandler i powiedział, że postanowił wystawić swój dom w Southampton na sprzedaż. Oświadczył jej także w bardzo miły - lecz stanowczy - sposób, że chciałby, aby zabrała swoje pudła z rzeczami, które zostawiła u niego na przechowanie, i to „im szybciej, tym lepiej, *cherie*”. Zaraz potem rzucił „*ciaocito*” i nie zdążyła nawet zapytać, o co chodzi.

Dziwnym zbiegiem okoliczności zaledwie dwie godziny później zatelefonował Jeremy Sampson, adwokat, który zajmował się jej rozwodem oraz sprzedażą sklepu w Soho. Powiedział, że przygotował dokumenty, które muszą być podpisane w jego obecności przez Leonie i Hanka Reynoldsa. Zaproponował spotkanie w jednym ze swoich dwóch biur, w Nowym Jorku lub w Southampton, sama może wybrać miejsce. Papiery - dotyczące sprzedaży Ozdób Architektonicznych - będą czekały.

Nareszcie, pomyślała ucieszona. Nie mogła się już doczekać swojej sumy, jaką miała otrzymać za sklep. Niemal równie ważne było poczucie zamknięcia pewnego etapu, zakończenie tamtego życia. W ten sposób zostanie też zerwane ostatnie ogniwo łączące ją z byłym mężem, bo chociaż Ozdoby należały do Leonie i pieniądze dostanie tylko ona - hura! - Hank także musiał podpisać dokumenty, by zrzec się wszelkich praw do sklepu i zysku z jego sprzedaży.

Pragnąc wreszcie zakończyć tę sprawę, Leonie postanowiła pojechać do Southampton, żeby podpisać papiery. W środku tygodnia



nie było szans, że natknie się tam na Hanka. Rządził i zarabiał w Nowym Jorku, nie obawiała się więc, że go spotka. Zdecydowanie tego nie chciała. Nie ma mowy! Po co rozdrapywać stare rany?

Potem zamierzała zabrać pudła, które przechowywała u Bobby'ego, i tym sposobem upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wykorzystać dzień jak najlepiej, chociaż niekoniecznie najprzyjemniej.

Gdy perspektywa czekającego ją spotkania nie była miła. Leonie uważała, że Jeremy Sampson ją zawiódł i już samo spotkanie z nim przywoływało uczucia porażki i wrogości, o których wolałaby zapomnieć. Potem wizyta u Bobby'ego - tuż obok wspaniałego, starego domu, w którym po odrestaurowaniu miała zamieszkać z Hankiem.

Pomagała Bobby'emu w remoncie jego domu, a on pomagał jej. Obawiała się, że teraz wystarczy widok tego miejsca, by obudziły się dawne gwałtowne emocje. Te, których nie chciała już przeżywać. Z którymi nie była jeszcze gotowa się zmierzyć.

Sama wizyta w Southampton mogła sprawić, że rozwiąże się worek z bardzo nieprzyjemnymi wspomnieniami, bez których dotąd doskonale się obywatła. Ta miejscowość stała się przecież świadkiem wielkiej klęski Leonie: tu rozpadło się jej małżeństwo. Przyjazd tutaj był jak wizyta na miejscu szczególnie krwawej i okrutnej zbrodni. Może morderstwa.

Po co mi to? - pytała samą siebie. I to właśnie teraz, kiedy prace remontowe w Octagon postępowały gładko, a ona zaczynała zapominać o niedawnej, bardzo nieprzyjemnej przeszłości. Zaczęła właśnie nowe życie, a tu przeszłość podnosi swój brzydki łeb i wciska się w budowany spokojnie, krok po kroku nowy ład, niby podstępna, zła Hydra.

Leonie chciała jednak mieć już to wszystko za sobą, zwyciężyła praktyczna strona jej natury. Może nie będzie tak źle, pocieszała się. Nie mogła się już doczekać spotkania z Bobbym, który spędzał w Southampton kilkutygodniowy urlop. Nie widziała go od miesięcy.

Może zatrzyma się u niego na noc i pogadają sobie za wszystkie czasy. Bobby opowie jej najświeższe plotki. Chociaż właściwie, kiedy napomknęła o takiej możliwości, odpowiedział zdecydowanie wymijająco - a może nawet chłodno?

Kiedy teraz o tym myślała, zastanowiło ją, co właściwie dzieje się z Bobbym. Nie telefonował, nie opowiadał o tegorocznych wybranych znajomych w Hamptons. W gruncie rzeczy w ogóle nie dzwonił, co było do niego niepodobne. Zawsze z wielką przyjemnością zwierzał się jej ze swoich eskapad i zdawał szczegółowe relacje z triumfów oraz porażek elity towarzyskiej. Musiała przyznać, że

lubiła te opowieści i ploteczki. Brakowało jej tego i dziwiła się, czemu Bobby się nie odzywa.

Paranoja, pomyślała. Popadam w paranoję. Bobby jest po prostu zajęty obowiązkowymi szaleństwami zwariowanych bogaczy w tej nadmorskiej sódemie i gomorze. To ostatni człowiek na ziemi, który mógłby ją zawieść.

Sprawdziwszy jeszcze raz swój wygląd, zatrzasnęła puderniczkę, wrzuciła ją do torby, obejrzała się, czy nic nie jedzie, a następnie wróciła na autostradę i wjechała do Southampton.

Pierwszy przystanek: biuro prawnicze Sampson, Williamson i Everett, aby podpisać dokumenty. Zaparkowała na Main Street w Southampton Village i udała się do kancelarii. Załatwi to błyskawicznie, mówiła sobie. Tylko podpisać papiery i można uciekać.

Ale rzeczywistość, to złośliwe monstrum, znów pomieszała jej plany. To się zdarzyło, kiedy Leonie siedziała w gabinecie Jeremy'ego Sampsona, popijając wodę mineralną i czekając na Helen, asystentkę, która poszła po dokumenty.

Helen otworzyła drzwi i weszła z naręczem papierów - a zaraz za nią Henry Wilson Reynolds.

Leonie była tak oszołomiona, że zaniemówiła. Przez chwilę nie wierzyła własnym oczom. Była pewna, że Hank jest w Nowym Jorku, w firmie. A nawet gdyby dziś nie pracował, nie mieściło jej się w głowie, że Jeremy Sampson umówił ich na ten sam dzień - i to na tę samą godzinę!

Popatrzyła na mężczyznę, którego kiedyś kochała całym sercem, a który ją tak bezceremonialnie porzucił. Stał w swoich eleganckich białych spodniach do tenisa, z potarganymi blond, włosami, opalony, a Leonie czuła, jak jej puls gwałtownie przyspiesza. Pałacy rumieniec zalał jej szyję i twarz. Co właściwie czuła - zakłopotanie? Gniew? Upokorzenie? Prawdopodobnie wszystko razem. I nie tylko to.

Hank stał przez chwilę, mierząc ją wzrokiem, zadowolony z siebie, z pełną wyższości miną króla Wall Street. Aż nazbyt dobrze znała ten zarozumiały wyraz twarzy. Powitał ją ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

Leonie odpowiedziała mu w ten sam sposób, z wysiłkiem starając się panować nad sobą.

- Och - odezwał się Hank - nie wiedziałem, że tu będziesz. - Jakby była sprzątaczką, która powinna już skończyć pracę.

- Myślałam... Myślałam, że jesteś w mieście. - Leonie z trudem wydobyła z siebie głos.

- Postanowiłem wziąć parę dni urlopu, pograć w tenisa, w golfa. Może pozełgować - odrzekł wymijająco.

Jeremy Sampson odchrząknął.

- Siadaj, Hank - powiedział. - To zajmie minutę, potem możesz wracać do tenisa. - Posłał mu uśmiech, na widok którego Leonie poczuła, że robi jej się niedobrze i chyba zaraz zwymiotuje na cenny stary dywan Sampsona. Właściwie, pomyślała, nawet chciałabym mu zarzygać całą tę cholerną kancelarię! W końcu czym on był adwokatem?

Hank usadowił się wygodnie w fotelu obok Leonie i swobodnie skrzyżował długie nogi. Leonie nie mogła nie zauważyć, że jest bardzo opalony, inaczej niż ten Hank, którego znała. Tamten zawsze był zbyt pochłonięty pracą, aby korzystać ze słońca. Spozstrzegła też, że pod pachami i na piersi ma plamy potu: najwyraźniej przyjechał tu wprost z kortu tenisowego.

Musiała przyznać, że wyprzystojniał i wyglądał zdrowiej niż kiedykolwiek. Włosy jaśniejsze, zęby bielsze, oczy bardziej niebieskie, sylwetka szczuplejsza i bardziej muskularna. Nieprzyjemnie było pomyśleć, że teraz, kiedy ona przestała być częścią jego życia, Hank wydaje się szczęśliwszy. Wyglądał na... zadowolonego, uznała. Właśnie tak.

Zastanawiała się, co mogło być przyczyną. Może się z kimś spotyka. Z jakąś bogatą, piękną, młodą kobietą z towarzystwa. Może to dlatego sprawiał wrażenie młodszego i bardziej zrelaksowanego.

Wkrótce się dowiemy, pomyślała, Bobby Chandler z pewnością wie, co słyhać u jej byłego męża.

Głos Hanka wyrwał ją z zamyślenia.

- No i jak ci się podoba w krainie krów? - zapytał z wyraźną drwiną w głosie.

Leonie poczuła jego pogardliwe spojrzenie, chociaż nie patrzyła na niego. Wrzała z gniewu, ale starała się panować nad głosem.

- Podoba mi się w „krainie krów”, jak to ująłeś - odpowiedziała. - Zawsze mi się tam podobało.

Dlaczego tak łatwo go nienawidzić?

- A nie jest to zbyt wielka wiocha jak na twój gust? - ciągnął. - Nie ma przecież butików. Ani modnych klubów. Nie ma towarzystwa.

Dlaczego on tak się ze mną drażni?, zastanawiała się Leonie. Jeśli chciał ją wyprowadzić z równowagi, świetnie mu to wychodziło, ale nie zamierzała tego pokazać po sobie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie brakuje mi żadnej z tych rzeczy, Hank - oświadczyła spokojnie. - To inne życie... może nie tak wspaniałe, ale ma swoje zalety.

- Naprawdę? - Uniósł brwi.

- Tak, naprawdę - odparła. - Poznałam mnóstwo interesujących kobiet i mężczyzn - dodała znacząco.

Hank uśmiechnął się do niej.

- Nie przypuszczałem, że przypadną ci do gustu farmerzy, Leonie.

Zanim zdołała znaleźć trafną replikę, adwokat wezwał Helen oraz drugą asystentkę, Leslie, na świadków, po czym zaczął im podawać dokumenty, na których mieli złożyć podpisy. Cała procedura trwała zaledwie kilka minut, ale Leonie się wydawało, że upłynęły wieki, zanim sprawa dobiegła końca.

Później Sampson wstał zza biurka i uściśnął jej dłoń.

- Jestem pewien, że wszystko poszło po twojej myśli, Leonie - powiedział z przekonaniem. - Aha, jeszcze jedno. Oto czek. - Podał jej czek przez biurko.

Wzięła go bez słowa, nie patrząc, złożyła na pół i wrzuciła do stojącej na podłodze obok krzesła torby.

- Za kilka dni prześlę ci kopie dokumentów - dodał Jeremy - i na tym koniec. - Jego uśmiech przywodził na myśl rekina: bezkrwawy, ale drapieżny.

- Dzięki. - Leonie wstała i podniosła torbę. - Czyli to już wszystko?

- Zgadza się - potwierdził Jeremy.

- Do zobaczenia - powiedziała, kierując się do drzwi.

- Leonie? - zawołał za nią Hank.

Leonie zamarła. Och, Boże, pomóż mi spokojnie wyjść z tego szamba. Odwróciła się i spojrzała na eksmęża z pytającym wyrazem twarzy.

Hank uśmiechnął się łaskawie.

- Miłej podróży - powiedział.

- Dzięki - wymamrotała i spiesznie wyszła.

Roztrzęsiona wybiegła przez poczekalnię do samochodu. Miała ochotę usiąść na chwilę spokojnie, aby dojść do ładu ze swoimi emocjami. Wiedziała jednak, że Hank wkrótce wyjdzie - jego duży, granatowy Bentley turbo był zaparkowany tuż obok - więc uruchomiła silnik, gwałtownie wyprysnęła z parkingu i odjechała, zbyt szybko i nieuważnie.

Łajdak, pomyślała. Wiedział, że tu jestem, i udawał zdziwienie na mój widok. Musiał wiedzieć, zaparkował obok mnie.

Po kilku minutach zatrzymała się na bocznej uliczce. Bała się prowadzić auto w tym stanie. Cała się trzęsła, dosłownie trzęsła, ze złości i upokorzenia.

Dlaczego na to pozwoliłam?, wyrzucała sobie. Powinnam się upewnić u Jeremy'ego Sampsona, że kiedy przyjadę, Hanka nie będzie.

Teraz już za późno. Poza tym miała prawo oczekiwać, że jej adwokat sam tego dopilnuje. Teraz jednak zrozumiała, że prawnik - ten wstrętny, wyrachowany łotr - był w zмовie z Hankiem. Jeremy, tak jak większość ludzi, dał się uwieść władzy i bogactwu Reynoldsa. To przecież on, nie Leonie, będzie wydawać ciężkie pieniądze w Nowym Jorku i Southampton.

Hank Reynolds.

Samo spotkanie z nim sprawiło, że czuła się ponizona, zawstydzona i gorsza. Ogarnął ją też gniew, jakiego dotąd nie znała, i zamęt, nad którym nie umiała zapanować. Przeżyła z tym człowiekiem wiele lat, pracowała z nim i dla niego, sądziła, że go zna, że go kocha. Ale mężczyzna, którego spotkała w biurze Jeremy'ego Sampsona, zachowywał się jak ktoś obcy, nic o nim nie wiedziała.

Jak - pytała siebie kolejny raz - mogłam być jego żoną? Jak mogłam wcale go nie znać? Jak mogłam tak mu się dać oszukać? Jak, do diabła, mogłam się tak pomylić?

Odetchnęła głęboko kilka razy, żeby się uspokoić, i pomyślała: muszę wyrzucić to z pamięci i żyć dalej. Zrobiła jeszcze kilka głębokich oddechów, wyprostowała ramiona.

Przywołała na twarz uśmiech; zachowuj się, jakby wszystko było w porządku - powiedziała sobie. Postanowiła wyłączyć niemiłe uczucia i odciąć się od nich. Postara się zapomnieć o tym nieprzyjemnym zdarzeniu. Nie warto poświęcać Jeremy'emu Sampsonowi, temu oślizgłemu, zimnemu, żadnemu władzy rekinowi, cennego czasu i myśli. Tak samo jak Hankowi Reynoldsowi.

Boże, chętnie bym się wykapała! Czuję się brudna, wystarczyło spotkanie z tymi dwoma! Z tą myślą uruchomiła silnik, wyjechała na ulicę i wolno ruszyła w stronę domu Chandlera.

Przynajmniej z Bobbym wiem, na czym stoję, pocieszała się. Jest jak stary but - wygodny i dobry. Bobby ma szerokie ramiona, w których można się wypłakać, długie ręce do przytulania, a co więcej, jest doskonałym, uważnym słuchaczem, który wie, kiedy mówić, kiedy milczeć, kiedy pogłaskać, a kiedy się odsunąć. Był jak ukochany członek rodziny, który niezależnie od sytuacji przyjmie ją z otwartymi ramionami i z bezwarunkową miłością.

Poza tym, stwierdziła filozoficznie, już nic gorszego nie może się zdarzyć.

## Rozdział 11

Minał miesiąc od chwili, kiedy Sam zaczął pracować w Octagon House. Chwilami żałował, że podjął się tego remontu. Chodziło oczywiście o Minette i jej sprzeciw wobec jego zajęcia, ale było coś - nie, ktoś, poprawił się w myślach - kto stanowił większy problem.

Leonie Corinth.

Leonie Corinth doprowadzała go do szaleństwa.

Oczywiście nie w taki sposób jak większość klientów: nie chodziło o ciągłe zmiany planów, brak zdecydowania, zatrudnianie i zwalnianie ludzi czy też czasochłonne dyskusje. Nie, Leonie Corinth okazała się najlepszą klientką, jaką miał, nawet jeśli w kilku sprawach byli innego zdania.

I w tym cały problem: oboje mieli ten sam bystry, przenikliwy wzrok, czerpali głębokie zadowolenie ze wspólnej pracy, czuli do siebie... Co? Sam nie chciał się nad tym zastanawiać.

Z deszczu pod rynnę, westchnął w duchu.

Może te stare, wyświechtane powiedzonka są prawdziwe. W jego wypadku tak właśnie się stało. Dlaczego po latach udręki z Minette pozwolił sobie na cieplejsze uczucie do innej kobiety? Szczególnie jeśli nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć?

Jezu! Chyba zwariowałem. Ta kobieta opanowuje moje myśli, a ja na to pozwalam. Ściągał na siebie kłopoty, jak zawsze, i wiedział o tym.

Jadąc autostradą na południe, do Octagon House, spoglądał na Catskills na zachodzie. Tego ranka niebo było jednolicie szare, a radio podawało, że zbiera się na burzę. Powietrze było nieprzyjemnie wilgotne i duszące.

Właśnie. Idealnie odzwierciedla mój nastrój, zauważył.

Zaczął kręcić gałką od radia, nie miał ochoty na miłosne piosenki z Albany. Trafił na stację z rock and roilem, grali Rolling Stones. „Let's Spend the Night Together” - niezbyt odpowiednia muzyka na poranne godziny.

Chociaż pomysł, swoją drogą, niezły. Całkiem niezły, uznał Sam. Właściwie to doskonały. Spędzić tak noc z...

Szybko przekręcił gałkę dalej, ale w końcu stwierdził, że nie ma ochoty słuchać niczego. Nie teraz. Za dużo miał na głowie, za dużo poważnych problemów, które należało rozwiązać, a pomysłów na to żadnych. Wyłączył radio.

Co robić?, zastanawiał się po raz setny od rana. Co powinien zrobić, do diabła?

Jechał w ciszy. Zauważywszy przed sobą drogę dojazdową do Octagon, zwolnił. Tętno mu przyspieszyło, jak codziennie, kiedy zbliżał się do domu Leonie. I oczywiście zdawał sobie sprawę, że nie sama praca tak go podnieca. Skręcił w prawo z autostrady i podjechał do bramy. Świadomość, że za chwilę zobaczy Leonie, sprawiała, że miał ochotę docisnąć gaz; musiał się powstrzymać całą siłą woli.

Przystanął koło powozowni, ale pośród bezładnie zaparkowanych pikapów nie zobaczył starego volva. Zauważył Skipa, majstra, i pozostałych robotników, uwijających się wokół domu niczym pszczoły.

Przez kilka ostatnich tygodni - bardzo dobrze wykorzystanych, jego zdaniem - poczynili znaczne postępy, także dzięki dodatkowym ekipom, które zatrudnił. W tej chwili w domu i wokół niego panował nieprawdopodobny bałagan. Małe kupki ziemi i kamieni, które tak drażniły Leonie, do połowy zasypane rowy niczym brzydkie szramy na całym terenie, i stalowe rusztowania otaczające budynek rzeczywiście psuły piękny krajobraz.

Ale Sam wiedział, że to tylko pozory. Wykonano mnóstwo nieefektywnej pracy - zmodernizowano podstawowe urządzenia. Uśmiechnął się na wspomnienie słów Leonie; żartowała, że wszystkie studnie, system oczyszczania ścieków, kanalizacja i przewody elektryczne powinny być obudowane pleksi, żeby było widać, na co poszły pieniądze.

Już wkrótce, za kilka tygodni, cały trud i pieniądze włożone z taką dbałością w zabytkowy budynek zaczną być widoczne. Główne prace dobiegały końca, teraz zacznie się czasochłonna, ale przynosząca niemal natychmiastowy efekt kosmetyka.

- Cześć, Skip! - zawołał, wyskakując z range rovera.

Majster zbliżył się leniwie, zdjął kask i podrapał się w spoconą głowę.

- Cześć, Sam. Jak leci?

- W porządku - odrzekł Nicholson. - A u Ciebie?

- Nie narzekam.

- Słuchaj, chciałem ci o czymś przypomnieć. Kiedy przyjadą ci ludzie od basenu, zajmij się nimi. Bądź na miejscu, jeśli trzeba im będzie coś pokazać. I postaraj się, żeby nasi nie wchodzili im w paradę, niech spokojnie robią swoje.

- Dobra, Sam.

- Tylko niech nie zaczynają beze mnie albo pani Corinth. Zmieniliśmy trochę lokalizację basenu - ciągnął Sam. - Mówiłem im o tym, ale chcę mieć pewność, że nie zapomnieli. Wiesz, jak to jest.

- Jasne! - Skip się zaśmiał. - Nie martw się, dopilnuję tego.

- Dzięki - powiedział Sam. - A jak idzie dzisiaj?

- Zgodnie z planem.

- Dobra. Do zobaczenia później.

Nie dostrzegł Leonie w ogrodzie, zawrócił więc i podszedł do tylnych drzwi domu, które były otwarte. Zapukał we framugę, ale nikt nie odpowiedział. Wiedząc, że Leonie na niego czeka, wszedł.

- Leonie? - zawołał z holu. Nie usłyszał odpowiedzi, więc przeszedł do kuchni.

Tu też jej nie było.

Zajrzał do jadalni i salonu, a potem do biblioteki. Na końcu sprawdził łazienkę - pusta. Na dole jej nie było.

Wiem, gdzie jest, pomyślał, uśmiechając się nagle.

Wbiegł na górę po schodach, wołając ją.

Nadal nikt nie odpowiadał.

Z piętra poszedł na poddasze, które pospiesznie przekształcano w sypialnię, żeby - jak obiecał - Leonie mogła się tu przenieść.

Rury i przewody elektryczne były już zainstalowane, ustawiono ścianki działowe łazienek, położono izolację, starannie eksponując ogromne stare belki stropowe. Wciąż jednak martwiła go wieżyczka, kolejny raz postanowił, że niedługo musi coś z nią zrobić.

Wszedł do przestronnego pomieszczenia i rozejrzał się.

Było puste, jeśli nie liczyć dwóch zapracowanych cieśli, którzy skinęli mu na powitanie i wrócili do roboty.

Gdzie mogła się podziać?, myślał gorączkowo. Potem uprzytomnił sobie, że na podjeździe nie widział jej auta. Kompletnie



o tym zapomniał, tak był podekscytowany tym, że wkrótce ją zobaczy.

Nagle sobie przypomniał: pojechała dzisiaj do Southampton.

Zaczął krążyć po przestronnej sypialni, podziwiając wykonaną już pracę. Pokój zachował swój staroświecki, czarodziejski urok, mimo że do renowacji użyto nowych materiałów.

Szare światło wlewało się przez osiem okrągłych okienek i szklaną wieżyczkę, napełniając sypialnię tajemniczym pięknem, którego nie dałoby się chyba stworzyć. Przynajmniej sztucznie. W tym wypadku, rozmyślał Sam, czary powstały dzięki matce naturze i architektowi, który zaplanował poddasze w ten sposób. To pomieszczenie zachwytiło go od pierwszej chwili i pragnął ujrzeć tutaj Leonie.

Omiótł pokój ostatnim spojrzeniem, po czym zszedł na dół, zadowolony, że jej nie ma. Dzisiaj po prostu musiał ją zobaczyć, choćby po to, by znaleźć się w pobliżu tej żywiołowej, błyskotliwej istoty. Po ostatniej bitwie z Minette spokój i swoboda, jakie czuł w towarzystwie Leonie, były niczym balsam dla duszy, antidotum na skaleczenia i rany zadawane przez świat.

Wróciwszy do kuchni, rozejrzał się, czy nie zostawiła gdzieś liściku. Miał nadzieję znaleźć jakiś znak, że myślała o nim przed wyjazdem. Ale niczego takiego nie było.

Zauważył w zlewie kubek po kawie, zobaczył też, że ekspres jest wciąż włączony. Na blacie stały śmietanka, cukier i słodzik. Sam wyjął z szafki kubek, nalał sobie kawy, dodał śmietanki i cukru, wymieszał.

- Fuj! - Już pierwszy łyk powiedział mu, że jest stara. Chyba bardzo długo stała. Prawdę mówiąc, smakowała jak pomyje. Wylał ją do zlewu i wypłukał kubek.

Leonie musiała wstać o świcie, pomyślał. Ten wyjazd do Southampton to pewnie coś bardzo ważnego.

Przez kuchenne okno Sam obserwował robotników, zastanawiając się, dlaczego właściwie tak się przejemuje. Przecież Leonie Corinth to nie moja sprawa, powtarzał sobie w duchu. Jest dużą dziewczynką, nie ma obowiązku tłumaczyć się przede mną z tego, co robi. Nie musiała mówić, że wyjeżdża. Ani dokąd.

Poza tym, myślał, pochodzi ze świata, o którym prawie nic nie wiem. Do którego nie należę. A ona najwyraźniej jeszcze dość mocno w nim tkwi. Przynajmniej na to wygląda.

Przeniósł wzrok na sterty czasopism, książek i gazet na kuchennym stole: francuski i włoski „Vogue” obok naukowych książek

o różnych malarzach i rzeźbiarzach, grube podręczniki na temat zabytkowych mebli i wnętrz, katalogi kolekcji ubrań drogich projektantów, wysyłane specjalnym klientkom, tajemniczo wyglądające powieści wymieszane z dobrymi, staroświeckimi czytałkami, kilka ozdobnych, wydrukowanych na grubym welinie zaproszeń na wernisaże i przyjęcia w Nowym Jorku, Southampton, a nawet w Londynie i Paryżu.

Minette była bogata, ale wywodziła się z prowincjonalnego, ciasnego kręgu zamożnych hodowców koni. Leonie pochodziła z Nowego Jorku, ze znacznie bardziej wyrafinowanego, kosmopolitycznego świata i obracała się w międzynarodowych wysokich sferach.

Zapewne, mówił sobie Sam, ona wcale nie myśli o mnie czy o moim świecie. A jeżeli nawet, to niezbyt życzliwie.

On jednak nie mógł wyrzucić jej z pamięci, nie mógł pozbyć się obrazu jej lśniących kasztanowych włosów, czarnych oczu i sprężystego ciała. Pozbawiony porannego zastrzyku energii, jakim była jej radosna obecność, nagle poczuł się samotny... jakby za kimś tęsknił.

I nagle zdał sobie sprawę, kogo mu brakuje: tęsknił za nią.

A wobec tej tęsknoty wszelkie inne problemy, jakkolwiek poważne, stały się nieistotne. Leonie nie było w domu.

## Rozdział 12

Następny przystanek - dom Bobby'ego Chandlera, olbrzymia posiadłość, gdzie jakoś wiąże koniec z końcem", jak mawiał ze śmiechem: czterdzieści kilka pokoiów na ośmiohektarowym pięknie zagospodarowanym, zielonym terenie. Bobby mieszkał tu całkiem sam, jeśli nie liczyć siedmiu osób zatrudnionej na stałe służby, która spełniała wszystkie jego zachcianki.

Podjeżdżając do ogromnej, żelaznej bramy, która stała otworem, jakby zapraszając gości - właśnie tego było jej trzeba po wyniosłym panu Henrym Reynoldsie i tym łajdaku Jeremym Sampsonie - Leonie nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok nazwy pałacu Bobby'ego. Litery z brązu na kamiennym filarze głosiły: „Salt Cottage”.

Niezły Solny Dworek!, pomyślała.

Była to jedna ze wspaniałych rezydencji, zaprojektowana przez McKima, Meada i White'a w latach 1880-1890 dla bardzo bogatych i wysoko postawionych Amerykanów. Łamane daszki, ogromne werandy, kolumny, palladiańskie okna, cedrowy gont, nieskazitelnie białe ściany, ciemnozielone okiennice. Stanford White był szczególnie dumny ze swego dzieła.

Tę stworzoną w minionych czasach cudowną ekscentryczną budowlę Bobby - z pomocą Leonie - przystosował do swojego luksusowego, współczesnego stylu życia.

Przepiękny teren wokół domu zaprojektowali w poprzednim stuleciu najznakomitsi ogrodnicy. Ozdabiały go stare okazy rzadkich drzew, krzewy różane, altany z wistarią, pergole ze złotokapem i troskliwie pielęgnowane rabaty bylin.

Wśród soczyście zielonej roślinności rozmieszczono kolekcję rzeźb, trawnik do krokiet, olimpijskich rozmiarów basen, korty tenisowe, dwa domki gościnne, stajnię z ogrodzonymi padokami oraz garaż na dwanaście samochodów. Bobby uwielbiał szybkość - i na boisku do gry polo, i za kierownicą ferrari, astona martina, lamborghini czy któregośkolwiek innego z ukochanych wozów. Jeśli miał szczególną ochotę na emocje, wsiadał na harleya davidsona, nowego ducati albo idealnie utrzymanego triumpha.

Jadąc wolno krótką aleją między ogromnymi, poskręcanyimi dębami, Leonie czuła mieszaninę podniecenia i lęku. Ona i Bobby - Hank też - sporo pomieszkiwali w tym domu. Przypominał charakterem inną budowlę na tej samej ulicy, jako że Leonie odnawiała i urządzała także „miłosne gniazdko”, któremu Hank i ona poświęcili tyle uwagi i pieniędzy.

Zaparkowała na okrągłym podjeździe przed domem, wysiadła, po czym sięgnęła do środka po torbę. Zanim doszła do frontowych drzwi, otworzył je sam Bobby Chandler.

- Leonie! - zawołał z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Bobby! - wykrzyknęła i rzuciła się w jego otwarte ramiona.

Objął ją mocno, przytulili się i wycelowali w policzki. Wszelkie wątpliwości, wszelkie obawy, jakie mogłaby mieć co do lojalności przyjaciela, rozproszyły się natychmiast w jego ciepłym, życzliwym uścisku.

- Pokaż no się - powiedziała, odsuwając się lekko i obrzucając go uważnym spojrzeniem. - Jesteś jeszcze przystojniejszy niż przedtem - osądziła ze śmiechem, zauważając, że on także ma na sobie biały strój do tenisa, a na szyi puszysty, teraz wilgotny biały ręcznik.

- A ty wyglądasz pięknie jak zawsze - odrzekł, podając jej ramię.

- Dzięki, Bobby.

Leonie poczuła zadowolenie, ponieważ specjalnie się dzisiaj postarała, zarówno dla adwokata, jak i dla Bobby'ego - zresztą dla siebie też. Wybrała cudownie miękki, lekki, biały kaszmirowo-jedwabny sweterek, białe płócienne spodnie, a do tego granatowy lniany blezer z dużymi złotymi guzikami. Na nogach miała granatowe espadryle. Jediną biżuterią był gruby złoty łańcuszek na szyi i złote bransoletki na nadgarstkach, ozdobione brylancikami, rubinami i szmaragdami, ułożonymi we wzory z kótek i rombów.

Razem weszli do domu, gdzie powitał ich kamerdyner.

- Cześć, Boyce - przywitała się Leonie.

- Panno Corinth. - Kamerdyner z cieniem uśmiechu na ustach skłonił łysą głowę. - Czy mogę zabrać pani torbę?

- Nie, dziękuję, Boyce - odrzekła Leonie. - Sama ją wezmę.

Cały Boyce, bezbłędnie znając jej nazwisko, pomyślała. We wszystkim jest taki doskonały.

- Jak się miewa Willie? - zapytała. Willie była jego żoną, w dość zaawansowanym, nieokreślonym wieku, jak sam Boyce, i pierwszorzędną kucharką Bobby'ego.

- Bardzo dobrze, panno Corinth - odrzekł Boyce. - Miło, że pani pyta.

- Przekaż jej, proszę, że odwiedzę ją dziś w kuchni, jeśli nie ma nic przeciw temu - powiedziała Leonie.

- Na pewno się ucieszy, panno Corinth. - Służący odwrócił się i bezszelestnie wyszedł do jadalni.

Dlaczego Boyce jest dziś taki... powściągliwy? - zastanowiła się. Taki dziwnie oschły. Czy też trochę zdenerwowany i... niepewny. A może mi się wydaje? Pewnie to moja wybujała wyobraźnia.

- Chcesz się odświeżyć? - zapytał Bobby.

- Jasne - ucieszyła się Leonie. - Wejść na minutkę do łazienki.

- A ja skoczę pod prysznic, opłukać się - rzekł Bobby. - Przepraszam. Nie zdążyłem przed twoim przyjazdem. Grałem w tenisa.

- Nie spiesz się - powiedziała. - Przespaceruję się po twoich ogrodach.

- Jak sobie życzysz. Jest tak pięknie, że możemy posiedzieć na zewnątrz - zaproponował Bobby. - Piękna pani, pod pergolą czeka na ciebie dzbanek krwawej mary. Pod złotokapem.

- Brzmi kusząco. - Leonie się roześmiała.

- Potem zjemy lunch! - zawołał Bobby przez ramię, wbiegając na schody. - Zgoda?

- Doskonale.

- Wracam za moment - zapewnił ją.

Kiedy skończyła toaletę, przeszła się po olbrzymich, pięknie meblowanych pokojach na parterze.

Były urządzone wspaniale, lecz bez ostentacyjnej wystawności. Rodzinne skarby, jak stojąca w holu cudownie rzeźbiona, pozłacana irlandzka konsola z czasów króla Jerzego, kontrastowały z dużymi, wygodnymi fotelami i kanapami, obitymi pasiastym żeglarskim płótnem albo kwiecistym perkałem. Na parkietach leżały sznurkowe chodniki, a zasłony były proste, aby do środka wpadało jak najwięcej światła.

Wszędzie ustawiono wazony z barwnymi, pachnącymi kwiatami, podobne widniały na obrazach zdobiących ściany. Było tu bardzo jasno i przestronnie, jak przystało na letni dom nad morzem.

Chodząc po pokojach, Leonie poczuła przypływ pewności siebie i dumy. Bobby jej pomagał, ale to przede wszystkim jej pomysły i praca stworzyły tę spokojną, piękną oazę luksusu i wygody.

Wiedziała, że ten styl jest teraz kopiowany przez wielu mieszkańców Hamptons. Naśladowano go prawdopodobnie także i w innych miastach, ponieważ fotografie rezydencji Bobby'ego, podobnie jak i jej domu, zamieściło pewne znane czasopismo.

Wędrując na tyły domu, Leonie zatrzymała się w wyłożonym terakotą pokoju myśliwskim, ulubionym schronieniu Bobby'ego. Rozejrzała się i uśmiechnęła, myśląc, że stworzył w nim swoje królestwo.

Na ścianach wisiało kilka trofeów myśliwskich - jego własnych, nie kupionych. Wypchane rogate jelenie głowy, jeden czy dwa bażanty, duże ryby o szklanych oczach spoglądały na nią obojętnie, a z podłogi szczyrzyła groźnie pysk ogromna niedźwiedzia skóra. Wszystko to z pewnością nie zachwyciłoby obrońców dzikich zwierząt, ale wiedziała, że Bobby wcale się tym nie przejmuje.

Na starym wieszaku do ubrań i na haczykach umocowanych do ścian wisiały płaszcze, kurtki, kapelusze, czapki i kaski na wszelkie rodzaje pogody, na każdą temperaturę i odpowiednie do każdego zajęcia. Na podłodze ustawiono z wojskową precyzją buty do jazdy konnej, gry w polo, myśliwskie, kalosze, drewniane chodaki, buty do biegania, korki do piłki nożnej i golfa, rolki - był tu sprzęt do uprawiania chyba wszystkich dyscyplin sportu, zauważyła Leonie.

W ogromnych staroświeckich stojakach tkwiły parasole, baty, rakiety tenisowe, młotki do polo, kije do golfa i lacrosse, sprzęt wędkarski i tak dalej.

Zabawki Bobby'ego, pomyślała z rozbawieniem. I co więcej, on ich używał. Nie były na pokaz, jak w wielu tutejszych wspaniałych domach bogatych nowojorczyków.

Nagle zauważyła coś dziwnego. Dwie pary wyraźnie niedawno zabrudzonych butów do jazdy konnej, ustawione obok siebie na podłodze. Albo służba zaczyna zaniedbywać swoje obowiązki - gdyby jedna para była brudna, to w porządku, ale dwie? - albo Bobby ma partnera do jazdy konnej, o którym Leonie nie wie.

Uznała, że to dziwne. Zawsze jej opowiadała o swoich romansach. Spędzili wiele godzin, rozmawiając o jego randkach i rozmaitych

podbojach seksualnych. I nie chodziło o kobiety, z którymi pokazywał się na przyjęciach, ale o nocne randki z mężczyznami, z którymi spotykał się po odprowadzeniu swej towarzyszki do domu.

Może to dlatego ostatnio nie dzwonił. Był zajęty nowym partnerem.

Dobrze, że ma kogoś bliskiego, pomyślała Leonie. To nada jego życiu cel... i sens.

Nagle poczuła się niczym wścibska podglądaczka. Pospiesznie zakończyła swoje rozważania i wyszła z pokoju do ogrodu.

Znalazła pergolę obwieszoną gigantycznymi żółtymi kwiatami złotokapu i podeszła do białego wiklinowego stolika, na którym stały kryształowy dzbanek z krwawą mary i szklanki. Wspaniale, ucieszyła się, tego mi trzeba.

Nalała sobie sporą porcję, spróbowała i uznała, że drink jest w sam raz. Zauważyła, że dwie szklanki były używane.

No, no, uśmiechnęła się domyślnie. Ukochany Bobby'ego musiał zniknąć tuż przed jej przyjazdem. Może nawet wciąż gdzieś tu jest.

Usadowiła się na wygodnym, wyściełanym wiklinowym fotelu - sama kupowała do nich materiał u słynnej Madeleine Castaing w Paryżu, tuż przed śmiercią owej nestorki dekoracji wnętrz - i wzięła „New York Timesa”, ale zaraz odłożyła gazetę z powrotem na stolik. Dzisiaj wiadomości nic jej nie obchodziły.

Popatrzyła na bujną zieleń wokoło. Bąki przelatywały od jednego kwiatu do drugiego, motyle tańczyły z gracją - gromadka białych, kilka większych brązowych i dwa niebiesko-czarne. Leniwie obserwowała ich baletowe igraszki pośród kwiatów, kiedy z rozmarzenia wyrwał ją głos Bobby'ego.

- O czym tak rozmyślasz? - zapytał, podchodząc od tyłu. Pochylił się nad fotelem i uściskał ją.

- Właściwie o niczym - odrzekła. - Patrzyłam na motyle.

Bobby nalał sobie krwawej mary, po czym wyciągnął się w fotelu.

- Jest ich w tym roku całe mnóstwo.

Leonie spojrzała na niego. Bobby Byk. Jego kruczoczarne włosy były jeszcze mokre od prysznic, a opalone, muskularne ciało emanowało zdrowiem i witalnością. Był silny, mocno zbudowany, niezbyt wysoki, ale mięśnie miał twarde. W ciemnobrązowych oczach najczęściej błyskała wesołość, ale Leonie zauważyła, że dziś mają wyraz znużenia i lekkiego niepokoju.

- No, mów, Bobby - rozkazała. - Co to za bzdura z tą sprzedażą Salt Cottage?

- Dostałem ofertę nie do odrzucenia - oznajmił krótko. - Dwanaście milionów.

Była oszołomiona.

- Dolarów? - wykrztusiła.

Bobby zaśmiał się krótko.

- Dolarów od gwiazdy filmowej - potwierdził.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Mówię zupełnie poważnie. - Rzeczywiście, tak to zabrzmiało. - Powód jest taki, że licytują się dwie kasowe gwiazdy. Pewnie im się wydaje, że jak wydadzą tutaj kupę dolców, to wejdą do towarzystwa. - Wymienił nazwiska zainteresowanych domem aktorek - obie były bardzo sławne.

- Nie do wiary, co tu się wyprawia - powiedziała Leonie. - Jak w Beverly Hills East. Nie stać by mnie było ha kupno choćby chatki, jeśli jakaś się jeszcze ostała.

Bobby spojrział na nią bacznie.

- Tęsknisz za Hamptons, Leonie? - zapytał poważnie.

- Czasami - przyznała się. - Ale przeważnie jestem zbyt zajęta, żeby o tym myśleć.

- Nie tracisz wiele - odrzekł. - To teraz szambo ze znanymi ludźmi. Wiesz, co się z tym wiąże. Wycieczki przyjeżdżają całymi autokarami. Samochody, korki, spaliny. Zaczęła się jeszcze większa rywalizacja między starymi fortunami, nuworyszami, pieniędzmi z Zachodniego Wybrzeża, a nawet z Europy. Matrony ze starego towarzystwa obawiają się, że niedługo na plaży będziemy oglądać gołe cycki. Jak w St. Tropez.

Leonie parsknęła śmiechem, ale zaraz spoważniała.

- A co ty zrobisz, Bobby? - zapytała. - Nie wyobrażam sobie, żeby miał mieszkać gdzie indziej.

- Buduję ultranowoczesny dom na ostatnim uratowanym kawałku plaży. Samo szkło i stal - powiedział. - Do tego mały.

- Ty?! - Leonie znowu wybuchnęła śmiechem. - Szkło i stal? Mały?

- Możesz sobie nie wierzyć - odrzekł ze śmiertelną powagą. - Coś łatwego do utrzymania. A wszystko stąd pójdzie na aukcję. Wszystko. Do Christie's. Powiedzieli, że powinienem dostać jakieś pięć milionów. - Urwał i odwrócił się do niej z nagłym wyrazem zawziętej determinacji w oczach. - Rzucam też pracę - oświadczył. - Mam dość Wall Street, bankierów inwestycyjnych, całego tego szajsu. Wycofuję się, Leonie. Będę polować, łowić ryby, grać w polo i tak dalej.



Z wrażenia zakręciło jej się w głowie. To dopiero nowina! Bobby zawsze był raczej ugodowy i starał się zadowolić swoją bogatą, snobistyczną rodzinę. Tamci na pewno nie ucieszą się na wieść, że rezygnuje z kariery. Twierdzili stanowczo, że już i tak pełne rodzinne kufry należy nieustannie napychać.

- Powiedziałaś rodzinie? - zapytała.

- Częściowo - odrzekł. - Nie wszystko. Muszę działać ostrożnie.

Oni oczywiście wybuchną.

- Z tego, co o nich wiem, „wybuchną” to za mało powiedziane.

- Wiesz co? - Bobby uśmiechnął się zimno.

- Zamieniam się w słuch.

Jego uśmiech znikł, a głos zabrzmiał ochryple.

- Gównu mnie to obchodzi - warknął. - Nie potrzebuję ani ich, ani ich zasranych pieniędzy.

Zobaczyła nagle nowego Bobby'ego. Prawie nigdy nie używał wulgarnych słów i nigdy, przenigdy nie podnosił głosu.

- Pomyślałem, że mam dosyć swoich - ciągnął. - Na rynku giełdowym idzie mi wspaniale, mam też nowego doradcę finansowego, który umie dokonywać cudów. Więc - spojrzał jej prosto w oczy - niech się pieprzą.

Leonie zaniemówiła. Wiedziała, że Bobby zawsze niechętnie podporządkowywał się wymaganiom rodziny, ale nigdy aż tak nie protestował. Był raczej zadowolonym i dobrodusznym chłopcem, a drobne podchody i spiski, których wymagało zachowanie sekretów, sprawiały mu nawet radość.

- No cóż - powiedziała w końcu. - Mam nadzieję, że wszystko ci się ułoży, Bobby.

- Na pewno - odrzekł stanowczo.

- A reszta twojego życia? - Wreszcie odważyła się zadać to pytanie. - Czy wszystko w porządku? To znaczy... Czy masz...

- Kogoś nowego? - dokończył za nią.

- Skoro o tym wspomniałeś... - Uśmiechnęła się, nieco zmieszana.

- Hmm - mruknął wymijająco. - Chyba można tak powiedzieć.

Leonie zerknęła na niego.

- Och, Bobby - odezwała się przymilnym tonem - no, powiedz. To przecież ja, twoja przyjaciółka, Leonie.

Nagle w skupieniu zaczął przyglądać się paznokciom. Jakby zamknął się w sobie, czego nigdy nie robił, i odpłynął do jakiegoś swojego odległego świata, pozostawiając Leonie w próżni.

- Bobby? - zagadnęła go miękko.

- Wolałbym o tym nie rozmawiać, Leonie - oświadczył uprzejmie, ale stanowczo.

- Oczywiście, przepraszam. Nie chciałam być wścibska - odrzekła ze skruchą.

Po chwili Bobby zwrócił się do niej z rozjaśnioną twarzą.

- Porozmawiajmy o tobie - zaproponował. Wrócił mu dobry humor. - Jesteś tam szczęśliwa? Masz nowych przyjaciół?

- Jestem - i mam. Remont idzie jak po maśle. Myślę, że dom by ci się spodobał. I bardzo się zżyłam z moją przyjaciółką, Mossy. Jesteśmy pokrewnymi duszami. Poza tym... - Urwała i zawahała się, niepewna, ile może ujawnić.

- Chyba wyczuwam w tym mężczyznę - zauważył Bobby.

- No... - bąknęła Leonie.

- Zdecydowanie wyczuwam w tym mężczyznę - powtórzył ze śmiechem. - Zgadza się?

- Tak i nie - odpowiedziała w końcu. - Poznałam kogoś... Ale... O Boże. Nie jestem jeszcze gotowa, Bobby.

- To zrozumiałe.

- Nie wiem. Czuję się taka niepewna siebie i swoich uczuć. W tej chwili jest mi nawet trudno się z kimś zaprzyjaźnić. Po tym jak Hank...

- Jesteś trochę ogłuszona? - wtrącił szybko.

- Można tak powiedzieć - przytaknęła. - Wciąż się zastanawiam, co się, u diabła, stało. Wystarczyło, że go dzisiaj spotkałam...

- Przepraszam. - Bobby znów jej przerwał. - Umieram z głodu. A ty nie?

- Prawie - odrzekła zdziwiona i odrobinę zirytowana, że przyjaciel wyraźnie nie chce słuchać, co ona ma do powiedzenia.

- Powiem Boyce'owi, żeby zaczął podawać. - Wstał. - Stół jest nakryty przy basenie. Spotkajmy się tam, dobrze?

- Jasne - zgodziła się Leonie. - Na razie.

Patrzyła za Bobbym, który odwrócił się i leniwym krokiem poszedł do domu. Jego sposób chodzenia „w stylu macho” nie wydał jej się dzisiaj zabawny.

Co mu się stało? - zastanawiała się. Coś jest nie w porządku. I to bardzo. To już nie jest dawny troskliwy i umiejący słuchać przyjaciel. To nie Bobby, który rzucał się na najdrobniejszą soczystą ploteczkę. Nie ten bezpośredni Bobby, który zawsze pragnął się z nią wszystkim dzielić, także sekretami. Nagle zmienił się nie do poznania. Nie rozumiała tego.

Zaskoczona, wstała, odstawiła szklanekę, chwyciła torbę i postanowiła iść prosto do stołu. Będzie mogła umyć ręce i poprawić makiż w domku przy basenie.

Ruszyła spacerkiem przez ogród, podziwiając obfitość letnich kwiatów. Minęła neoklasycystyczny portyk, porośnięty kaskadami pnących róż, które prawie całkiem go przysłaniały. Były to staroświeckie róże o różowych płatkach, w pełni rozkwitu. Ich płatki często pokrywały trawnik i kamienne płyty.

Otworzyła przeszkłone drzwi domku. W środku ze zdziwieniem zobaczyła, że Bobby zmienił salonik na salę gimnastyczną. Dawniej miał salę do ćwiczeń na drugim piętrze w dużym domu.

Dobry pomysł, uznała Leonie. Tu jest jasno i przestronnie, a przez kilka miesięcy w roku wystarczy otworzyć drzwi, żeby po forsownym treningu wskoczyć wprost do basenu.

Skierowała się do łazienki, gdy coś zwróciło jej uwagę. Na jednej z ławeczek kątem oka zauważyła dużą, czarną, skórzaną torbę gimnastyczną. Wyglądała tak bardzo znajomo; błyszczące, pozłacane inicjały mrugały do niej z odległości zaledwie kilku kroków.

Podeszła bliżej i...

- O Boże, nie!

Leonie cofnęła się, jakby z torby wysunął się łoś jadowitego węża z rozdwojonym językiem, gotowego ukąsić.

To nie może być prawda, myślała. Nie może!

Serce waliło jej w piersi, tętno biło jak oszalałe. Przez chwilę wydawało jej się, że zwymiotuje. Zrobiła kilka głębokich wdechów, żeby się opanować.

Pomyliłam się, uznała. Przywidziało mi się, to wszystko. Na pewno.

Po chwili jej oddech się uspokoił. Podeszła bliżej i przyjrzała się torbie.

Złote inicjały jasno i dobitnie głosiły: HWR.

Henry Wilson Reynolds.

Zakryła dłonią usta i wydała stłumiony okrzyk. Nie mogła mieć żadnych wątpliwości: to ta sama torba, którą dwa lata temu dała Hankowi na urodziny.

Złapała się ławeczki do wyciskania ciężarów, przewracając przy tym opartą o nią rakieta tenisową, która z hukiem upadła na podłogę. Leonie schyliła się, podniosła ją i z powrotem odstawiła na miejsce.

Była to rakieta, którą Hank sam sobie kupił na te same urodziny.

Leonie osunęła się ciężko na ławeczkę obok torby, oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach. Siedziała tak przez kilka minut, próbując zapanować nad szalejącą burzą sprzecznych myśli i uczuć. Nie mogła na niczym się skoncentrować, była zbyt oszołomiona, aby płakać.

Stopniowo jej serce odzyskało normalny rytm, a gwałtowne emocje wyparło odrętwienie.

Nagle wiele okropnych zdarzeń z minionych miesięcy nabrało sensu. Z przeraźliwą jasnością zrozumiała, co się stało.

Hank i Bobby Ghandler są kochankami, myślała. Mój mąż porzucił mnie dla mojego najlepszego przyjaciela. Historia stara jak świat - w naszym związku pojawiła się „ta druga”. Tyle że w tym wypadku „ta druga” jest mężczyzną.

Gardłowy śmiech wstrząsnął jej ciałem, a potem wypełnił cały domek. Nawet ją samą zdziwił ten głośny, absurdalny wybuch pozornej wesołości w obliczu takiej zdrady.

Kiedy w końcu zdołała się opanować, w jej umyśle ponownie zawirowały fragmenty układanki, które złożyły się na obraz całości. Wszystkie wskazówki miała pod nosem, ale ich nie dostrzegała, nie podejrzewając tego rodzaju zdrady.

Wreszcie powoli wstała i weszła do łazienki. Przyczesała włosy, umyła ręce i poprawiła makijaż. Jeszcze odrobina szminki, uznała. To wystarczy. Wyjęła etui beyond bordeaux, starannie nałożyła, odcisnęła nadmiar na chusteczkę. Gotowe.

Przewiesiła przez ramię torbę, wyprostowała się i wyszła z domu. Na drugim końcu basenu Bobby rozsiadł się przy stole pod wielkim ogrodowym parasolem.

Kiedy ją zobaczył, chciał wstać.

- Jesteś - powiedział. - Zaczynałem się zastanawiać...

Zauważył wyraz twarzy Leonie i zamilkł.

- Nie wstawaj - odezwała się spokojnie.

- Co się stało, Leonie? - zdziwił się. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Nie ducha, Bobby - odparła. - Prawdę.

Wpatrywał się w nią zaskoczony.

- Co... O czym ty mówisz? - zapytał w końcu.

- Chyba wiesz, o czym - odrzekła cicho. - O tobie i Hanku.

Widziała, że cały zeszytniał, a z jego opalonej twarzy odpłynęła cała krew. Po chwili rozluźnił się, ale wciąż milczał.

- Wiesz, że kochałam cię jak brata, Bobby - ciągnęła. - Byłeś moim najlepszym przyjacielem albo tak mi się wydawało.

- Ja też cię kochałem, Leonie - zapewnił ją żarliwie.

- Może - odparła z westchnieniem. - Dopóki było ci wygodnie. Ale tych, których się kocha, nie traktuje się tak paskudnie. - Głośno nabrała powietrza. - Szkoda, że nie zdobyłeś się wobec mnie na szczerość. Może... Może wtedy nie bolałoby aż tak.

- Przykro mi, Leonie - powiedział cicho.

- Przypuszczam, że na swój sposób rzeczywiście żałujesz. - Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. - Wyjeżdżam. Życzę wam obu szczęścia.

Bobby został na miejscu. Leonie odwróciła się, przeszła szybko przez ogród i dookoła domu do samochodu. Otworzyła drzwiczki, wrzuciła do środka torbę, wsunęła się na siedzenie i uruchomiła silnik.

Gdy jechała aleją do bramy, w oczach miała łzy. Otarła je i pomyślała: nie zabrałam pudeł ze swoimi rzeczami. Och, do diabła! Bobby jest bogaty, może mi je odesłać.

## Rozdział 13

Dom stał pogrążony w niemal całkowitych ciemnościach, jedyną oznaką życia było nikłe światło małej lampki w salonie. Deszcz bezlitośnie uderzał w szyby, a w niebie rozlegał się złowieszczy pomruk burzy. Błyskawica, piękna i zarazem straszna, odbiła się w oknach i w lustrze nad kominkiem, które zwielokrotniło jej blask.

Szałała letnia burza. Leonie, już i tak roztrzęsiona, czuła się jeszcze bardziej bezbronna.

Leżała na sofie w ciemnym pokoju, na miękkich, wykończonych koronką poduszkach zszytych z kawałków jedwabiu. Na stoliku obok stał kieliszek wina Pouilly-Fuisee. Leonie była zaprzątnięta gorzkimi myślami, ale gwałtowna burza z efektami pirotechnicznymi oderwała ją od złych wspomnień. Pod wpływem wiatru jakaś obluzowana okiennica stukała gwałtownie o mur.

Trzeba sprawdzić, która to, pomyślała. Jutro każe robotnikom porządnie ją zabezpieczyć. Przypomniała sobie jednak, że wszystkie okiennice zostały zdjęte do skrobania i malowania. Więc co to jest, do diabła?, zadała sobie pytanie. Muszę wstać i zobaczyć.

Ale nie wstała. Wydawało się to zbyt wielkim wysiłkiem. Nawet podniesienie do ust kieliszka z winem stało się wyczynem ponad jej siły.

Jaskrawy rozbłysk zalał pokój nierealnym błękitnobiałym światłem, a sekundę później rozległ się ogłuszający huk. Dom zadrżał aż po fundamenty, co jeszcze bardziej zdenerwowało Leonie.

Przeszedł ją dreszcz. Sięgnęła po kaszmirową narzutę, która leżała starannie złożona w nogach sofy, i nakryła się aż po brodę. Wsunęła jedną rękę i wzięła kieliszek z winem. Wypiła długi łyk, odstaawiła kieliszek na miejsce i z powrotem schowała rękę pod narzutę.

Po powrocie z Southampton miała ochotę zadzwonić do Mossy, ale w końcu zrezygnowała. Nie jestem dziś miłym towarzystwem, pomyślała. Mossy i tak już dość się nasłuchiwała moich żalów w związku z rozwodem, nie można jej dodatkowo obciążać.

Czuła się tak potwornie zmęczona. W każdych okolicznościach była to długa podróż, ale dzisiaj przypominała wariacką jazdę na piekielnej kolejce w wesołym miasteczku.

Gdy Leonie odkryła prawdę o byłym mężu i dawnym najlepszym przyjacielu, ogarnęło ją głębokie poczucie zdrady i straty. Ponownie zważyła w swoją zdolność oceny ludzi i własną wartość.

Co chwilę napływały jej do oczu łzy żalu i gniewu, kilka razy musiała zjeżdżać z szosy, żeby zapanować nad emocjami. Nieraz zastanawiała się, czy zdoła wrócić do swojego bezpiecznego gniazdka.

Już w domu ogarnął ją bezwład, niemal paraliż i mimo wielkich wysiłków nie mogła się z niego wyrwać. Nie zadała sobie nawet trudu, aby wykapać się czy przebrać - tak była przybita po wydarzeniach tego dnia.

Nagle pokój znów wypełnił się niesamowitym błękitnobiałym światłem, a kolejny ogłuszający grzmot wstrząsnął domem. Lampka na stoliku zgasła.

O Boże, nie, pomyślała Leonie. Tylko tego mi trzeba. Sama, rozdygotana, a matka natura chce zwalić mi ten dom na głowę. Świece.

Muszę znaleźć świece - powiedziała do siebie. Są gdzieś w kuchni, w szufladzie.

Zanim wstała z sofy, zauważyła w oknie światła - ale nie błyskawic: w strugach deszczu podskakiwały żółte kręgi. Przesuwały się na tyły domu. Najpierw mignęły w oknach jadalni, potem kuchni. Z powodu burzy nie słyszała warkotu silnika, ale była pewna, że to samochód.

Usiadła prosto, zastanawiając się gorączkowo, kto chciałby się z nią zobaczyć o tej porze. Może Mossy? Nie, na pewno nie. Nie w taką burzę, zresztą najpierw by zadzwoniła. Więc kto to?

Światła znikły, a w chwilę później rozległo się stukanie do tylnych drzwi, ledwo słyszalne we wściekłym łomocie burzy.

Nie otworzę, postanowiła. Wszystko jedno, kto to, musi odejść. Wyglądam okropnie, nie będę się nikomu pokazywać. Leżała bez ruchu, czekając, by pukanie ustało, ale na próżno.

Wtedy przyszło jej do głowy, że ktoś potrzebuje pomocy. Może był wypadek na autostradzie? Może ktoś chce się dostać do telefonu? Może...

Cholera, zakłęta w duchu, muszę otworzyć.

Wstała z sofy - kaszmirowa narzuta zsunęła się na podłogę - włożyła klapki i stając ostrożnie w ciemności, przeszła przez salon do holu.

Gdy uchyliła drzwi, ujrzała zmokniętego i zaniepokojonego Sama Nicholsona.

- Sam! - wykrzyknęła, otwierając je szeroko. - Szybko, wejść.

Kolejna błyskawica rozdarła niebo przy akompaniamencie ogłuszającego huku.

Leonie prędko zamknęła drzwi i odwróciła się do niego.

- Jesteś przemoczony!

- Wiem. - Sam uśmiechnął się w ciemności, ociekając wodą.

- Wiem, że już późno - tłumaczył się - ale przejeżdżałem obok i pomyślałem, że może już wróciłaś. Nie było cię rano, a ja... Byłem ciekaw, jak ci się udała podróż. I czy wróciłaś bezpiecznie w tej burzy.

Paraliż i bezwład natychmiast minęły, a ponury nastrój ulotnił się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Serce Leonie zaczęło bić mocniej. Wystarczy sam jego widok, pomyślała, żebym kompletnie straciła głowę! Była wzruszona, że chciał ją zobaczyć; instynktownie wiedziała, że to dlatego się zjawił.

- Muszę znaleźć świece - powiedziała. - Właśnie zgasło światło. Wejść do środka.

- Naniosę ci wody - zaprotestował.

- Nie szkodzi. Możesz zdjąć buty w kuchni, dam ci ręcznik.

Strząsnął kurtkę przeciwdeszczową, powiesił ją na haczyku w holu, po czym wszedł do kuchni, gdzie Leonie przetrząsała szuflady w poszukiwaniu świec.

- Eureka! - wykrzyknęła. - Mam je. Teraz zapałki. - Po ciemku szukała dłonią, w końcu na nie trafiła. - Aha! Są i zapałki.

Zapaliła świecę i umieściła ją w lichterzu stojącym na kuchennym stole, następnie zapaliła trzy kolejne, aż zrobiło się jasno. Odwróciła się i zobaczyła, że Sam usiadł, aby rozsnurować buty.

- Postaw je na tym starym chodniku z gałganków - powiedziała. - Napijesz się wina?

- Chętnie - odrzekł. Zaniósł przemoczone buty na chodnik, a Leonie wyjęła kieliszek. W blasku świec jej ciemne, lśniące włosy kontrastowały z białą swetra i spodni, a bransoletki migotały przy każdym ruchu.

- Usiądź - powiedziała. - Pójdę tylko po mój kieliszek.



Przyniosła go z salonu i usiadła przy stole. Nalała sobie wina, po czym zwróciła się do Sama.

- Zdrowie! - powiedziała, gdy stuknęli się kieliszkami.
- Twoje zdrowie - odrzekł z uśmiechem.

Leonie pomyślała, że Sam jeszcze nigdy nie wydawał jej się taki przystojny, tak chłopięcy, a zarazem niesłychanie męski, jak teraz, w świetle świec, choć był przemoczony od stóp do głów.

- Och, zapomniałam! - zawołała. - Ręcznik.

Odstawiła kieliszek i niemal po omacku ruszyła do łazienki. Wyciągnęła duży biały ręcznik, wróciła i podała mu go.

- Masz, wytrzyj się. Zaraz poczujesz się lepiej.

Usiadła i patrzyła w migotliwym świetle, jak Sam energicznie wyciera głowę, twarz i szyję, a potem ramiona.

- Jak wam dzisiaj poszło? - zapytała, sącząc wino.

- Dobrze - odrzekł. - Nie wiem, czy widziałeś, że masz w ogrodzie wielką dziurę na basen.

- Nie widziałam - powiedziała Leonie. - Wróciłam późno, nawet tam nie spojrzałam.

- Jeśli pogoda się poprawi, roboty nie potrważą długo - zapewnił ją. - To będzie już koniec kopania. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. - Wiem, że cię to ucieszy.

- Chcesz powiedzieć, że ogród przestanie wyglądać jak po wojnie? Znikną te rowy i góry piachu i kamieni? Chyba nie będę mogła bez nich żyć - zażartowała. - Polubiłam ten widok.

Roześmiali się oboje.

- I chyba się ucieszysz - ciągnął Sam - że może... za kilka dni... przeniesiemy cię na drugie piętro, gdzie będziesz miała trochę prywatności i spokoju.

Leonie popatrzyła na niego zdumiona.

- Tak szybko? - zapytała. - Naprawdę?

- Zostało jeszcze parę rzeczy do wykończenia, ale mogę chyba obiecać, że za tydzień zamieszkaż na górze, w nowej sypialni.

- To doskonale - powiedziała z radością. - Nie będę wam tu przeszkadzać.

- I jeszcze jedno - dodał. - Chcesz coś zobaczyć? Weź świecę.

- Jasne, że chcę. Co to takiego?

- Mała niespodzianka. - Sam się uśmiechnął. - Chodź ze mną. -

Wstał i wziął do ręki świecznik.

- Dokąd idziemy? - zapytała Leonie.

- Tylko do biblioteki.

Wzięła drugi świecznik i ruszyli razem do biblioteki, rzucając na ściany olbrzymie cienie. Szli ostrożnie, uważając na świece.

W bibliotece Sam przysunął swój lichtarz do ogromnej sterty - czego? Wyglądało to na stertę starych, zmurszałych okien. O co mu chodzi?, zastanawiała się gorączkowo Leonie.

- Domyślasz się, co to? - zwrócił się do niej podekscytowany.

- Okna - odrzekła zdziwiona. - Okropne, obrzydliwe, paskudne stare okna!

- Zgadza się - przytaknął. - Ale popatrz dobrze. Myślę, że zainteresuje cię szkło.

Leonie zbliżyła świecznik do sterty i przypatrzyła się brudnym szybom. Niemal w tej samej chwili podskoczyła, a gorący wosk ze świecy kapnął na podłogę.

- Nie do wiary! - wykrzyknęła podniecona. - Nie wierzę własnym oczom!

- Możesz uwierzyć - odrzekł Sam z uśmiechem.

- Skąd to masz? - zapytała podniecona. - Gdzie je znalazłeś?

- W starym domu do rozbiórki w Troy, w górze rzeki - wyjaśnił. I dodał z dumą: - Za grosze.

- Wielki Boże! - westchnęła z podziwem. - Kiedy to załatwiłeś?

- Dzisiaj, jak cię nie było. Najpierw przyjechali ludzie od basenu, omówiliśmy jeszcze raz poprawki, a potem pojechałem tam, licząc, że mają stare okna. Mieli. Przywieźli je po południu.

- Och, to cudownie, Sam - ucieszyła się Leonie. - Stare faliste szkło, takie samo, jak te popękane szyby na wieżyczce. Będzie idealnie pasować.

- Tak, właśnie o to chodziło - powiedział. - I mogę ściągnąć tu szklarza, żeby przyciął je na miejscu. Mniejsze ryzyko uszkodzenia. Jutro ludzie przeniosą je na górę.

Spojrzała na niego w blasku świec. Dostrzegła na twarzy Sama podniecenie, entuzjazm i radość. On wygląda tak, jak ja się czuję, pomyślała.

- Sam, jesteś wspaniały! - zawołała. - Zrobiłeś więcej, niż do ciebie należy. Dzięki stokrotne. Takie drobiazgi są bardzo ważne.

- Tak. To prawda. Hmm... - Wzruszył ramionami. - Co z tym winem?

- Czeka - odrzekła Leonie. - Chociaż powinniśmy to uczcić szampanem, gdybym go miała pod ręką.

Wrócili do kuchni i usiedli przy stole. Leonie uniosła swój kieliszek w toaście.

- Twoje zdrowie! I za te cudowne stare...

Urwała w pół słowa i postawiła kieliszek: znowu gwałtownie się błysnęło, a tuż nad ich głowami zabrzmiał ogłuszający grzmot. Deszcz zabębnił w okna z nową siłą.

- Mój Boże! - jęknęła Leonie. - To przerażające.

- Ja cię ochronię - powiedział Sam i napił się wina.

Zerknęła na niego niepewnie, sądząc, że żartował, ale zobaczyła, że Sam mówi z przejęciem i powagą. Uśmiechnęła się lekko i szybko zmieniła temat.

- Przepraszam, że rano nie zostawiłam numeru telefonu. Wiem, że powinnam, w razie gdyby nagle trzeba było podjąć jakąś decyzję, ale wyjeżdżałam w pośpiechu. Musiałam... Musiałam pojechać do Southampton, żeby podpisać dokumenty.

- Wiem - odrzekł Sam. - Mówiłaś mi wcześniej.

- Och, zapomniałam.

- Jak ci się udała podróż? - zapytał rzeczowo.

Leonie się zawahała. Nie miała ochoty rozmawiać o wyjeździe i o tym, co dziś zaszło; rana była wciąż zbyt świeża, zbyt bolesna. Napiła się wina i odstawiła kieliszek.

- Powiedzmy, że nie był to najlepszy dzień - stwierdziła.

- Nie chciałem być wścibski - powiedział, spoglądając na nią z ciekawością.

W blasku świec dostrzegł nagle, że Leonie ma podpuchnięte i zaczerwienione oczy. Najwyraźniej przed jego przyjazdem płakała, a w ciemnościach nic nie zauważył. Poczul ukłucie w piersi, jakby zabolalo go serce, i gwałtownie zapragnął ją pocieszyć. Wyciągnął rękę przez stół i przykrył dłoń Leonie swoją.

- Wpadłem w nieodpowiednim momencie, prawda? - zapytał cicho.

Leonie pokręciła głową.

- Nie, nie - zaprzeczyła, ale nieposłuszne łzy znów napłynęły jej do oczu.

Po dzisiejszych przejściach dobroć i łagodność Sama szczególnie ją wzruszyła, a dotyk jego palców był taki ciepły i przyjazny... Chyba właśnie tego mi potrzeba, pomyślała.

Sam wyciągnął drugą rękę i zamknął jej dłonie w swoich.

- Nie wiem, co się stało - odezwał się cicho - ale chciałbym ci jakoś pomóc.

Zamknęła oczy i ponownie pokręciła głową, przygryzając wargę, aby powstrzymać łzy, lecz na próżno. Kiedy zaczęły płynąć, zerwała się gwałtownie i odwróciła tyłem, opierając ręce o kuchenny blat.

Sam wstał i podszedł do niej. Widział, jak jej ramiona drgają konwulsyjnie w cichym płaczu. Powoli, delikatnie objął ją i leciutko przytulił.

- Leonie, nie płacz - szepnął. - Jestem przy tobie.

Pod wpływem jego czułego szeptu i ciepłego oddechu na szyi przestała drżeć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Ja... Nie mogę patrzeć, jak się smucisz - dodał Sam z żarem.

Powoli odwrócił ją do siebie i muskając koniuszkami palców policzków Leonie, delikatnie odsunął z jej twarzy pasmo włosów. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Powiedz mi. Proszę, powiedz mi, co cię dręczy.

W jego głosie było tyle ciepła, tyle życzliwości. Zasługuje na zaufanie, pomyślała Leonie. Tak, na pewno.

- Przeżyłam dzisiaj... coś bardzo przykrego. - Westchnęła.

- Opowiedz mi o tym, Leonie - nalegał. - Może będzie ci lżej, kiedy się wygadasz.

Ma rację, uznała. Muszę to z siebie wyrzucić.

- To długa historia - powiedziała. - Chodźmy do salonu. Usiądziemy na sofie i wypijemy resztę wina.

- Dobrze.

Sam objął ją serdecznie i uściśnął. Następnie podniósł ze stołu lichtarz. Zabrali kieliszki, Leonie wzięła butelkę z winem. W milczeniu przeszli do salonu.

Grzmoty rozlegały się gdzieś dalej, ale deszcz, choć słabszy, nadal bębnił rytmicznie o szyby.

Sam postawił świecznik na stoliku obok sofy, po czym zwrócił się do Leonie, jakby oczekując poleceń.

Zostawiła butelkę przy świecy i ulokowała się na sofie, wskazując mu miejsce koło siebie.

Sam usiadł i spojrzał jej w oczy.

- Opowiedz mi - poprosił - co cię tak zasmuciło.

Zaczęła mówić; spokojnie, bez łez, wyrzucała z siebie wszystko po kolei. Opowiedziała mu o nieudanym małżeństwie z Hankiem, o rozwodzie, o przyjaźni z Bobbym Chandlerem, aż doszła do wydarzeń minionego dnia.

Sam słuchał uważnie. Cały czas obejmował ją ramieniem i głaskał uspokajająco po głowie, a chwilami przytulał mocniej. Cieszyła go jej bliskość.

Gdy doszła do końca, spojrzała na niego i powiedziała:

- Oto smutna historia biednej Leonie. - Zaśmiała się, lecz bez cienia wesołości.

- Masz całkowitą pewność, że między nimi coś jest? - zapytał Sam poważnie.

- O tak - odrzekła. - Po pierwsze, Bobby nie zaprzeczył, czyli tak jakby się przyznał do tego romansu. Wierz mi, gdyby było inaczej, wyłożyłby mi wszystko kawa na ławę i ogłosiłby to jeszcze całemu światu. Taki już jest. Wydaje mi się... - urwała i popatrzyła na Sama z dziwnym wyrazem twarzy. - Wiesz - powiedziała w końcu - teraz przypuszczam, że Bobby specjalnie tak wszystko zaaranżował, abym się dowiedziała, ale nie chciał konfrontacji. Bał się.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Tam były porzucane rzeczy, a to zupełnie do niego nie pasuje. Pozwolił Hankowi zostawić torbę i rakietę do tenisa w domku przy basenie. W pokoju myśliwskim stała dodatkowa para butów - drogich, robionych na zamówienie, specjalnie dla Hanka. Wyraźne poszlaki, jeśli nie dowody, że coś jest nie tak. Nigdy przedtem nie grali razem w tenisa ani nie jeździli konno. - Zastanowiła się chwilę, po czym popatrzyła na Sama i ciągnęła: - Prawdę mówiąc, zawsze zachowywali się wobec siebie grzecznie, ale z dystansem, przynajmniej w mojej obecności.

- A dopiero po waszym rozwodzie zostali partnerami - wtrącił Sam. - O ile ci wiadomo - dodał.

- Właśnie - powiedziała Leonie i znów pogрузzyła się w myślach. W pewnej chwili pokiwała głową. - Ale to rzuca światło na wiele innych rzeczy.

- Na przykład na co?

- Zaczynam rozumieć, dlaczego Hank tak nagle chciał się rozwieść. Nie było innej kobiety, nic w tym rodzaju. Po prostu któregoś dnia, ot tak sobie, wyskoczył z żądaniem rozwodu.

- A ty podejrzewałaś, że coś przed tobą ukrywa.

- Tak - potwierdziła. - Bo na pozór nie było żadnych powodów. Oczywiście teraz znam prawdę - mówiła z absolutnym przekonaniem. - A najważniejsze, że to wyjaśnia, jakim sposobem Hank zdołał nakręcić ten film ze mną i Bobbym, gdy tarzaliśmy się w sypialni niczym jacyś maniacy seksu. Zawsze mnie dziwiło, jak on to zrobił, ale tak mnie zaprzętał sam rozwód, że nigdy się nad tym nie zastanowiłam. Teraz już wiem. Oni to wszystko zaplanowali.

- To ohydne - oświadczył Sam z niesmakiem.

- No, na pewno przyjaciół się tak nie traktuje - przyznała Leonie. - Ale wiesz, co było najgorsze?

-Go?

- Bez oporu zgodziłam się na wszystkie żądania finansowe męża, bo nie chciałam w to wciągać Bobby'ego - wyjaśniła. - Hank zagroził, że wykorzysta film, który stawiał mnie w bardzo złym świetle.

- Tak, ale cała sprawa... - zaczął Sam.

- Zaraz. Daj mi skończyć. Gdyby go rzeczywiście wykorzystał podczas rozprawy, na swoją obronę mogłabym tylko powiedzieć, że Bobby jest gejem. Rozumiesz?

Sam skinął głową.

- Bobby oczywiście nie chciałby, żeby w sądzie omawiano jego orientację seksualną, bo prasa zaraz by podchwyciła taki temat. Bobby się z tym kryje, przeżyłby to strasznie, gdyby jego rodzina, przyjaciele i współpracownicy nagle się o wszystkim dowiedzieli. Więc nie protestowałam, uznając, że tylko w ten sposób mogę ochronić Bobby'ego. - Leonie znów przerwała i spojrzała na Sama z nagłą zawziętością w oczach. - Wiesz, ja potrafię walczyć. Ale wtedy potulnie uległam Hankowi.

- A Bobby cały czas był z nim w zмовie.

- Właśnie - powiedziała dobitnie. - Jedyne człowiek, na którym mogłam polegać, zdradził mnie bez skrpułów.

- Pewnie dziwnie się czujesz ze świadomością, że twój mąż porzucił cię dla mężczyzny - zauważył Sam.

- Właściwie nie - odparła Leonie. - To się czasem zdarza. Natomiast jest żal... Wiesz, ta sprawa uzmysłowiła mi, że błędnie oceniam ludzi i zdarzenia. Zakochałam się i wysłałam za mąż. Wierzyłam Hankowi, ufałam mu i myślałam, że jest wobec mnie uczciwy. Jak mogłam tak się pomylić?

- Może się nie pomyliłaś? Może on... się zmienił. Może nie wiedział, że jest gejem.

- Zgoda - powiedziała Leonie. - Ale to nie powód, żeby mnie tak paskudnie potraktować podczas rozvodu. Ciągle nie mogę odzyskać wiary w siebie, a co dopiero w innych. Jakby mnie zawiódł cały rozsądek... Jakaś awaria...

- Nie ma żadnej awarii - z uśmiechem zapewnił ją Sam. - Wydaje mi się, że z twoim rozsądkiem wszystko w porządku.

- Może - odrzekła zamyślona. - Już niczego nie jestem pewna. - Zamilkła, po czym dodała: - Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. To dla mnie bardzo dużo znaczy.

Sam przytulił ją mocniej.

- Cieszę się, że chciałaś ze mną porozmawiać. Trudno mi uwierzyć, że to się dzieje naprawdę - dodał szeptem. - Że taka kobieta poświęca mi swój czas, a do tego okazuje zaufanie. To dla mnie zaszczyt, Leonie. Że dopuściłaś mnie do swoich kłopotów.

Popatrzyła na niego z prawdziwym zaskoczeniem.

- Co ty opowiadasz, Sam? Przecież to naturalne! Jesteś miły, łagodny, troskliwy. Popatrz choćby na to, co dzisiaj dla mnie zrobiłeś. Kto by sobie zadał tyle trudu, żeby szukać dla mnie jakiegoś szkła? No? Nikt. Przynajmniej ja nikogo takiego nie znam. Każda rozsądna kobieta chciałaby mieć przy sobie takiego mężczyznę!

- Ale ty pochodzisz z zupełnie innego świata. Wiesz, z bogatej, wyrafinowanej socjety. Jest ogromna różnica między tutejszymi mieszkańcami a ludźmi, wśród których ty się obracasz. Ja jestem tylko biednym chłopakiem z farmy w Berkshires, naprawdę biednym. A ty jesteś kobietą z wielkiego świata.

- Phi! - zawołała Leonie ze śmiechem. - Widzę, że wcale mnie nie znasz.

- Co? - zapytał zdziwiony. - Co cię tak śmiesz?

Śmiała się coraz głośniej, dźwięczniej, na całe gardło.

- Powiedz, co cię tak rozbawiło. - Sam potrząsnął ją lekko za ramię.

Kiedy wreszcie opanowała wesołość, wykrztusiła:

- To jest... Tak bardzo się mylisz, Sam!

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Jak to?

- Naprawdę. - Popatrzyła na niego z poważnym wyrazem twarzy. - Bardzo. Rzeczywiście wychowałam się w Nowym Jorku. Ale nie w tym, o którym myślisz. Była to kamienica w najgorszej części East Village, nora na czwartym piętrze. Wanna w kuchni, wspólna ubikacja na korytarzu. Okolica przypominała Wietnam. Same wypalone, zabite deskami budynki.

Sam wyglądał na zaskoczonego.

- Żartujesz ze mnie.

- Nie, Sam - zapewniła go poważnie. - Miałam kochającą rodzinę, ale nie byliśmy bogaci. Mój ojciec był wprawdzie adwokatem, tylko że zajmował się obroną praw człowieka. Najczęściej pracował za darmo, zawsze bronił mniejszości, najbiedniejszych z biednych, i ciągle przyprowadzał ich do domu na obiad.

- Nie wierzę.

- Uwierz - odparła. - Moja mama była taką matką całego świata, na kuchence zawsze gotował się gar zupy. Przyjaciele śmiali się, że to gar bez dna, i pytali, w którym roku zaczęła gotować tę zupę. Zawsze kiedy przychodzili, coś bulgotało w saganku. Krążył nawet dowcip o tych, co nigdy nie jedli zupy mojej mamy. - Leonie zamilkła na chwilę, uśmiechając się do wspomnień. - Byli cudowni, ale kiedy umarli, odziedziczyłam po nich wyłącznie długie - i miłość, którą mnie obdarzyli. - Spojrzała na niego ciepło. - A także wierę w najważniejsze wartości.

- To widać - odparł Sam. - Ale reszta? Nigdy bym nie pomyślał. Wyglądasz na taką...

- Wielkomijską damę? - podsunęła Leonie.

- Właśnie - potwierdził. - Zdecydowanie wielkomijską.

- Jak widzisz, nie urodziłam się w środowisku, w którym się potem znalazłam - w wielkim świecie. Poznałam mojego męża na studiach, a nasz, nazwijmy to, awans w sposób naturalny wynikał z jego pracy. Im bogatszy stawał się Hank, im większe miał wpływy, tym bogatsi i bardziej wpływowi byli nasi przyjaciele.

- Tak, a ty się do nich idealnie dopasowałeś - zauważył z cieniem uśmiechu Sam.

- Żonom jego znajomych spodobał się mój styl, gust, talent do zarządzania wewnątrz i tak dalej - odrzekła - ale nigdy nie czułam się jedną z nich. Oczywiście, spotykałam się z nimi, mam nawet wśród nich dwie przyjaciółki - i wiele znajomych. Ale tak naprawdę nigdy nie należałam do ich kręgu.

- Nie lubiłaś tamtych kobiet? - zapytał.

- Nie potępiam ich - odpowiedziała. - Pieniądze i wpływy to wspaniała rzecz, jeśli się umie z nich korzystać. Ale jeśli żyje się tylko od jednego przyjęcia do drugiego, jak wiele z tych kobiet, a także niektórzy mężczyźni... to zdecydowanie nie dla mnie. W każdym razie nabrałam przy nich ogłady. - Mrugnęła do niego kpiąco. - Widzisz więc, jestem zwykłą dziewczyną z East Village, która zdobyła szczyty - podsumowała. - A potem, po rozwodzie, znów spadłam prawie na dno.

Sam przytulił ją mocniej.

- Moim zdaniem doskonale sobie radzisz w trudnych sytuacjach - powiedział.

- Mogę się z tym zgodzić.

- I uważam, że teraz też idzie ci świetnie.



- Z tym też się zgodzę - przyznała Leonie, rozkoszując się jego bliskością. Popatrzyła na niego zamyślona. - Ty też nieźle sobie radzisz jak na biednego chłopaka z farmy.

Uśmiech na jego twarzy zbladł.

- Tak i nie - odparł. - Ożeniłem się z pieniędzmi, jak zapewne słyszałaś, bo tu na wsi nie ma tajemnic. Ale moje małżeństwo jest... W najlepszym razie bardzo nieudane.

Teraz już miała dowód, że opowieści Mossy są prawdziwe, że Sam jest żonaty tylko na papierze.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Nie - odrzekł krótko, a potem spojrzął na Leonie. - Cudownie mi tu z tobą. Mam nadzieję, że tobie też.

- Tak - powiedziała miękko. - Jest mi tak cudownie, jak... nie pamiętam już kiedy.

- Lepiej ci teraz? - szepnął Sam.

- To też - odrzekła. - Rozmowa z tobą bardzo mi pomogła, Sam. Nie wiem, jak ci dziękować.

Spojrzała mu prosto w oczy i poczuła bez cienia wątpliwości, że zadurzyła się w tym mężczyźnie na amen. Pragnęła z nim być, pragnęła, żeby on był z nią. Już przy pierwszym spotkaniu podejrzewała, że tak będzie, i teraz ta chwila nadeszła.

## Rozdział 14

Ja m łagodnie przycisnął ją do siebie. Musnął delikatnie wargami najpierw włosy Leonie, potem jej gładką szyję. Poczowała na skórze jego ciepły oddech, który rozpalił w niej ogień.

Powoli odwrócił ją przodem do siebie, uniósł jej twarz i spojrzał głęboko w oczy. Odwzajemniła to spojrzenie. Płomień w jej wnętrzu zaczął nabierać mocy.

Na twarzy Sama pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Chcę ssać twój smutek, Leonie - wyszeptał. - Chcę ssać wszystkie twoje łzy. - Jego usta odnalazły jej ciemne oczy i pieściły je delikatnie, najpierw jedno, potem drugie.

Poczowała pragnienie, jakiego nigdy nie zaznała, ogarnęło ją całą niczym płomieniem. Objęła go i przyciągnęła ku sobie, przytuliła się do jego mocnego, ciepłego ciała.

Gdy ich usta się zetknęły, jęknęła głośno. Sam wsunął język między jej wargi, szukał, badał, smakował. Przesunął swe silne dłonie na jej plecy, przytulając ją jeszcze mocniej.

Z żarem oddawała mu pocałunki, uściski, zatracając się w tej nieziemskiej rozkoszy, świadoma, że to musiało kiedyś nastąpić. Odrzucenie go byłoby czymś nienaturalnym, wręcz niemożliwym.

Sam położył ją delikatnie i przycisnął się do niej.

Gładził teraz dłońmi jędrne, okrągłe pośladki Leonie. Wydała zduszony okrzyk, gdy poczuła budzący się twardy kształt w jego dżinsach. Sam odsunął się, oddychając ciężko.

Spojrzała mu w oczy, pogłaskała go po wypłowiałych od słońca włosach, przesunęła palcem po bliźnie na grzbiecie nosa, potarła dłonią zarost na jego stanowczym podbródku. Sam całował jej palce, a potem ssał i pieścił językiem każdy po kolei.

Leonie odrzuciła głowę w tył, rozkoszując się wrażeniami, jakie w niej budził, a wtedy poczuła jego usta na szyi. Jego wargi powoli wędrowały w dół, aż dotarły do piersi.

- Och, Sam -jęknęła. - Och, jak dobrze.

Całował ją teraz namiętnie i gwałtownie, jak wygłodniały. Jego ręce były wszędzie, gładziły ją, ścisnęły jej piersi i pieściły wzgórek między udami.

Poczuła w tym najbardziej intymnym miejscu wilgoć i wiedziała już bez cienia wątpliwości, że musi go mieć w sobie - i to natychmiast!

Sam wstał, podał rękę Leonie i pomógł jej się podnieść, po czym znów zaczął ją lekko całować w usta. Przerwał na chwilę, by ściągnąć jej sweter przez głowę. Rzucił go na krzesło i rozpiął jej spodnie. Zsunęły się na podłogę, Leonie wyszła z nich, a wtedy Sam objął ją i znów zaczął całować, zdejmując jej stanik. Upuścił go, podziwiając jej piersi o kremowej skórze i sutkach jak dojrzałe poziomki. Ujął je w dłonie i pieścił delikatnie, a następnie pochylił się i zaczął ją całować.

Westchnęła z rozkoszy i wplotła palce w jego włosy, on zaś całował jej piersi i płaski brzuch. Powoli przykleknął na jedno kolano i zsunął jej jasne, połyskliwe figi.

Stanąła przed nim całkowicie naga. Jego błyszczące oczy przesuwały się po niej - te zawsze smutne oczy, teraz już uśmiechnięte i pełne oczekiwania. Piersi miała wprawdzie niezbyt duże, lecz jędrne i kształtne. Smukła talia przechodziła w gładki brzuch. Szczupłe biodra były pięknie zaokrąglone, a nogi długie i zgrabne. Stała tak, dumna ze swojej urody, tym bardziej że w oczach Sama widziała zachwyt.

Podszedł do niej o krok, otoczył ją ramionami i pocałował z żarem, po czym zaczął się rozbierać. Leonie zafascynowana przyglądała się, jak zdejmował wciąż wilgotną koszulkę i rzucał ją na podłogę. W blasku świec jego szczupłe, opalone ciało lśniło. Zauważyła, jak zmysłowo poruszają się pod skórą mięśnie, gdy rozpinał dopasowane dzinsy, zsuwał je, ściągał skarpetki, a na końcu bez skrupowania zdejmował bokserki.

Gdy stanął przed nią nagi, otworzyła szeroko oczy, widząc jego imponującą męskość.

Pociągnął ją ku sobie. Ich usta się spotkały, pocałował ją namiętnie. Leonie otoczyła ramionami jego szyję, upajając się jego nagością, smakiem, zapachem.

Poprowadził ją do sofy i położył na miękkiej narzucie, przyjemnie chłodnej. Ostrożnie ułożył się obok Leonie i przywarł ustami do jej warg.

- Pragnę cię od chwili, kiedy cię zobaczyłem - wyszeptał.

- Ja też - westchnęła. - Ja... Pragnę cię tak bardzo. - I to była prawda. Nigdy nikogo tak mocno nie pragnęła.

Jego język rozpoczął podróż od ust do szyi Leonie, a stamtąd powolutku do piersi; w tym samym czasie ręka Sama przesuwiała się zdecydowanie w dół.

Leonie wyczuwała jego rosnącą niecierpliwość pomieszana z pożądaniem, gdy głąskała ją i delikatnymi palcami odkrywał jej najskrytsze tajemnice.

Ukląkł i wargami pieścił jej sutki, a potem jego gorący język zaczął sunąć rozkosznie między piersiami do brzucha. Sam zatrzymał się na chwilę, by całować jej uda, a w końcu dotarł do ukrytych miejsc. Sycił się nią, najpierw powoli, potem coraz bardziej łapczywie, aż wiała się w ekstazie i drżała, gdy jego język doprowadzał ją na szczyt.

- Och, Sam -jęczała. - Och, Sam... Sam...

Położył się na niej i zaczął ją całować. W pewnej chwili uniósł się i wsunął pod nią ręce. Następnie wszedł w nią powoli, ale zdecydowanie, wypełniając ją sobą.

Leonie, niemal obezwładniona pożądaniem, poczuła w sobie jego pulsujący członek i uniosła biodra, by go przyjąć. Rozsunęła nogi, a on zaczął napierać, najpierw łagodnie, potem coraz szybciej i mocniej, aż w końcu oboje poruszali się w szaleńczym, gorączkowym rytmie.

Nagle wydał zdławiony okrzyk, zwolnił i wysunął się prawie całkiem. Potem powoli wszedł z powrotem, powtarzając to raz, drugi, trzeci, aż znów zwarli się w gorączce, nie mogąc się sobą nasycić.

Leonie spojrzała na niego w migotliwym blasku świec i nagle ogarnęła ją niepowstrzymana fala uniesienia. W samym środku swojej istoty poczuła jakby wybuchające słońce, które wysyłało w każdy zakątek jej ciała ogniste promienie.

Zalały ją fale absolutnej rozkoszy. Nie mogła powstrzymać krzyku, który wypełnił cały pokój.

Usta Sama przywarły do jej warg, język wdarł się do środka. Zadał jej ostatnie, potężne pchnięcie, a jego ciało naprężyło się i zdrząło, gdy dotarł do szczytu. Potem oboje padli bez sił, oddychając ciężko.

Po kilku minutach Sam zsunął się na bok i objął Leonie ramieniem, spoglądając jej czule w oczy.

Leżeli tak, ciesząc się swoją bliskością, głaszcząc się i dotykając, nie mogąc przestać na siebie patrzeć.

Burza przycichła, deszcz był znacznie słabszy, choć wciąż stukał lekko w szyby. Świece rzucały migotliwy blask na pokój i rozjaśniały ich pokryte potem ciała.

W końcu Sam pocałował lekko Leonie i spojrzął jej w oczy.

- Nie chcę mówić, że to, co zrobiliśmy, jest cudownym lekiem na wszystkie zmartwienia - powiedział - ale mam nadzieję, że czujesz się tak samo wspaniale jak ja.

Leonie uśmiechnęła się do niego.

- Tak, Sam. Och, na pewno tak - szepnęła. - To było idealne lekarstwo na moje smutki.

Leżeli, wciąż wpatrując się w siebie, zdumieni nowo odkrytym szczęściem. W pewnej chwili Leonie zauważyła, że zachwyt i zadowolenie na twarzy Sama zastępuje pożądanie. Pocałowała go.

Zaczął ją całować coraz bardziej namiętnie, przesuując lekko dłońmi po jej ciele i pieszcząc ją czule, a Leonie natychmiast zareagowała na jego dotknięcie. Poczowała, że jego członek ożywa...

- Myślisz, że... - zaczął Sam.

- Tak, tak... - odpowiedziała szybko drżącym głosem.

Zdawało się, że czas stanął w miejscu, gdy znów rozpoczęli odwieczny taniec. Sycili się sobą z uwagą i czułością, tym razem wolniej, poznając nawzajem swoje ciała, aż wreszcie padli wyczerpani. Ta nowa bliskość chroniła ich przed mrokiem, który czaił się poza salonem rozjaśnionym płomieniami świec.

- Mógłbym tak spędzić całą noc - odezwał się Sam. - Prawdę mówiąc, mógłbym tak spędzić resztę życia.

- Ja też - odrzekła Leonie, tuląc się do niego mocniej i całując go. - Tak mi dobrze. Ciagle... Ciagle nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Uśmiechnął się, jakby zakłopotany.

- To może zabrzmie głupio, ale wydaje mi się, że tak się musiało stać - powiedział poważnie, muskając wargami jej czoło. - Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, pragnąłem cię. - Pocałował jej pierś. Spojrzął na nią. - Wiedziałaś o tym, prawda?

- Tak - szepnęła Leonie. - Ja czułam to samo.

- Od pierwszego dnia coś zaiskrzyło - ciągnął. - Nigdy dotąd nie przeżyłem niczego podobnego.

- Ja też nie - wyznała Leonie. - Nigdy... Jeszcze nigdy tak mi nie było. - Umilkła na chwilę, po czym dodała: - To nawet... trochę straszne. Prawie jak czary.

- Tak - zgodził się Sam. - Zdarzyło nam się coś wyjątkowego, Leonie. I niepojętego.

Nagle zapaliła się lampka przy sofie. Drgnęli wystraszeni i zaraz się roześmiali.

- To znak dla mnie - powiedział Sam, całując Leonie w usta. - Czas wracać do domu. Jutro oboje musimy wcześniej wstać.

- Masz rację.

Westchnął smutno i powoli, niechętnie wstał. Zaczął się ubierać, a Leonie, leżąc, podziwiała jego surową, męską urodę.

Jestem jak odaliska z obrazu Maneta, pomyślała. Nigdy nie przypuszczała, że może się czuć tak zaspokojona - i tak spokojna.

Wychyliła się i zdmuchnęła świecę, a ciepły wosk prysnął na stół. Sięgnęła po kaszmirową narzutę i owinęła się całą, przytrzymując ją jedną ręką na piersi. Usłyszała, że deszcz już tylko ledwie słyszalnie szemrze za oknem.

Kiedy Sam się ubrał, wstała i znów zaczęli się namiętnie całować, jednak Leonie odsunęła się w końcu.

- Nigdy stąd nie wyjdiesz, jeśli nie przestaniemy - powiedziała bez tchu. - Jeśli nie wyjdiesz natychmiast.

Uśmiechnął się czule.

- Wiem. Trudno mi się od ciebie oderwać.

Poklepała go lekko.

- Musisz iść - szepnęła. - Za kilka godzin przyjadą robotnicy.

Odprowadziła go do kuchni, gdzie zostawił buty. Sam usiadł, wciągnął je i zaczął zawiązywać sznurowadła.

- Pewnie jeszcze nie wyschły - odezwała się Leonie.

- Nie szkodzi. Warto było zmoknąć. - Spojrzył na nią z uśmiechem.

Wstał, objął Leonie i razem poszli do tylnych drzwi. Potem odwrócił się do niej i w ciemności zaczął ją znów całować.

- O Boże! - jęknął. - Nie chcę się z tobą rozstawać.

- Idź - powiedziała. - Już. Dopóki mogę to znieść.

- Do zobaczenia rano - rzucił na pożegnanie.

Narzucił na ramiona kurtkę, odwrócił się i wyszedł.

Leonie zamknęła drzwi i boso poszła do kuchni. Wzięła z pokoju swój kieliszek i wypła duży łyk wina. Potem wróciła do kuchni

i usiadła, wpatrując się w dogasające na stole świece. Ich migoczące płomyki pasowały do oszołomienia, które ją ogarnęło.

Usłyszała, jak Sam włączył silnik range rovera, zawrócił i odjechał.

Jutro, pomyślała. Muszę przeczekać tylko kilka godzin do rana i znów go zobaczę.

scandalous

## Rozdział 15

Ae Sam się nie pojawił.

Letni świeży poranek był jak balsam dla jej duszy. Błękitne niebo, chłodne powietrze, które powoli się nagrzej, przyjemny, orzeźwiający wietrzyk. Wilgotne, duszące upały miały dopiero nadejść.

Leonie wyskoczyła z łóżka z jeszcze większą energią niż zwykle, ciesząc się, że wkrótce go zobaczy, pełna nowego, ukrytego - i przez to jeszcze przyjemniejszego - podniecenia.

Serce w niej wciąż śpiewało po wczorajszym wieczorze. Czuła, że nic nie może jej zepsuć tego dnia, nic nie zniszczy jej zyskanej na nowo pewności siebie.

Przyłapała się na tym, że uśmiecha się bez powodu, gwizdże i podśpiewuje. Tak czuje się niezwykczona kobieta, pomyślała.

Wczoraj przeżyła piekielny dzień, a potem niebiańską noc. Nie ma lepszego lekarstwa na smutek niż kochanie się. Bo to właśnie robili - kochali się, a nie po prostu uprawiali seks. Na pewno nie.

Witała się z przyjeżdżającymi robotnikami, z każdym zamieniając kilka miłych słów, rozmawiała o postępach robót. Tak jak codziennie rano, zaparzyła kawę dla siebie i Sama, włożyła chleb do toster, po czym zajęła się ogrodem. Walczyła z chwastami, przycinała, spulchniała ziemię. Była to ciężka praca, ale ogród już jej się odwdzięczał. Róże na rabatach i przy altanie kwitły obficie, zastępując kolorową mozaikę peonii i bżów, które już zakończyły swoje występy w tym sezonie.

Kiedy około dziesiątej Sama wciąż nie było, Leonie postanowiła zagadnąć Skipa Curtissa, majstra. Bała się, aby nie uznał jej za zbyt ciekawą, ale po chwili uznała, że to niemądre. W końcu Sam



kierował remontem domu -jej domu - i dotychczas nie opuścił ani jednego dnia pracy. Przyjeżdżał codziennie i wszystkiego doglądał.

- Skip - spytała obojętnym tonem - nie wiesz, co z Samem?

- Dzwonił dziś rano - oświadczył zwięźle Skip. - Mówił, że się spóźni. Jeśli da radę dojechać.

- Tak się właśnie zastanawiałam - odrzekła Leonie. - To do niego niepodobne, żeby się nie pojawił ani nie zatelefonował.

- Prawda - zgodził się Skip. - Na Samie zawsze można polegać.

- Dzięki, Skip - powiedziała i weszła do domu.

Czyżby to... Boże! Czyżby to z powodu wczorajszej nocy?, pomyślała z obawą. Nie będę się tym zadrezczać, postanowiła, wiedząc, że oczywiście to właśnie będzie robić.

Usłyszała samochód na podjeździe i spojrzała szybko w tamtą stronę, mając nadzieję ujrzeć range rovera. Ale to była nieskazitelnie biała acura Mossy.

Leonie odłożyła narzędzia i pobiegła przywitać się z przyjaciółką.

- Jasny gwint! - zawołała Mossy, przyglądając swoją wściekle pomarańczową czuprynę. - Pięknie dziś wyglądasz, a ja mam kaca.

Leonie się roześmiała.

- Ty też wyglądasz owszem, owszem, moja droga - powiedziała wesoło.

Ucałowały się lekko i razem poszły do kuchni.

- Chcesz kawy? - zapytała Leonie. - Już zaparzona.

- Cudownie! - westchnęła przyjaciółka, wyciągając krzesło i siadając przy kuchennym stole.

Leonie nalała kawy do dwóch filiżanek, postawiła je na spodeczkach, po czym też usiadła.

Mossy wyciągnęła z torby papierosa i zapaliła, przyglądając się świecom.

- U ciebie też wczoraj nie było prądu - zauważyła.

- Tak - potwierdziła Leonie. - Nawet dość długo.

- To jedyna rzecz, której w tych stronach zawsze można się spodziewać - powiedziała Mossy. - Ciągłe to samo. Deszcz, śnieg, każdy powód jest dobry. - Dodała do kawy słodzik i odtłuszczone mleko.

- Przyzwyczajam się - powiedziała Leonie. - Trzymam świece pod ręką, a kiedy włączają prąd, biegam i nastawiam zegary.

- Och, wraca mi życie! - westchnęła Mossy. - Ta kawa to dokładnie to, czego mi było trzeba! Elixir dla moich starych, zamarynowanych w whisky kości.

Leonie popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Co ty właściwie robiłaś, że jesteś w takim stanie? - zapytała z rozbawieniem.

- Moja droga - odparła Mossy, zaciągając się papierosem - lepiej, żebyś tego nie wiedziała. To niesmaczna historia, nieodpowiednia dla twoich delikatnych uszu.

- Och, powiedz, Moss - nalegała Leonie, wiedząc, że przyjaciółka aż się pali, żeby jej opowiedzieć. Robiła niesłychanie tajemnicze miny i mówiła samymi wykrzyknikami. - No mów.

- No więc... - zaczęła Mossy. - Skoro już musisz wiedzieć...

- Tak! - wykrzyknęła Leonie. - Mów po kolei.

- W mieście jest taki nowy chłopak. Och, po prostu boski! Wysoki aż dotąd! - Machnęła ręką w kierunku sufitu. - A to! - Urwała i spojrzała na Leonie znacząco. - Dotąd! - Machnęła ręką nad podłogą.

Leonie parsknęła śmiechem i omal się nie zakrztusiła kawą.

- Jesteś bezwstydną! - zawołała.

- Wpadł tylko na drinka - ciągnęła Mossy, wydmuchując obłok dymu - ale była taka straszna burza, że biedacek nie miał jak wrócić. Ma wielkiego harleya davidsona. Przecież nie można było pozwolić, żeby zmókł, prawda?

- Oczywiście - zgodziła się z nią Leonie. - Jeszcze by się rozpuścił.

- Właśnie - przytaknęła Mossy. - Stąd... Od słowa do słowa... Ta burza jak z Wagnera... Kilka drinków za dużo... I w rezultacie byliśmy się godzinami! Godzinami! - Zerknęła na Leonie figlarnie. - Oni mają o wiele więcej energii i zapału, kiedy są młodzi, nie sądzisz?

- Na pewno - zgodziła się z nią Leonie. - A gdzie poznałaś tego nowego... chłopaka?

- Och, ma doskonałe referencje - powiedziała szybko Mossy. - Naprawia klimatyzację czy coś podobnego. Bardzo przydatne. Jeśli ci się zepsuje klimatyzacja, wystarczy do niego zadzwonić.

- Czyli zepsuł ci się klimatyzator i wezwałaś fachowca do naprawy? - zapytała Leonie, popijając kawę.

- Nieee. Nic podobnego! - zaprzeczyła Mossy. - Przecież wiesz, że ja wcale nie używam klimatyzacji. - Zgasiła papierosa w popielnicze i zapaliła następnego, wydmuchując dym przez nos. - Wpadł do jednego z moich ulubionych barów. Wiesz, jest tu taka okropna dziura, gdzie w południe spotykają się lesbijki.

- Och, więc on jest lesbijką! - droczyła się Leonie.

- Ależ moja droga - oświadczyła dobitnie przyjaciółka - ani mu to w głowie! One zawsze wieczorem znikają. A on wpadł tam na jednego, tak jak ja. - Miała teraz rozmarzony wyraz twarzy. - Nazywa się Jared. Takie biblijne imię, nie uważasz? - Znów mocno się zaciągnęła dymem. - Reszta, jak to się mówi, to już historia.

- Spotkasz się z nim jeszcze? - zapytała Leonie.

- Kto wie? - odparła Mossy. - I kogo to obchodzi? Pozostało mi wspomnienie tego ogromnego...

- Przestań! - zawołała Leonie. - Jesteś niebezpieczna dla otoczenia!

Tamta spojrzała na nią z wyrazem całkowitej konsternacji na twarzy.

- ...motoru. Boże - zreflektowała się nagle - ja tu trajkoczę jak wariatka, a ty przecież byłaś wczoraj w Southampton.

Leonie poważnie skinęła głową.

- Nawet nie przypuszczałam, że cię dzisiaj zastanę. Zajechałam po drodze, będę pokazywać klientom dom niedaleko stąd. - Popatrzyła badawczo na Leonie. - Co ty tu robisz? Myślałam, że zostaniesz przynajmniej na noc.

Leonie zdała jej zwięzłą relację z wydarzeń wczorajszego dnia.

Kiedy skończyła, Mossy gapiła się na nią zdumiona, z szeroko otwartymi oczami.

- Jestem ogłuszona! - powiedziała. - Mam nadzieję, że postanowiłaś kupić wielki nóż i podcinać im fiuty. Bez dwóch zdań! To jedyne wyjście.

- Muszę przyznać, że moją pierwszą myślą było, jak najlepiej się zemścić - przyznała się Leonie. - Ale potem stwierdziłam, że dla mnie będzie najlepiej, jeśli postaram się wybaczyć i zapomnieć.

- Jaka święta i nudna decyzja! - Mossy prychnęła i skrzywiła się.

- Może i nudna, ale świętość nie ma tu nic do rzeczy - odparła Leonie. - Chcę to po prostu zostawić za sobą. Zaczynam nowe życie, Mossy, wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Nie chcę, żeby przytłaczał mnie jakiś stary ciężar. Uważam, że tak będzie dla mnie najlepiej.

- Jakaś ty mądra! - odezwała się Mossy z lekkim sarkazmem. Potem jednak dostrzegła wyraz powagi na twarzy Leonie i sarkazm natychmiast znikł, a na jego miejscu pojawiło się zakłopotanie pomieszane z podziwem. - Muszę przyznać - powiedziała zupełnie poważnie, bez śladu drwiny w głosie - że jesteś cudowna. Mnie na twoim miejscu opętałoby pragnienie zemsty. I to na długie lata.

- No, dosyć już o tym. - Leonie postanowiła zmienić temat. - Słuchaj, muszę pojechać na parę dni do Nowego Jorku, wybrać tapety i materiały. Wykończenia i tak dalej.

- Och, w D&D jest tyle tych świetnych sklepów z wyposażeniem wewnątrz - podsunęła jej Mossy.

- Nie. Tym razem wybieram się do piwnic, gdzie można trafić na superokazje, na Orchard Street i Grand Street. Wiesz, Beckenstein, sklepy na Lower East Side. Nie zapominaj, że muszę oszczędzać.

- To o wiele ciekawsze - uznała Mossy. - W pobliżu fantastycznych dzielnic. Chinatown! Little Italy! Punki i narkomani!

Leonie uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Właśnie. W każdym razie pomyślałam, że może chciałabyś pojechać ze mną. Podzieliłybyśmy się kosztami pokoju w hotelu. Co ty na to?

- Fantastycznie! - ucieszyła się Mossy. - Oczywiście z trudem oderwę się od pracy.

Rozległ się sygnał telefonu. Leonie wstała, żeby go odebrać.

- Przepraszam na chwilę, Mossy - powiedziała.

- Nie krępuj się - odrzekła przyjaciółka, popijając kawę.

Leonie podniosła słuchawkę.

- Halo.

- Leonie, tu Sam.

Na sam dźwięk jego głosu poczuła falę podniecenia i odwróciła się do Mossy plecami, żeby ukryć swoją reakcję.

- Dzień dobry - odezwała się głosem tak spokojnym, na jaki tylko umiała się zdobyć. - Zastanawialiśmy się, gdzie jesteś.

- Słuchaj, Leonie - powiedział. W jego głosie brzmiał smutek, nuta przygnębienia, której wcześniej nie było i która na pewno nie wrożyła nic dobrego.

- Zamieniam się w słuch. - Starała się mówić wesoło i z uśmiechem, choć ogarnął ją lęk.

- Musimy porozmawiać - oświadczył. - Zaraz, jeśli to możliwe.

- Jasne - zgodziła się Leonie, w roztargnieniu biorąc gąbkę i przecierając kuchenny blat.

- Może przyjadę po ciebie - zaproponował. - Powiedzmy, za pół godziny?

- Doskonale.

- Wobec tego do zobaczenia. - Pożegnał się i rozłączył.

- Na razie - rzuciła Leonie do głuchoj słuchawki.

Boże, nie, pomyślała. Chodzi mu o tę noc! Na pewno! Powie mi, że nie może się ze mną spotykać. Że wszystko się skończyło, zanim się zaczęło. Przecież jest żonaty. Żonaty! Nagle ogarnęło ją dojmujące poczucie winy. Na Boga, jak mogła do tego dopuścić? Odetchnęła głęboko, starając się zapanować nad drżeniem dłoni. Jak mogła zrobić coś tak... bezwstydnego?

Bojąc się najgorszego, odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Mossy. Miała nadzieję, że jej rysy nie zdradzają niepokoju ani poczucia winy, które paliło ją jak ogień.

- Sam - wyjaśniła krótko, siadając.

- Ach tak - powiedziała Mossy, przyglądając się jej badawczo. - A gdzie się dziś podziewa nasz wspaniały pan Nicholson?

- Coś go zatrzymało - odrzekła lekko Leonie.

- Jasna cholera, Leonie! - zawołała przyjaciółka. - Chyba nie pakujesz się w coś, czego potem będziesz żałować. - Urwała i zaciągnęła się dymem. - Ale mój niezawodny nos wyczuwa tu zdecydowanie erotyczny wątek.

- Och, Moss - odezwała się cicho Leonie. - Daj spokój. Proszę cię.

- Przepraszam - wycofała się szybko Mossy. - Nie chciałam się wtrącać, skarbie. - Zgasiła papierosa i złapała torbę. - Muszę już lecieć. Mam przecież pokazywać tę parszywą ruinę.

- Nie chcę cię wyganiać - powiedziała Leonie.

- Nie, nie. Naprawdę muszę już pędzić. Zadzwoń do mnie w sprawie wyjazdu do miasta. - Wstała i przewiesiła sobie torbę przez ramię. - Byłoby fajnie.

- Też tak myślę - uśmiechnęła się Leonie. Odprowadziła Mossy do drzwi, gdzie ucałowały się na pożegnanie. - To na razie - powiedziała. - Zadzwonię wieczorem, dobrze?

- Świetnie. A przy okazji, skarbie, odłóż tę gąbkę tam, gdzie jej miejsce. Nie jest zbyt stylowa! - Po tych słowach Mossy potrząsnęła pomarańczowym ptasim gniazdem na głowie i znikła.

Leonie zobaczyła ze zdziwieniem, że wciąż ścisła w dłoni gąbkę. Wróciła do kuchni i usiadła. Dlaczego?, zastanawiała się. Dlaczego musiało być tak dobrze i zaraz się skończyć?

## Rozdział 16

Samochód podskakiwał na wyboistej gruntowej drodze. Leśna przecinka kończyła się w kępie drzew, gdzie Sam zatrzymał auto. W oddali, za torami kolejowymi płynęła rzeka Hudson, zmętniała po wczorajszej ulewie.

W trakcie jazdy był niezwykle milczący, a na jego opalonej twarzy malowała się determinacja. Wydawał się taki skupiony, taki pochłonięty myślami, że Leonie o nic go nie pytała, czekając cierpliwie. Zastanawiała się, jak on to powie, jakie słowa dobierze, aby jej oznajmić, że nie mogą się już spotykać.

Nawet nie umiała się cieszyć słonecznym, świeżym porankiem; przez cały czas dręczyły ją sprzeczne emocje: obawa, niepokój, ale też - najsilniejsze z wszystkich uczuć - pożądanie. Niezwykle silny pociąg do mężczyzny, którego właśnie zaczęła poznawać.

Sam zgasił silnik, po czym odwrócił się do niej. Nagle przyciągnął Leonie do siebie i pocałował - głęboko, namiętnie. Odpowiedziała, najpierw ostrożnie, zaskoczona jego zachowaniem, a potem coraz śmielej, ogarnięta falą podniecenia.

Niemal równie nagle, jak zaczął ją całować, Sam wyprostował się i spojrzał jej w oczy.

- Przepraszam, że cały czas milczałem - odezwał się wreszcie. - Widzisz... Bardzo mi trudno z tobą o tym rozmawiać.

Leonie czekała na jego dalsze słowa, niepewna, co odpowiedzieć. Odsunął się od niej. Siedzieli teraz lekko zwrócenii ku sobie.

- Pewnie słyszałaś o mnie różne rzeczy - podjął z westchnieniem. -I o moim małżeństwie - dodał ciszej.

Leonie w milczeniu skinęła głową.

- Wiem, że ludzie gadają, że ożeniłem się dla pieniędzy. Znasz tę historię. Pojawiłem się znikąd, przejąłem firmę i tak dalej. Ale to nie takie proste, Leonie, i chcę, żebyś знаła prawdę.

- Nie spodziewałabym się po tobie niczego innego, Sam - odparła z przekonaniem.

- Boże, nie wiem, od czego zacząć - powiedział z bólem w głosie.

- Najlepiej od początku - poradziła Leonie, która nawet w takiej chwili zachowała trzeźwe, praktyczne podejście do sprawy.

Sam uśmiechnął się, słysząc te proste słowa.

- Chyba masz rację. - Odchrząknął, po czym zaczął opowiadać, wolno, z namysłem, starannie ważąc słowa. - Jak ci wczoraj wspominałem, moi rodzice byli bardzo biedni. Farmerzy z Berkshires, w zachodnim Massachusetts. Nie mieli niczego, nawet nie skończyli szkoły, byli jednak dobrymi i uczciwymi ludźmi. Niezbyt religijnymi, ale można chyba powiedzieć, że głęboko wierzyli w Boga. Brakowało nam wielu rzeczy, ale byli kochającymi rodzicami. I wskazali mi prawdziwe wartości. - Spojrzał na nią, jakby chciał, żeby dostrzegła podobieństwa między nimi.

Leonie skinęła głową.

- Mów dalej, Sam. Chcę wiedzieć wszystko - szepnęła.

- Pilnowali, żebym się uczył, zresztą, ja sam też się starałem - ciągnął. - Pragnąłem lepszego, ciekawszego życia. Chyba też trochę się wstydziłem swojej rodziny.

Znow westchnął, zamilkł na chwilę, jakby oswajając się z tym wyznaniem, a także wspominając swoje wysiłki i upokorzenie.

- W końcu zdobyłem stypendium do Yale. Studiowałem architekturę. Pewnego lata zaproponowano mi staż w firmie architektonicznej Van Vechten. To była świetna oferta, więc oczywiście ją przyjąłem.

Spojrzał gdzieś przed siebie w przestrzeń, jak gdyby widział tam wydarzenia z przeszłości.

- Poznałem Minette, córkę Richarda Van Vechtena, i... Boże! Ten świat po prostu mnie oczarował. Ci ludzie byli bogaci i potężni, mieli dobre koneksje, pochodzili ze znanych starych rodzin. Takie życie wydawało mi się doskonałe. I piękne - mówił dalej z przejęciem. - Oni mieli wszystko, czego ja nie miałem, reprezentowali wszystko, czego brakowało moim rodzicom. Wszystko, do czego dążyłem.

Zamilkł na chwilę i pogрузił się w myślach. Po chwili kontynuował:

- A do tego Minette była piękna. I wydawała się doskonałością w każdym calu. Po tygodniu uprawialiśmy seks, a po niecałym mie-

siącu zaręczyliśmy się. Z początku wszystko było fantastyczne... wręcz nierealne. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Ale w miarę upływu lata - odetchnąłem głęboko - zacząłem widzieć, jacy są naprawdę, oni i ich świat. Niesamowicie zepsuci i arogancy. - Jego głos zabrzmiał ostro. - Tak się przyzwyczaili do stawiania na swoim, że nigdy nie przyszło im nawet do głowy, że ktoś mógłby się z nimi nie zgadzać. Byli jak aktorzy w teatryku marionetek - to oni pociągali za sznurki, a wszyscy inni byli jedynie lalkami. - Zwrócił ku niej twarz. - Wiesz, o czym mówię?

Leonie ponownie skinęła głową.

- O tak, znam to wszystko - odrzekła. - Aż za dobrze. - Popatrzyła na niego. - I zgaduję, że przez cały ten czas czułeś, że nie należysz do ich kręgu. Ze nie jesteś jednym z nich, że jesteś gorszy.

- Właśnie - potwierdził Sam. - Zawsze czułem to „mniej”. Mniej ważności, mniej pieniędzy, mniej klasy, mniej wszystkiego. Byłem dla nich intruzem z innego świata. Może nawet zagrożeniem. I dawali mi to do zrozumienia. Delikatnie, subtelnie, ale nieprzyjemnie. Dlatego musieli zyskać pewność, że mają mnie na pasku.

Wziął głęboki oddech, po czym mówił dalej:

- Pod koniec lata doszedłem do wniosku, że nie chcę ożenić się z Minette. Uświadomiłem sobie, że nie jestem w niej zakochany. Oszołomiły mnie tylko ich pieniądze i pozycja. Wreszcie postanowiłem to zakończyć. Wybieraliśmy się na duże przyjęcie do jej kuzynki w Old Chatham. Minette cieszyła się na nie, pomyślałem więc, że powiem jej później. Wracaliśmy do domu...

Westchnął; w jego oczach malował się smutek.

- Oboje piliśmy na tym przyjęciu. Dużo. Ja prowadziłem, a Minette próbowała... chciała się dostać do moich spodni. Starałem się ją powstrzymać, a wtedy zjechaliśmy z szosy i spadliśmy do wąwozu. Auto niemal owinęło się dookoła drzewa.

- O Boże - wyszeptała Leonie.

- Minette pozostała sparaliżowana od pasa w dół. Uszkodzenie rdzenia kręgowego. - Popatrzył Leonie w oczy. - Nie mogłem jej powiedzieć, że się z nią nie ożenię. Nie miałem serca.

- Oczywiście - szepnęła cicho.

- I tak - ciągnął - pobraliśmy się z powodu mojego poczucia winy. Wyrzucałem sobie, że zrujnowałem jej życie. Rozsądek mówił, że przecież piliśmy oboje i gdyby nie wyprawiała takich sztuczek w samochodzie, nic by się nie stało. Ale stało się i czułem, że to przeze mnie.



- I nadal tak jest, prawda? - odezwała się Leonie. - Nadal dręczysz cię poczucie winy i wstyd.

- Tak. - Sam ujął jej dłoń. - Ciągle. Może... trochę osłabło przez te lata, częściowo dlatego, że Minette tak często wykorzystuje to przeciwko mnie. Ona... czasem lubi użalać się nad sobą. Ale czy można mieć jej to za złe? - Patrzył na Leonie, jak gdyby szukał u niej aprobaty.

- Rozumiem, Sam - odrzekła łagodnie - jednak ludzie powinni patrzeć w przyszłość, zapomnieć o tym, co się stało, odbudować swoje życie. Niezależnie od okoliczności.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział - ale dochodzi coś jeszcze: w naszym małżeństwie od samego początku nie było miłości.

- Ze strony Minette też?

- Tak. - Sam skinął głową. - Dała mi jasno do zrozumienia, że zaręczyła się ze mną wyłącznie dlatego, że byłem najprzystojniejszym facetem w okolicy, dobrym w łóżku, a do tego zdolnym architektem. Mogłem kontynuować rodzinną tradycję, zostać ogierem rozplodowym, a w dodatku byłem użyteczny w firmie. Widzisz więc - zakończył - że nie jestem żigolakiem i karierowiczem, za jakiego ludzie mnie uważają.

- O Boże! - westchnęła Leonie. - Takie życie musi być dla was okropne.

- Tak - odrzekł Sam po prostu. - Bez miłości, bez dzieci. Żaloszna przeszłość, beznadziejna terażniejszość - i nie ma przyszłości.

- Chciałeś mieć dzieci? - zapytała Leonie.

- Bardzo. Dorastałem sam i zawsze żałowałem, że nie mam brata albo siostry, więc chciałem mieć własne dzieci. Ale oczywiście Minette nie może.

Leonie spuściła wzrok i popatrzyła na ich splecione dłonie.

Sam uściśnął jej rękę.

- A ty? - zapytał. - Nie chciałaś mieć dzieci?

- Chciałam - powiedziała cicho, podnosząc na niego oczy. - Zawsze, tak jak ty. Ale Hank ciągle powtarzał, że musimy to odłożyć do czasu, kiedy naprawdę staniemy na nogi. A kiedy już stać nas było na rodzinę, tłumaczył, że jesteśmy za młodzi i zbyt zapracowani, żeby się uwiązać w domu. I że zaczekamy, aż będziemy mogli spędzać z dziećmi więcej czasu. - Wzruszyła ramionami. - Starałam się wierzyć, że to prawda. - Zaśmiała się ironicznie. - A teraz mój zegar biologiczny tyka coraz szybciej i głośniej. Jak bomba zegarowa.

- Jeszcze nie jest za późno - zauważył.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się Leonie. - Ale wkrótce będzie. Poza tym dochodzą inne problemy. - Znów się zaśmiała. - Na przykład znalezienie ojca.

Objął ją mocno i zaczął całować. Leonie zareagowała natychmiast.

Pragnęła pocałunkami ukoić jego poczucie winy i ból, lecz wiedziała, że to niemożliwe. Zdawała sobie jednak sprawę, że pociecha, jaką sobie dają nawzajem, ma właściwości uzdrawiające, i to dla nich obojga.

Po chwili Sam się odsunął.

- Mam nadzieję, że teraz rozumiesz mnie trochę lepiej, Leonie - powiedział. - Że wiesz, jaki jestem.

- Tak - odrzekła cicho. - Chyba tak, Sam.

- Widzisz, bo ja... o Boże... - zająknął się - tak bardzo cię kocham. I chcę, żebyś wiedziała o mnie wszystko.

Leonie zadrzała z podniecenia. Czuła, że serce jej bije jak młotem i puls przyspiesza, jednocześnie zaś jej trzeźwy umysł zastanawiał się, czy to nie ze strachu. Strachu przed związkiem z mężczyzną, który ma tak popłatane życie. Strachu przed uczuciem do niego.

Ale gdy popatrzyła w smutne oczy Sama, uznała, że mimo wszelkich obaw pragnie tego mężczyzny tak mocno, że musi zaufać swojemu instynktowi, choć czasem ją mylił.

- Wydaje mi się, że ja też cię kocham, Sam - wyszeptała. - Wiem na pewno, że cię pragnę. Rozpaczliwie.

Objęli się namiętnie, pragnąc zaspokoić swój nienasycony głód jak poprzedniej nocy w rozjarzonym świecami salonie. W końcu Leonie odsunęła się bez tchu.

- To nie do wytrzymania.

Sam delikatnie odsunął pasmo włosów z jej policzka i pocałował ją w usta.

- Przesiadźmy się do tyłu - powiedział.

W dwie sekundy znaleźli się na zewnątrz. Sam otworzył tylne drzwiczki. Leonie wsiadła i przesunęła się do środka, a Sam pospieszył za nią. Nie mógł od niej oderwać rąk i ust, całował ją i pieścił.

- A jeśli ktoś tu przyjedzie? - wydyszała.

- To mało prawdopodobne. A jeśli nawet, to zobaczy coś, co zapamięta na całe życie.

Zadrzała, oszołomiona tym, co robią, i ryzykiem, że ktoś ich wypatrzy w tym nasłonecznionym zagajniku nad rzeką. Po chwili skórzana kanapa skrzyphiała od ich gwałtownych ruchów.

Później oboje, zdyszani, wybuchnęli śmiechem. Z tego niezręcznego seksu na tylnym siedzeniu samochodu, ze swojego rozgrzewania, z wzajemnej fascynacji.

- O Boże, będzie mi tego brakowało, kiedy wyjadę - westchnęła Leonie, przegarniając Samowi włosy.

- Wyjedziesz? - zdziwił się, podciągając dżinsy.

- Tak. Nie mówiłam ci? Wyjeżdżam na parę dni do Nowego Jorku, bo chcę wybrać tapety i materiały na obicia i zasłony, a wy będziecie mogli w tym czasie podgonić robotę w środku.

Wsunęła figi i zapięła stanik.

- W ten sposób nie będę wam przeszkadzać, no i nie będę musiała mieszkać w tym okropnym bałaganie. I kurzu.

- Bardzo rozsądnie - powiedział. - Ale ja bez ciebie zwariuję. - Objął ją i przyciągnął do siebie, zagładając w jej błyszczące oczy. - Nie sądzisz - zapytał - że do wyjazdu powinniśmy się sobą jak najwięcej nacieszyć? - Musnął ustami jej szyję, a potem zaczął całować piersi.

- O tak - wyszeptała Leonie, odwzajemniając pocałunki. - Zdecydowanie.

Na chromie i metalu załśniło słońce. Samochód znów zaczął się kołysać. W końcu znieruchomiał, gdy padli wyczerpani. Już wyobrażali sobie następną raz.

## Rozdziału

Minette odłożyła słuchawkę na widełki i ze spokojem popatrzyła przez okno na znajdujący się tuż obok zielonej oranżerii basen. Mięgotął zapraszająco w gorącym letnim słońcu, ale ta propozycja ucieczki od wilgotnego upału przypomniła jej tylko, że już nigdy nie będzie mogła cieszyć się takimi przyjemnościami.

Po rozmowie, którą dopiero co zakończyła, ogarnęło ją odrętwienie, jakby dostała zastrzyk znieczulający przed bolesnym zabiegiem chirurgicznym. W pierwszej chwili wzdrygnęła się, przestraszona wiadomością otrzymaną przed chwilą. Ale już po chwili lęk znikł, zastąpiony obojętnym i niewzruszonym opanowaniem, z jakim zawsze podchodziła do niepokojących lub tragicznych wydarzeń.

Teraz, patrząc na rozświetlony słońcem basen, zaczęła powoli przetrawiać to, co właśnie usłyszała. Po kilku minutach chaosu w jej myślach zaczęły się rysować różne możliwości i strategie działania. Chodziło nie tylko o to, jak zareagować na niepokojące wieści, ale - co ważniejsze - jak je obrócić na swoją korzyść.

O tak, to przede wszystkim, myślała. Musi zmienić tę sytuację w triumf i zemścić się skutecznie na tym, kto sprawił jej ból, przez kogo tak bardzo cierpiała.

Na jej ustach pojawił się ponury uśmiech. Wiedziała już, co zrobi. Wreszcie wyrówna rachunki z mężczyzną, który zrujnował jej życie i przemienił je w piekło.

Minette nie miała żadnych wątpliwości, kto ponosi winę za wszystko, co się stało. Jeden człowiek uruchomił łańcuch wydarzeń, w wyniku których znalazła się na wózku - bezużyteczna inwalidka z bezwładnym, niemal martwym ciałem. I ten sam człowiek był odpowiedzialny za wieści, jakie przed chwilą do niej dotarły.

Już ja się tym zajmę, pomyślała Minette. Jeśli ta interesująca informacja jest prawdziwa, jeśli ktoś tak mnie skrzywdził, to musi odpowiedzieć za swój postępek.

Spoglądała na basen, otoczony wypiełgnowanymi roślinami, układając plany, podejmując decyzje i z góry cieszyła się efektem swoich działań. O, tak! Zemsta będzie rozkoszą! Niemal czuła już jej smak, bardziej wysublimowany niż smak najdelikatniejszego czarnego kawioru.

Ale najpierw trzeba załatwić sporo spraw i to szybko. Czas jest teraz najważniejszy. Musi zatelefonować w kilka miejsc, napisać list, kazać przygotować dokumenty, a potem je podpisać. Na szczęście mogła wszystkim pokierować stąd, z oranżerii, siedząc wygodnie na swoim wózku.

Po pierwsze, doktor Nathanson. Tak! Musi omówić kilka kwestii z troskliwym, ugrzecznonym lekarzem.

Następnie prawnicy. Zmiany w dokumentach. Ach, na samą myśl o tym poczuła dreszczyk podniecenia i roześmiała się głośno.

Potem Andrea Walker, przyjaciółka i pośredniczka w handlu nieruchomościami. Właśnie, pomyślała. Mam nieruchomość na sprzedaż! Natychmiast!

No i oczywiście bank. Trzeba przeprowadzić pewne zmiany. Im wcześniej, tym lepiej.

Przycisnęła guzik interkomu.

- Ermindo! - zawołała.

- Tak, pani Nicholson? - odezwała się pokojówka.

- Przynieś mi butelkę białego wina z lodówki i kieliszek.

- Tak jest, proszę pani.

Gdy Erminda przyniosła wino i kieliszek, Minette nalała sobie sporą porcję i wypiła. Było wytrawne i chłodne, pasowało do czekających ją zadań.

Wzięta ze stolika mały, oprawny w skórę notes z numerami telefonów i w zamyśleniu zaczęła nim lekko postukiwać o poręcz wózka.

Po chwili przestała. Jestem gotowa, stwierdziła. Gotowa, by zając się tą sprawą.

Ale zanim zaczęła działać, spojrzała ponownie na basen, uśmiechając się, jakby powierzała mu sekret, jakby tylko on znał rozwiązanie jej problemów i miał się stać współnikiem w akcie zemsty na sprawcy jej nieszczęścia.

A był nim oczywiście Sam Nicholson, któremu Minette każe cierpieć dziesięciokrotnie, stokrotnie - tysiącrotnie! - z powodu otrzymanej przed chwilą wiadomości.

## Rozdział 18

Sam czuł się zagubiony.

Dryfował w obcym, samotnym świecie - odkąd poznał Leonie, zapomniał, że taki stan w ogóle istnieje. Zapewniając, że będzie za nią tęsknił - przed kilkoma dniami, kiedy kochali się w samochodzie - nie miał pojęcia, jak prawdziwe okazały się jego słowa.

Gdyby nie codzienna wyteżona praca w remontowanym domu - jej domu - nie wiedziałyby, co z sobą zrobić.

Zastanawiał się teraz, jak żył, zanim ją poznał, lecz chyba znał odpowiedź: zamykał się w pustce i odcinał od ludzi. Nie pozwalał sobie na żadne uczucia. Szedł przez życie, wypowiadał właściwe słowa, robił rzeczy, których od niego oczekiwano, słowem funkcjonował jak automat pozbawiony serca.

Zdawał sobie sprawę, że otwierając się przed Leonie, podejmuje wielkie ryzyko. Wystawiał się na ból i cierpienie, obawiał się odrzucenia. Musiał też brać pod uwagę Minette. Była to zatrważająca perspektywa, ale druga ewentualność wydawała się jeszcze gorsza. Nie chciał wracać do życia bez miłości, do pustki, w której tak długo tkwił.

Starał się skoncentrować na jednym celu: aby Leonie mogła wrócić do niemal gotowego domu i aby zmieścić się z kosztami remontu w budżecie.

Jechał autostradą w duszącym letnim upale. Mieli szczęście: przez całe lato zdarzyło się zaledwie kilka takich dni. Od unoszącej się w powietrzu wilgotnej mgiełki wszystko wokół było nieostre, zamazane.

Sam usławił sobie, że wkrótce deszcze i upały ustąpią miejsca rześkiemu, chłodnemu powietrzu jesieni. To jeszcze jeden powód, że-

by pracować ze wszystkich sił. Ostateczny termin zakończenia robót ustalono na Boże Narodzenie i był pewien, że zdążą. Wiedział jednak, że prace wykończeniowe - szczegóły, które są takie ważne dla ogólnego wrażenia - mogą jeszcze pochłonąć dużo czasu i pieniędzy.

Skręcił w podjazd, stanął koło powozowni i wyskoczył z range rovera.

Pomyślał, że przed wejściem do domu warto zrobić inspekcję terenu i budynków gospodarczych.

Poprzedniego dnia osobiście nadzorował układanie kamieni wokół basenu, żeby zrobiono to dokładnie tak, jak chciała Leonie.

Teraz oglądał go z uwagą, przypominając sobie jej życzenia. Wszystko się zgadzało: długi, prostokątny basen był wewnątrz czarny, choć dno pozostało widoczne. Na jednym końcu prowadziły do niego schodki; a pojedyncza lampa, ustawiona pośrodku, rozświetlała go w nocy. Pomyśl był rzeczywiście świetny - Sam przekonał się o tym wczorajszego wieczoru - a efekt będzie jeszcze lepszy, kiedy ogród zostanie uporządkowany i obsadzony na nowo.

Sam był ciekaw, co zaplanowała Leonie. Powiedziała mu, że sama chce zaprojektować ogród, i wiedział już, że wszystko, co ona wymyśli, będzie piękne.

Obejrzał stare kamienne tarasy i przekonał się, że konieczne naprawy zostały już wykonane. Następnie zaszedł do powozowni. Zrobiono tu teraz nowoczesny garaż na dwa samochody, a na górze mieścił się obszerny apartament dla gości. Był całkowicie wykończony, trzeba tylko pomalować ściany, a potem wstawić meble. To nastąpi, gdy Leonie wróci z Nowego Jorku z tapetami i materiałami. Sam wiedział, że już wybrała farbę. Razem z wyposażeniem do kuchni w dużym domu zamówiła też urządzenia do kuchenki w tym mieszkaniu. Powinny zostać dostarczone za jakieś dwa tygodnie.

Sam zajął do stodoły. Tutaj też trzeba jeszcze tylko wymalować ściany, poza tym remont się zakończył. Znajdowały się tu dwa pokoje, idealnie nadające się na małe biura, każdy z łazienką. Pozostałą część olbrzymiego pomieszczenia z sufitem ozdobionym potężnymi, ręcznie ciosanymi belkami zaadaptowano na pracownię lub warsztat dla artysty. Na północnej ścianie znalazły się okna i świetliki, umieszczone w taki sposób, aby wpuszczały stłumione światło, odpowiednie do malowania. Położono tu sosnową podłogę i teraz pomieszczenie czekało na dostawę mebli z magazynu w Nowym Jorku, które Leonie kazała przysłać w przyszłym tygodniu. Zamierzała urządzić nimi dom, a jeśli ewentualni nabywcy zechcą, będą mogli je odkupić za znaczną sumę.

Przez większą część remontu Leonie była na miejscu i sama obserwowała postępy robót, lecz Sam miał nadzieję, że ucieszą ją drobne prace wykończeniowe, które wykonali w ostatnim tygodniu.

Nie widziała nowej farby do zewnętrznych ścian: malowanie właśnie się zaczęło i stary budynek wręcz ożywał w oczach. Poszukawszy w archiwach, Leonie wybrała kolor żółtej ochry, choć był on częściej spotykany w Europie, zwłaszcza środkowej. Miały go uzupełnić białe okna i gipsatury. Okiennice i drzwi będą ciemnozielone. Początkowo Sam nie był przekonany co do jej decyzji, ale teraz widział, że niepotrzebnie się wahał. Efekt okazał się ładniejszy, niż Leonie zapowiadała, a na pewno lepszy niż to, co sobie wyobrażał.

Wszedł do domu, gdzie w każdym pomieszczeniu kręcili się robotnicy. Piły elektryczne i młotki wygrywały kakofoniczną melodię, która była najwspanialszą muzyką dla Sama, a zapach świeżych trocin, jak zwykle, uderzył mu do głowy niczym najlepsze perfumy.

Z domu wyniesiono wszystko, a teraz trwała naprawa lub wymiana podłóg, elementów drewnianych i tynków. Kuchnia stała całkiem pusta, lecz za kilka dni będzie nowa i piękna. Szafki i różne elementy drewniane, które wymagały oczyszczenia, były już prawie gotowe. Odsłonięto oryginalny sufit z belkowaniem, a starą sosnową podłogę szycowano do piaskowania, szpachlowania i lakierowania.

Obudowy kominków przygotowano do pomalowania lub wyczyszczono i oszlifowano. Brudne tapety znikły, wkrótce na ich miejscu miały się pojawić nowe.

Oględziny sprawiły Samowi ogromną satysfakcję. Pomyślał, że nawet jeśli zarobi mniej, niż się spodziewał - niektóre materiały kosztowały trochę drożej - to nie żałuje.

Przecież to dla Leonie. Dla jego Leonie.

Szedł właśnie do sypialni na drugim piętrze, kiedy przy pasku zabrzączał mu telefon komórkowy.

- Cholera - mruknął. Niewiele osób znało ten numer i wiedział, kto może dzwonić.

Odpiął telefon i włączył.

- Halo.

- Sam! Gdzie jesteś? - To była Minette.

- Jestem w Octagon House, Minette - odrzekł łagodnie, choć oczywiście doskonale to wiedziała.

- Proszę cię - powiedziała spokojnie - wróć zaraz do domu.



Uwaga Sama natychmiast się wystrzyła: w głosie żony nie było rozkazującej nuty, co wydawało się podejrzanym i mogło oznaczać tylko kłopoty.

- Co się stało, Minette? - zapytał. - Jestem w pracy.

- Coś bardzo ważnego - oświadczyła tajemniczym tonem. - Musimy natychmiast porozmawiać. - I nagle się rozłączyła.

- Szlag! - Sam zamknął telefon i przypiął go z powrotem do paska.

Przez chwilę się wahał, czy nie zignorować rozkazu Minette. Bo przecież to nic innego, tylko rozkaz, pomyślał. Ale nie mógł się na to zdobyć.

- Szlag! - powtórzył, po czym posłusznie wrócił na dół i wszedł do samochodu. Gwałtownie nacisnął na gaz, aż spod kół przysnęły żwir, i ruszył wściekły.

Po kilku minutach zahamował ostro pod bramą Van Vechten Manor, a chwilę później zatrzymał się przed wejściem do ponurego domu. Odetchnął głęboko, przygotowując się na najgorsze, i wyskoczył z wozu. Starając się panować nad gniewem, nie trzasnął drzwiczkami i nie biegł po schodach, choć miał na to ochotę.

Erminda otworzyła szeroko drzwi, zanim do nich doszedł.

- Dzień dobry, panie Nicholson. - Jej ciemne oczy rozjaśniły się z radości, gdy go zobaczyła.

- Cześć, Ermindo - przywitał się. - Gdzie Minette?

- Pani Nicholson jest w oranżerii.

- Dziękuję.

Szybko minął hol i przez bibliotekę wszedł do oranżerii.

Minette siedziała z gumową gruszką w dłoni i ostrożnie podlewała ogromną, żarłocznie wyglądającą orchideę, obsypaną kremowymi kwiatami, które drżały przy każdym jej ruchu.

Sam stanął w milczeniu, pieniąc się ze złości. Jakież to niecierpiące zwłoki zdarzenie sprawiło, że był potrzebny w domu natychmiast? Wyglądało na to, że Minette z całkowitym spokojem, nawet z zadowoleniem oddaje się swoim codziennym zajęciom. Nie sprawiała wrażenia zmartwionej czy pełnej niepokoju.

Nie odwracając się do niego, powiedziała:

- Popatrz, kochanie, na ile sposobów można wykorzystać gumową gruszkę. - Zanurzyła ją w konewce, wciągnęła wodę, po czym dalej podlewała roślinę. - Trzeba to robić tak, żeby nie uszkodzić kwiatów.

- Po co wezwałaś mnie do domu, Minette? - zapytał tak spokojnie, jak tylko mógł.

- Och - uśmiechnęła się - usiądź, proszę, kochanie. Zaraz kończę.  
- Słuchaj, Minette - odezwał się, zaciskając zęby. - Pracuję, zapomniałaś? Rzuciłem wszystko, zostawiłem brygadę ludzi, bo myślałem, że stało się coś złego.

- Cierpliwości, kochanie - odparła. - To wielka cnota, jak zapewne wiesz.

Po kilku chwilach odłożyła gruszkę i klasnęła w dłonie.

- Zrobione. - Spojrzała na niego. - Widzisz? To zajęło tylko minutkę.

Westchnął i usiadł w wiklinowym fotelu, pragnąc, żeby wreszcie przeszła do *rzeczy*. Miejmy to już z głowy.

Minette obróciła wózek, ustawiając się twarzą do Sama, i popatrzyła na niego twardo swoimi błyszczącymi oczami.

- Wystawiłam biurowiec Van Vechtenów na sprzedaż - oznajmiła bez wstępów.

Sam spojrzał na nią zdumiony i zarazem zły, chociaż właśnie czegoś takiego można się było spodziewać. Ostatnio Minette zachowywała się bardzo dziwnie.

- Zgłosiłam *go* do sprzedaży Andrei Walker. Jest bardzo podekscytowana - ciągnęła. - Ma już dwóch czy trzech zainteresowanych.

- Rozumiem - odrzekł krótko i skinął głową.

Minette poprawiła perły na szyi, wciąż patrząc na niego.

- Posłałam Dircka i chłopców stajennych, żeby spakowali rzeczy taty, które tam zostały - powiedziała. - Oddam je na licytację.

Sam zauważył, że jej oczy stwardniały jeszcze bardziej; przypominały teraz lodowatą niebieską stal. Błyszcząca w nich złośliwa radość.

- Więc, kochanie - mówiła dalej słodkim tonem jego żona - będziesz musiał zabrać z biura swoje zabawki - i to szybko.

- To nie są zabawki, Minette - odparł ze złością.

- Nazywaj swoje rzeczy, jak chcesz. - Wzruszyła ramionami. - Tylko je stamtąd zabierz. Firma architektoniczna Van Veehtenów należy do przeszłości.

- Dlaczego robisz to tak nagle? - spytał zaintrygowany.

- Cóż... - odpowiedziała z zamyślnym wyrazem twarzy - budynek ma wartość historyczną, ktoś może to sensownie wykorzystać - a ja przy okazji zarobię. Więc czemu nie?

Sam poczuł, że twarz płonie mu z oburzenia. Minette potrafiła uderzyć w czuły punkt. Dała mu do zrozumienia, że nie wykorzystywał biura jak należy, że wszystko, co robił, jest bezużyteczne

i nieważne. Cała ona. Ale nie chciał się z nią sprzeczać. Wiedział zresztą, że to daremne.

- W porządku - oświadczył, wstając. - Zajmę się tym od razu.

Nie spuszczała z niego oczu.

- Co zrobisz ze swoimi rzeczami, kochanie? - zapytała niemal czule.

- Prawdę mówiąc, jeszcze nie wiem, Minette - odrzekł. - Wiesz, że nie stać mnie na wynajęcie takiego biura, coś jednak wymyślę.

Ruszył do drzwi, ale jeszcze się odwrócił i uśmiechnął ze smutkiem.

- Do zobaczenia.

- Na pewno - odpowiedziała.

Wychodząc z oranżerii, Sam dziwił się własnej reakcji na tę wiadomość. Wiedział, że powinien się zmartwić - może nawet wpaść w panikę - a czuł się cudownie wolny. Jakby zdjęto mu ciężar z ramion. To wariactwo, pomyślał. Co ja teraz zrobię? Nie mam biura, a przecież jest mi z tym świetnie.

Wiedział, dlaczego tak się czuje: nagle zniknęła ostatnia nić łącząca go z żoną i ich nieszczęsną przeszłością, w dodatku to Minette przecięła ją własnoręcznie.

W bibliotece Sam zobaczył Ermindę, która z furią odkurzała książki. Robiła to w takim tempie, że omal się nie roześmiał, ale nie chciał jej urazić.

- Ermindo - powiedział łagodnym tonem. - Zwolnij. Dostaniesz zawału, jak będziesz tak pracować.

Odwróciła się do niego z miotełką ze strusich piór w dłoni. Była tak zdenerwowana, że miotełka drżała.

- Ermindo - zapytał Sam ze zdziwieniem, gdy zobaczył, w jakim stanie jest dziewczyna - co ci się stało?

- Nie rozumiem, dlaczego pani Nicholson jest dla pana taka niedobra - odrzekła łamiącym się głosem. Ja bym wiedziała, jak pana uszczęśliwić, dodała w myślach.

- Nie przejmuj się, Ermindo - powiedział z uśmiechem. - To nic takiego.

- Dobrze - odrzekła potulnie. Gdyby nie ona, miałabym go dla siebie, pomyślała. Ale na głos powiedziała: - Dobrze, panie Samie.

Sam wsiadł do samochodu i pojechał z powrotem do pracy. Chciał wierzyć w to, o czym przed chwilą zapewniał Ermindę: że jeśli chodzi o Minette, to nic się nie stało. Tylko że w głębi duszy wiedział, że to nieprawda.

Co się z nią dzieje? Minette zawsze była... trudna. Ta samolubna, arogancka snobka zawsze użalała się nad sobą, ale rzadko bywała tak otwarcie podła.

Dlaczego właśnie teraz? - zastanawiał się Sam. I dlaczego w ogóle wystawia biurowiec Van Vechtenów na sprzedaż? Wiedział, że jego architektoniczna pasja ją drażni, ale czy posunęłaby się aż tak daleko, żeby mu utrudnić pracę? Jeśli to gra, to Minette zdecydowanie podniosła stawkę.

To wszystko nie miało żadnego sensu i było wbrew jej naturze. Minette bardzo przywiązywała się do rzeczy. Trzymała się ich kurczowo, jakby w otaczających ją przedmiotach znajdowała się częśćka jej samej, i zaborczo strzegła wszystkiego, co do niej należało.

Dlaczego więc nagle postanowiła się rozstać z rzeczami należącymi do ojca? Czciła go do tej pory jak bohatera, a jego dawny gabinet w budynku Van Vechtenów został zachowany w nietkniętym stanie od dnia, kiedy ojciec był w nim po raz ostatni. Sam nie mógł uwierzyć, że Minette pośle na licytację drogie i cenne pamiątki.

Przecież nie potrzebowała pieniędzy, tego był pewien. Wiedział, że jej liczne konta bankowe mają się dobrze. Wiedział też, że pakiet akcji i obligacji Van Vechtenów jest wart bardzo dużo, a dochód z nich w zupełności wystarczał jej na wygodne życie. Poza tym były jeszcze nieruchomości, z których część też dawała zyski.

Więc jeśli nie dla pieniędzy, to dlaczego?

Przecież nie zadałaby sobie tyle trudu tylko po to, żeby go ukarać. A może?

W miarę zbliżania się do domu Leonie coraz mniej rozumiał postępowanie żony. Każda rozmowa z nią teraz czy próba uzyskania wyjaśnień, o co tak naprawdę chodzi, byłaby daremna. Minette najwyraźniej podjęła decyzję, a kiedy już coś postanowiła, nie było odwołania, stawała się głucha na wszelkie argumenty i z uporem trwała przy swoim.

Skrywając na drogę do Octagon, Sam uznał, że nie ma się czym przejmować, nie warto. To kolejna sztuczka Minette, żeby mu obrzydzić pracę i zarabianie na życie. Chociaż teraz był architektem bez biura.

## Rozdział 19

Jasny gwint! - wykrzyknęła Mossy, wychodząc razem z Leonie na ulicę i zatraskując za sobą drzwi sklepu. - Zapomniałam już, jak tu może być gorąco. I to powietrze! Nie ma czym oddychać!

Leonie roześmiała się, kiwając głową.

- Zapomniałaś, jak wygląda lato w Nowym Jorku. Chyba masz ochotę wracać na wieś, Moss - powiedziała.

- Nie - odparła przyjaciółka. - Jestem masochistką, doskonale się czuję w tym brudnym, zdeprawowanym, niewygodnym, niebezpiecznym, wspaniałym mieście! - Przerwała, żeby zapalić papierosa. - No i ten młody człowiek, który pracuje u Beckensteina. Przystojniaczek!

- On ma chłopaka, Moss - zauważyła Leonie.

- Jaka szkoda - westchnęła przyjaciółka. - A już sobie wyobrażałam te możliwości.

Szły właśnie Orchard Street. Panujący tu gwar i ścisk miał swoje uroki: uliczni sprzedawcy głośno zachwalali przecenione towary; kupujący tłoczyli się przy wystawach i towarach rozłożonych na chodniku; stragany z hot dogami i naleśnikami dymiły i rozsiewały apetyczne wonie.

- Może przed powrotem do hotelu wstąpimy gdzieś na drinka? - zaproponowała Leonie.

- Świetny pomysł - odrzekła Mossy. - Wiesz, chyba nigdy w życiu nie widziałam tylu materiałów naraz. Perkale, szkockie kraty, adamaszki, aksamity, brokaty, tiule, muśliny. Można zwariować.

- Prawda - przytaknęła Leonie. - Jest tego tak dużo, że wszystko zaczyna się kręcić przed oczami.

- Uważam, że wybrałaś fantastyczne rzeczy - pochwaliła ją Mossy.

- I ceny są w porządku - dodała Leonie.

- Co prawda nie mieli nic po dolarze za metr, ale i tak ceny są znacznie niższe niż w centrum. I wiedziałas, ile czego musisz kupić. Nigdy nie widziałam takiej dobrej organizacji. Ja bym tak nie umiała.

- Wystarczy trochę cierpliwości, Moss - odrzekła Leonie. - I wprawdy. No i oczywiście trzeba mierzyć, mierzyć, mierzyć. Żyję z centymetrem w kieszeni.

Doszły do rogu Delaney Street i przystanąły, żeby złapać taksówkę. Na wschód i na zachód szeroka, wyboista ulica płynął nieprzerwany strumień samochodów, ale żadna z mijających je taksówek nie stanęła.

- Cholera -jęknęła Mossy - nigdy jej nie złapiemy.

Leonie zeszła na ulicę, wpatrując się uważnie w jadące auta. W pewnej chwili przyłożyła do ust dwa palce i gwizdnęła, głośno i przenikliwie.

Przejeżdżający żółty samochód zwolnił i zatrzymał się tuż przed nimi.

Mossy stała jak wryta ze zdumienia.

- Nie wierzę własnym oczom - powiedziała.

- Pośpiesz się - rzuciła Leonie. - Wsiadaj, bo odjedzie. - Otworzyła tylne drzwiczki, wsiadła i podała kierowcy adres w East Village.

Mossy wsunęła się za nią.

- Ty! - powiedziała. - Taka dama!

- Zapominasz, że tu się wychowałam, Mossy - zaśmiała się Leonie. - Nauczyłam się gwizdać, kiedy byłam dzieckiem. Szkoła przetrwania w miejskiej dżungli.

Parę minut później taksówka stanęła na Avenue A. Leonie zapłaciła kierowcy. Kawiarnia nie była elegancka, ale roztaczał się stąd widok na wiecznie trwający spektakl East Village, na zbieraninę ciekawych ludzi - modnych, dziwacznych, a ostatnio też członków klasy średniej, którzy mieli artystyczne aspiracje. Wokoło rozlegała się donośna, nieustająca kakofonia ruchu ulicznego, a w powietrzu unosiły się kłęby toksycznych spalin, wypuszczanych przez niezliczone autobusy, ciężarówki i samochody.

Zająły miejsca i złożyły zamówienie u młodego kelnera z mnóstwem kolczyków w uszach, nosie i brwiach. Obie poprosiły o wódkę z tonikiem.

- Podoba mi się ten pomarańczowy kolor w jego irokezie - powiedziała Mossy, kiedy kelner się oddalił - ale fiolet mógłby sobie darować. I tyle kolczyków! Lekka przesada. Wystarczyłyby przecież jeden albo dwa.

- W tej okolicy nic mnie nie zdziwi - odrzekła Leonie. - Wiesz, że jako dziecko mieszkałam niedaleko stąd.

- Prawda. Zapomniałam. - Przyjaciółka zapaliła papierosa. - Teraz żyjesz w zupełnie innym świecie. - Wydmuchnęła obłok siwoniębieskiego dymu.

- Zgadza się. Ale bardzo mi się tu podoba.

- Wiesz - Mossy zmieniła temat - remont domu posuwa się tak szybko, że wkrótce będziesz musiała się rozejrzeć za kolejną ruiną do renowacji.

Leonie spojrzała na nią zaintrygowana.

- Widziałas coś, co mogłoby mnie zainteresować?

- Możliwe. - Skinęła głową. - Na rynku jest mnóstwo starych domów. Ruder, które potrzebują czułej opieki. Rozglądam się za najlepszą okazją.

- Może po powrocie naprawdę powinnam zacząć czegoś szukać - zastanawiała się Leonie. - Myślę, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, to jesień byłaby dobrą porą, żeby wystawić Octagon House na sprzedaż. W żywych kolorach będzie wyglądał pięknie. Albo poczekam do wiosny, kiedy wszystko zakwitnie.

- Sprytnie - uznała Mossy - ale jesień jest tuż-tuż. A ty musisz znaleźć i kupca, i nowy dom - o ile pojawią się chętni. Rynek trochę przystopował. Zresztą w śniegu też będzie tam pięknie.

- Dlatego poświęciłam tyle czasu na telefony do dawnych klientów mojego sklepu - powiedziała Leonie. - Dwóch chyba się zainteresowało tym domem. I wiesz co?

- Co? - Mossy spojrzała na nią pytająco.

- Prawie wszyscy, z którymi rozmawiałam, błagali mnie, do słownie błagali, żebym otworzyła nowy sklep. Byliby nawet skłonni przyjeżdżać na wieś, jeśli mieliby pewność, że to ja wybierałam towar. Więc... O tym też muszę pomyśleć. Szukać ciekawego pomieszczenia na sklep czy otworzyć go u siebie? Gdybym odnowiła jeszcze kilka domów, lepiej by było mieć sklep oddzielnie, żebym nie musiała za każdym razem się przenosić.

- To trochę komplikuje sprawę - przyznała Mossy. - Ale jestem pewna, że wszystko da się załatwić.

Kelner przyniósł drinki. Podziękowały mu i obie sięgnęły po szklane czki.

- Patrząc, jak zasuwanie przy remoncie - odezwała się Mossy - uważam, że to całkiem możliwe.

- Co? - zapytała Leonie.

- Sprzedaż jesienią. - Zaciągnęła się dymem z papierosa. - Prawdę mówiąc, działyłaś tam prawdziwe cuda.

- Powiodło nam się znakomicie, prawda? - powiedziała Leonie z odcieniem dumy w głosie. - Oczywiście zdarzały się wzloty i upadki, ale głównie były wzloty. Cała ekipa spisała się na medal.

Mossy zmierzyła przyjaciółkę przenikliwym spojrzeniem.

- Chyba wiem, kogo masz na myśli, kiedy mówisz „ekipa”.

Leonie spojrzała w dal z tęsknym, tajemniczym uśmiechem.

- Tak, moja droga - powiedziała. - Chyba wiesz.

Mossy upiła tyle wódki z tonikiem i odstawiła szklaneczkę.

- Zakochałaś się w nim? - zapytała cicho.

Leonie skinęła głową.

- Tak mi się wydaje. Chyba tak.

Mossy przekrzywiła głowę na bok i uśmiechnęła się, trochę smutno, pomyślała Leonie, ale z czułością.

- Mam tylko nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz - powiedziała.

- Bardzo cię kocham i nie chcę, żebyś cierpiała.

- Wiem, Mossy - odrzekła Leonie - i doceniam twoją troskę. - Westchnęła. - Nie mogę zaprzeczyć, że to stwarza mnóstwo komplikacji, ale... - Spojrzała na przyjaciółkę z mieszaniną irytacji i radości. - Jestem zakochana po uszy - przyznała się. - Beznadziejnie i nieodwracalnie.

- Cholera! - rzuciła Mossy. - Tak ci zazdrozczę. Mimo że przed tobą mur nie do pokonania! Bo muszę ci powiedzieć, że Minette Nicholson jest jak wilczyca, a Sama traktuje jak swoją własność...

- Znam tę sprawę - przerwała jej Leonie. - I wierz mi, mocno się nad tym zastanawiałam. Sam mi wszystko powiedział, zdaję sobie sprawę, że to sytuacja bez wyjścia. Nie myśl, że nie czuję się winna. Ale co zrobić? - Wzruszyła ramionami. - Zakochałam się i koniec.

- Nie wiem, co on ci mówił - odezwała się Mossy - ale ona jest wredna. Zadała sobie mnóstwo trudu, żeby mnie wygrzyść z towarzystwa historycznego. - Dumnie uniosła głowę. - Bo nie należę do miejscowej elity!

Leonie roześmiała się, widząc jej minę.

- Ale gorsze było to - ciągnęła przyjaciółka - że miałam potencjalnych klientów, którzy dzwonili, żeby zgłosić mi domy do sprzedaży. Potem ci sami ludzie w tajemniczy sposób zmieniali zdanie. Telefonowali, żeby powiedzieć, że postanowili zlecić sprzedaż komu innemu. W dziewięciu przypadkach na dziesięć była to Andrea Walker, absolutnie oddana Minette Nicholson. To sprawa



tej żmii, jestem pewna. - Zamilkła i gwałtownie zgasła papierosa w popielniczkę.

Leonie popijała drinka. Wiedziała, że Mossy jest życzliwa i chce ją ostrzec, ale to wszystko nie miało żadnego znaczenia, przynajmniej dla niej. Nie widząc Sama przez ostatni tydzień, czuła się taka samotna i ta bolesna pustka przekonała ją o jednym. Wiedziała, że to, co wyznała przed chwilą, jest prawdą: naprawdę go pokochała. To nie był flirt ani też wyłącznie pożądanie. Na pewno nie. Teraz zyskała pewność, że to prawdziwe głębokie uczucie. To właśnie miłość.

- Ta kobieta - podjęła Mossy z iskrami w oczach - przed niczym się nie cofnie. To okropna snobka, a do tego jest podstępna i mściwa.

- To wszystko pewnie prawda - powiedziała spokojnie Leonie - ale czy ty nie rozumiesz, Mossy? Moje uczucia są, jakie są, mimo że o wszystkim wiem.

- Tylko cię uprzedzam, skarbie - odrzekła Mossy. I dodała ciszej: - Oczywiście o nim też krążą nieciekawe plotki. Że to facet, który ożenił się dla pieniędzy i tak dalej.

Leonie wbiła w nią oczy, w których płonęła determinacja.

- Nie mówisz mi nic, o czym bym nie wiedziała, Mossy. Ale to nie zmienia faktu, że jestem zakochana. - W jej głosie zabrzmiała stanowcza nuta. - Koniec, kropka.

Tamta uniosła cienkie, wyskubane brwi.

- No cóż, moja droga. Mam nadzieję, że przynajmniej jest dobry w łóżku!

Leonie zaśmiała się wbrew woli.

- Zawsze musisz mnie sprowadzić na ziemię, Moss.

- Wiesz co - przyjaciółka zmieniła temat - mam już dość tych spalin i upału. Może wrócimy do hotelu i odświeżymy się przed obiadem? Możemy tam wypić jeszcze jeden koktail.

- Czemu nie - zgodziła się Leonie.

Podczas gdy Mossy moczyła się w pełnej piany wannie w hotelu Soho Grand, Leonie wyciągnęła się na łóżku z „New York Timesem”. W pewnej chwili jej oczy, niczym przyciągnięte magnesem, spoczęły na nagłówku:

HENRY REYNOLDS I DZIEDZIC  
RODOWEJ FORTUNY CHANDLERÓW  
OSKARŻENI O OSZUSTWA FINANSOWE

Nowy Jork, 15 sierpnia. Giełdowa Komisja Bezpieczeństwa oskarża byłego brokera giełdowego i byłego pracownika banku inwestycyjnego o wykorzystywanie poufnych informacji w związku z przejęciem South-Bank Inc. przez korporację WallBank.

Komisja złożyła dzisiaj doniesienie, w którym oskarża Henry'ego Wilsona Reynoldsa oraz Roberta Winstona Chandlera IV..

Leonie poczuła pełną od kręgosłupa do karku i czaszki chłodny dreszcz, puls jej przyspieszył, w uszach zaszumiało. Serce uderzało głośno w piersi.

Upuściła gazetę na kolana, jakby to był jadowity wąż, i napiła się wody mineralnej ze stojącej przy łóżku butelki. Potem wzięta gazetę w drżące dłonie, aby przeczytać artykuł do końca.

...Komisja informuje, że sprawa przeciwko panu Reynoldsowi i panu Chandlerowi... Odpowiedzialność karna...

Leonie opadła na łóżko, ogarnęły ją mdłości. W artykule była mowa o milionach akcji giełdowych i milionach dolarów zysku - z nielegalnej sprzedaży.

Usiadła i przegarnęła włosy palcami. Gazeta zsunęła się na podłogę. W pierwszym odruchu Leonie chciała złapać za telefon i zadzwonić do Hanki i Bobby'ego ze słowami pociechy. Wiedziała, że świat zawalił im się na głowy, rozumiała, jak bolesne muszą być dla nich wstyd i upokorzenie.

Jeszcze nie tak dawno czuła się tak samo, choć z całkiem innych powodów.

Wyciągnęła rękę po słuchawkę, lecz nagle zmieniła decyzję i szybko cofnęła dłoń. Sami nawarzyli tego piwa, pomyślała, niech więc je teraz piją.

Hank i Bobby bezceremonialnie wyrzucili ją ze swojego życia - wykopali, poprawiła się - i cała ta historia to już nie jej sprawa. Przecież oni też wyrócili jej świat do góry nogami.

Pewnie powinna czuć satysfakcję, słysząc o publicznym upokorzeniu tych dwóch. Ich opinia, niezależnie od wyniku sprawy, została na zawsze splamiona, zarówno w kręgach zawodowych, jak i sferach towarzyskich, w których się obracali. Niemiła perspektywa.

Westchnęła z goryczą. No cóż, gdyby szukała zemsty, nie znalazłaby lepszej okazji. Ale ich spektakularny upadek nie sprawił Leonie przyjemności. Nie. Wręcz przeciwnie, był to kolejny sygnał, że instynkt całkowicie ją zawiódł. Że ulokowała dwa najważniejsze uczucia - miłość i zaufanie - w niewłaściwych ludziach.

Mimo zdarzeń z ostatnich miesięcy - gdy i mąż, i przyjaciel tak bardzo ją zawiedli, Leonie wciąż trudno było w to uwierzyć.

Czy natura ludzka zawsze jest tak podstępna? Tak zdradliwa?

Nie umiała odpowiedzieć ani na to, ani na wiele innych pytań. Ale nie warto teraz myśleć o zemście. Tamten etap został zakończony. Ona będzie żyła dalej.

- Boże - Mossy wyszła z łazienki owinięta białym ręcznikiem niczym sarongiem - wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Leonie podniosła na nią oczy i uśmiechnęła się słabo.

- Zobaczyłam nawet dwa - oświadczyła. - Popatrz na to. - Podniosła gazetę z podłogi i podała ją przyjaciółce, wskazując artykuł.

Mossy przeczytała uważnie, po czym z satysfakcją pokiwała głową..

- Nie mogło się to zdarzyć w lepszym momencie - skomentowała wiadomość. - Dobrze im tak, tym łajdakom.

Zauważyła przygnębienie Leonie i usiadła obok niej na łóżku. Odłożyła gazetę i objęła przyjaciółkę za ramiona.

- Nie martw się, skarbie - powiedziała. - Jeśli myślisz o tych dwóch palantach, to jestem pewna, że wymigają się z tego.

- Tak - odrzekła Leonie. - Chyba masz rację.

- Najlepsi prawnicy, kupa forsy - ciągnęła Mossy. - Zobaczysz. Wykręcą się dzięki pieniądzom. - Poklepała Leonie po policzku. - Uśmiechnij się, skarbie. Możesz się cieszyć, że wróciłaś do panieńskiego nazwiska!

## Rozdział 20

Leonie zawiązała czekoladową kokardkę na owiniętej eleganckim ciemnym papierem paczusce i popatrzyła na nią krytycznie.

- Ładnie - powiedziała do siebie z zadowoleniem, mając nadzieję, że Sam doceni jej starania.

W drodze powrotnej z Nowego Jorku podwoziła Mossy do Chatham, a potem pojechała do siebie, ciekawa, co zrobiono podczas jej pobytu w mieście. Nie wiedziała, czego oczekiwać, ale poczuła radość, kiedy w oddali zobaczyła swój dom. Nie przypominał tego, który zaledwie przed kilkoma dniami opuszczała.

Wprawdzie malarskie rusztowania przesłaniały część fasady, ale widoczny zza nich kolor żółtej ochry był elegancki i stylowy, a białe futryny i ciemnozielone okiennice doskonale się z nim komponowały, tak jak przewidywała. Efekt był zadziwiający: zniszczona budowla została odmieniona niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jakby szczególnie uzdolniony chirurg plastyczny zajął się zmarszczkami i brodawkami podstarzałej gwiazdy, by przywrócić jej dawną nieskazitelną urodę.

Na szczycie domu przeszklona wieżyczka lśniła w słońcu niczym korona po renowacji. Przywodziła na myśl Sama i jego starania, by należycie odremontować to чудо.

Skręcając na podjazd, Leonie westchnęła, czując głęboką ulgę. Wybrane przez nią rozwiązania nie tylko okazały się świetne, ale wręcz przewyższyły jej wyobrażenia. W przeszłości przekonała się, że to, co wydaje się doskonałe na papierze albo w wyobraźni, nie zawsze prezentuje się tak samo w rzeczywistości.

Było późne sobotnie popołudnie, nikt już nie pracował, miała więc całą posiadłość dla siebie. Przed wypakowaniem zakupów

z wozu szybko obejrzała postępy prac na zewnątrz domu. Podczas jej pobytu w Nowym Jorku zrobiono więcej, niż oczekiwała. Ale choć była zadowolona, zauważyła kilka drobiazgów, które należało poprawić. Trzeba będzie powiedzieć o nich Samowi.

Z pełnymi torbami zrobiła kilka kursów do wciąż pustej kuchni, a potem przeszła się po pokojach. Tutaj, jak widziała, pozostało jeszcze dużo do zrobienia.

No cóż. Z rękami na biodrach przystanąła w kuchni, oglądając chaos wokół. Będzie musiała to przetrzymać, nie ma wyjścia.

Przyszłość rysowała jej się wyraźnie. Co najmniej przez najbliższe dwa tygodnie musi jeść dania z puszek i chodzić na pizzę. Po luksusach hotelu Grand Soho będzie to jeszcze bardziej przypominało obóz. Ale Sam i jego ludzie przenieśli sofę i inne niezbędne rzeczy na poddasze, a tam jest aneks kuchenny, więc poradzi sobie zupełnie nieźle.

Popatrzyła na torby z zakupami, które zostawiła na prowizorycznym stole roboczym, i uznała, że zanieś je na drugie piętro później. Teraz trochę odpocznie i nacieszy się wiejskim spokojem po upale i hałasie miasta.

Najpierw jednak pobiegła na górę do sypialni i wyjęła z lodówki w barku butelkę wina. Nalała sobie kieliszek i zaczęła grzebać w torbach, dopóki nie znalazła prezentu dla Sama. Potem poszukała jeszcze papieru, wstążki, a na końcu wzięła nożyczki i taśmę klejącą.

Teraz spoglądała na elegancko zapakowaną paczuszkę i zastanawiała się, czy do niego zadzwonić. Sobota po południu to dla wielu ludzi pora koktajli. Szukają się do wyjścia na wieczór. Zadzwonić czy nie?, myślała. Po jakichś dziesięciu sekundach podniosła słuchawkę i wybrała numer.

- Halo? - odezwał się po drugim dzwonku, zdyszany. Jego głęboki, dźwięczny głos wciąż przyprawiał ją o drżenie, podobnie jak za pierwszym razem.

- Sam - powiedziała szybko - tu Leonie.

- Jesteś w domu? - zapytał z wyraźnym podnieceniem w głosie.

- Tak. Właśnie wróciłam.

- Mogę przyjechać? - Ciągle nie mógł złapać tchu. Co on takiego robił?

- Oczywiście. - Usłyszała w jego głosie szczerą, wręcz chłopięcą radość i nieukrywany zapach. Z Samem nie ma miejsca na żadne gierki. Wyraźnie daje do zrozumienia, co czuje i co myśli.

- Już jadę - powiedział i rozłączył się.

Chyba też za mną tęsknił, ucieszyła się Leonie.

Pobiegła do łazienki, żeby sprawdzić fryzurę i makijaż. Nakładając świeżą szminkę, przyjrzała się swojej twarzy. Jest świetnie, stwierdziła bez wahania. Nawet jeśli to ja tak twierdzę. I wiedziała, że to prawda, bo czuła się świetnie.

Wzięła małą krysztalową buteleczkę Caprifoglii i skropiła szyję i piersi, wdychając odurzający zapach powoju. Te perfumy przynosiły ją z powrotem na wzgórze Capri. Używała ich od dawna, zwłaszcza latem - od chwili, kiedy odkryła je w Mediolanie, w starym, szacownym Centro Botanica. Bobby śmiał się, że to jej tajna broń, a Leonie uważała, że jeśli miły zapach sprawia innym taką samą przyjemność jak jej, to przyjaciel ma rację.

Uznała, że kremowa, jedwabna sukienka, w której przyjechała, wystarczy. Miała dość głęboki dekolt i była ładna. Trzeba tylko uważać, żeby jej nie wybrudzić w trocinach, pyle i innych śmieciach. Pobiegła na górę po drugi kieliszek, potem zabrała też swój i butelkę wina i wyniosła to wszystko na taras. Następnie wzięła szkicownik, rozłożyła się na fotelu i zaczęła przerzucać kartki.

Był wypełniony planami wnętrza domu. Starannie wyrysowała każdy pokój, wpisała powierzchnię oraz wymiary okien, ścian, a nawet sprzętów. Zaznaczyła wstępne ustawienie mebli i narysowała różne rzuty każdego pomieszczenia. Potem wpięła próbki kolorów i materiałów, których zamierzała użyć. Wpięła też zrobione polaroidem zdjęcia każdego pokoju z różnych kątów. Było z tym dużo zachodu, ale ta praca sprawiła jej przyjemność. Leonie wiedziała, że na dłuższą metę oszczędzi dzięki temu czas i zminimalizuje ryzyko pomyłek. Ten szkicownik z cierpliwie, dokładnie zrobionymi pomiarami zabrała do miasta. Dzięki niemu zakupy były łatwiejsze, a poza tym stanowił dziennik robót.

Wszystkie materiały kupione w Nowym Jorku zostały odesłane do pani Miller, doskonałej krawcowej, którą Leonie odkryła w pobliskim Chatham. To ona miała uszyć zasłony i pokrowce na meble. Dostała już wszystkie wymiary i po kilku konsultacjach dokładnie wiedziała, czego sobie życzy Leonie. Tapety i inne drobiazgi nadejdą przesyłką kurierską w przyszłym tygodniu.

Leonie napiła się wina i spojrzała w dal. Słońce zaczynało zachodzić i widok na góry Catskills ponad Hudsonem był przepiękny. Na wschodzie olbrzymie wierzby srebrzyły się w słonecznym blasku. Nie mogła oderwać oczu od cudownego krajobrazu. W pewnej chwili od strony podjazdu usłyszała warkot rovera.

Poczuła znajomy dreszcz podniecenia na myśl, że Sam jest blisko. Zanim zdążyła wstać, podjechał, wyskoczył z samochodu i podbiegł do niej uśmiechnięty. W opalonej twarzy błyszczały białe zęby.

- Proszę, proszę! - zawołała. - Wyglądasz... wspaniale!

Rzeczywiście był imponujący w czarnej koszulce polo, białych bryczesach i zakurzonych butach do jazdy konnej. Boże, pomyślała, nic dziwnego, że za nim tęskniłam!

- Właśnie wróciłem z przejażdżki, kiedy zadzwoniłaś - powiedział - więc nie traściłem czasu na przebieganie się.

Wstała, a Sam wziął ją w ramiona.

- Witaj - powiedział, całując ją delikatnie w usta.

- Witaj - odrzekła, odwzajemniając pocałunek.

Rozkoszowała się ciepłem jego ciała, jego twardymi mięśniami i męską siłą. I ten oszałamiający zapach! Upajająca mieszanina świeżości łąk, słońca, potu i skóry. Z odrobiną zapachu konia. Potarła nosem o szyję Sama, ciesząc się jego fizyczną bliskością.

Stali tak objęci przez długą chwilę. Sam po prostu przytulił ją mocno do siebie, ukrył twarz w jej włosach i wdychał ich odurzającą woń.

- Tęskniłem za tobą, Leonie - wyszeptał. - Bardziej niż myślisz.

- Ja też tęskniłam, Sam - powiedziała. - Nie do wiary jak bardzo! Objął ją jeszcze mocniej.

- Nie mogłem się doczekać, kiedy wrócisz - wyznał.

Roześmiała się nerwowo.

- O co chodzi? - zapytał, odsuwając się i zaglądając jej w oczy.

- Och, o ciebie. O mnie. O nas.

- Właśnie - odrzekł. - O nas.

Przesunął dłońmi po jej plecach w górę i w dół, przyciskając Leonie mocniej do siebie.

- Chodź - powiedziała. - Najpierw usiądziesz i napijesz się wina. Mam coś dla ciebie.

- Co? - zapytał, niechętnie wypuszczając ją z objęć.

- Zobaczysz. - Oczywiście zabłyśły figlarnie. - Zaraz wracam.

Sam nalał sobie wina i usiadł. Wziął do ręki jej szkicownik i zaczął przeglądać.

Gdy wróciła, podniósł wzrok.

- To niewiarygodne - oświadczył, wskazując plany i szkice. - Wiedziałem, że jesteś zorganizowana, ale to po prostu fenomenalne. Kawał dobrej roboty. Kiedy zdążyłaś to wszystko wyrysować? Nie widziałem, żebyś nad tym pracowała.

- Zwykle wieczorami, jak wszyscy już pojechali - wyjaśniła. -  
I w czasie weekendów.

- Wygląda bardzo profesjonalnie.

- To nie pierwszy - powiedziała. -I nie będzie ostatni - dodała.  
Podąła mu paczuszkę, którą trzymała za plecami.

- Proszę. Znalazłam to dla ciebie w mieście. Za twoją pomoc i...  
za wszystko.

- Pięknie zapakowane - pochwalił ją z uśmiechem - ale i tak rozetrę papier.

Jednak ostrożnie zdjął papier i wstążkę i położył na kamiennym tarasie. Przez chwilę uważnie oglądał prezent, a w końcu popatrzył na nią z wdzięcznością.

- Nie wiem, co powiedzieć, Leonie - odezwał się cicho, niemal z szacunkiem. - To przepiękne. Chyba nikt nie подарował mi czegoś podobnego.

- Miałam nadzieję, że ci się spodoba.

- Alexander Friedrich Werner - przeczytał. - Niemcy, około 1877. - Był to niewielki ołówkowy szkic neoklasycystycznej wieżyczki, podobnej do tej, nad której odnowieniem tak się napracował.

- Uznałam, że to będzie odpowiednia pamiątka - oznajmiła Leonie. - Włożyłeś w tę wieżyczkę tyle pracy. Znalazłeś szyby i w ogóle. Sam wstał i ponownie ją objął.

- Jest wspaniała - powiedział, całując ją. - Dziękuję, Leonie.

- Bardzo proszę, cieszę się, że ci się podoba.

- Widziałaś, co zrobiliśmy, kiedy cię nie było? - zapytał.

- Tak, jestem zachwycona. - Zawahała się lekko.

- Ale? - dodał domyślnie.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Jest kilka drobiazków, których trzeba będzie dopilnować - oświadczyła. - Może od razu ci je pokażę, dopóki mam to na świeżo w pamięci.

- Perfekcjonistka. - Uścisnął ją czule.

- Już mi to mówiono.

- Chodźmy - powiedział i wziął ją pod ramię.

Później, po lustracji terenu i ustaleniu poprawek, stanęli w stodołę, podziwiając efekty dogasającego światła w wysokim, przestronnym wnętrzu.

- Pięknie, prawda? - odezwał się Sam.

Leonie przytaknęła.

- Spisałeś się wspaniale - powiedziała.



Otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie.

- Spisaliśmy się - poprawił ją.

Pocałował ją w policzek, a Leonie zareagowała natychmiast, ogarnięta nagłym podnieceniem po kilkudniowej wręcz fizycznej tęsknocie, jakiej nigdy w życiu nie doznała. Jego bliskość sprawiła, że dłuższe oczekiwanie wydawało się torturą.

Już po chwili stali mocno spleceni, a Leonie czuła jego ręce i usta na całym ciele. Oparła się o belkę, gdy dłonie Sama wolno wśliznęły się pod jej sukienkę i powędrowały po udach w górę. Zsunął powoli jej figi, a jego zręczne palce zaczęły gładzić ją po pośladkach i dotykać jej, najpierw delikatnie, potem bardziej natarczywie.

Leonie oddychała głośno z rozkoszy, a Sam jęknął i ukląkł przed nią. Zaczął ją całować po udach, posuwając się coraz wyżej, do tego miękkiego, wilgotnego trójkąta, który był już gotów na jego przyjście.

Leonie, z odrzuconą do tyłu głową, czekała, aż jego usta dotrą do tego miejsca. Wreszcie tam był, przycisnął mocniej jej okrągłe, jędrne pośladki, a jego język drażnił, okrążał, pocierał.

- Och, Sam - dyszała. - Sam, jak cudownie. Och... Och...

Nagle przestał, podniósł się i znów otoczył ją ramionami, szukając ustami jej ust. Przyciągnął ją do siebie i wyraźnie poczuła twardą wypukłość w jego bryczesach.

- Nie wytrzymam ani sekundy dłużej - jęknęła. - Tak bardzo cię pragnę.

Jej słowa podziały na niego piorunująco. Wciąż ją obejmując i całując, rozpiął zamek. Poprowadził w dół dłoń Leonie, a ona ujęła jego pulsujący członek.

Sam podniósł ją, a ona rozsunęła uda, spragniona i gotowa, by go przyjąć. Oplotła go nogami, gdy w nią wszedł.

Krzyknęła w ekstazie, kiedy przycisnął ją do belki. Potem, nie mogąc dłużej czekać, ogarnięty szaleńczym pożądaniem zaczął się rytmicznie poruszać, raz, drugi, trzeci...

Wydawało jej się, że nie wytrzyma tak gwałtownej rozkoszy, ale pod jego energicznymi ruchami jej pragnienie rosło i już po chwili ogarnęło ją cudowne wyzwolenie. Krzyknęła w uniesieniu, czując przesywające ją dreszcze. Słyszając jej krzyki, Sam pchnął jeszcze mocniej, aż w końcu eksplodował w niej z jękiem.

Zdyszany, nie mogąc wykrztusić z siebie ani słowa, tulił ją przez długą chwilę i całował. W końcu szepnął:

- Kocham cię, Leonie. Kocham cię. Kocham. Kocham.

- Ja... też... cię... Kocham - zdołała mu odpowiedzieć.

Powoli postawił ją na podłodze, a potem wziął w ramiona i obsypał pocałunkami twarz, szyję, piersi Leonie. Wreszcie ich oddechy powróciły do normy a serca zaczęły uderzać miarowo.

- Mówisz poważnie? - zapytał. - Jesteś pewna? Naprawdę mnie kochasz?

Leonie spojrzała mu w oczy.

- Całkowicie poważnie - odrzekła. - Naprawdę cię Kocham.

Przycisnął ją do siebie i tulił, jakby już nigdy nie zamierzał jej wypuścić.

W końcu się rozdzielili.

Sam podał jej figi, zasunął zamek bryczesów i zapiął pasek.

Leonie potrząsnęła głową.

- Wariaci! - zaśmiała się.

- Tak - zgodził się Sam i też się roześmiał. - Zakochani wariaci.

Razem wrócili na taras i usiedli. Popijali wino, trzymając się za ręce, i nie mogli oderwać od siebie oczu. Nie całkiem jeszcze powrócili na ziemię po wyprawie do raju.

W końcu Leonie zaproponowała:

- Może coś przegryziemy i położymy się? Moglibyśmy pójść na górę, do mojej wspaniałej nowej sypialni. To znaczy, o ile nie musisz już jechać do domu.

- Na szczęście nie - odrzekł. - Nie muszę. Dziś jest wielkie przyjęcie, Minette jedzie na nie ze swoim kuzynem Dirkiem. Zjazd rodzinny całego klanu Van Vechtenów. - Skrzywił się. - Zawsze się z tego wykręcą. - Wstał i podał jej dłoń. - Chodźmy.

Na tacy znajdowały się na wpół opróżnione talerzyki z serami: słodkawym mascarpone, ostrym kozim, dojrzałym brie, aromatyczna feta z pomidorami i bazylią oraz czosnkowym hummusem. Były też miseczki z oliwkami - w oliwie, w winie i po grecku - oraz krakersy. Buty do jazdy konnej Sama i sandały Leonie leżały obok stołu.

Przez osiem pootwieranych okrągłych okienek wieżyczki wpadał do środka orzeźwiający wietrzyk. Migotliwy blask świec rozjaśniał pozostałości uczyty i odbijał się w kieliszkach z winem. Sam leżał zwrócony twarzą do Leonie, gładząc ją po ramieniu. Kończyła mu opowiadać o swoim pobycie w Nowym Jorku i o artykule w „Timesie”.

- Nie powinnaś tak się tym wszystkim przejmować - powiedział. Leonie westchnęła.

- Nic na to nie poradzę. Nie mogę przestać myśleć, że coś jest ze mną nie tak, skoro tak źle wybrałam.

- Pamiętaj o tym, co ci mówiłem na początku lata. Mężczyzna, za którego wyszłaś, i dzisiejszy Hank Reynolds - ten, którym się stał - to dwaj różni ludzie. Zmienił się bardzo, lecz te zmiany nie mają nic wspólnego z tobą. - Spojrzał jej w oczy. - I jeśli chcesz znać moje zdanie... - pocałował ją - to uważam, że masz wręcz niezawodne wyczucie, jeśli chodzi o mężczyzn.

- Chyba nie jesteś obiektywny - uśmiechnęła się - ale wierzę ci na słowo. Zwłaszcza jeśli chodzi o ciebie i mnie. - Pogładziła jego muskularne ramię. - Nie wiem, jak można ci nie ufać, nie wierzyć... nie kochać cię.

Sam westchnął, a w jego oczach pojawił się znajomy cień smutku.

- Chciałbym... - zaczął, ale urwał i zapatrzył się w przestrzeń, w swój daleki świat.

- Co takiego, Sam? - zapytała łagodnie Leonie. - Możesz mi powiedzieć wszystko, przecież wiesz.

Jego oczy przesunęły się po ciemnych kątach pokoju, by w końcu powrócić do jej twarzy.

- Chciałbym móc zostać tu z tobą na zawsze - wyznał. - Pragnę tego nad życie. - Westchnął ciężko. - Ale wiem, że choć Minette mnie nie kocha, będzie walczyć ze wszystkich sił, żeby mnie zatrzymać. Oczywiście wiesz, dlaczego wciąż z nią jestem.

- Wiem - zapewniła go.

- Teraz wystawiła na sprzedaż biurowiec Van Vechtenów - ciągnął.

Nie wspomniał o tym wcześniej. Czuł się niezręcznie, mówiąc o coraz bardziej wrogim zachowaniu Minette, może z obawy, aby Leonie nie poczuła się winna. Spojrzał na nią i jego rysy rozjaśnił nagle kpiący uśmiezek.

- Masz więc architekta bez biura - podsumował.

- Co? - zdziwiła się Leonie. - Tak nagle?

- Właściwie nie jestem zaskoczony - ciągnął Sam. - Od dawna stara się mnie skłonić do rzucenia pracy. To pewnie nowa taktyka, żeby mi utrudnić robienie tego, co lubię. Nie jestem pewien.

- To mi wygląda raczej, jakby chciała cię za coś ukarać - zauważyła Leonie.

- Trafiałaś w sedno. Ale dość o tym. Chciałbym, żeby było inaczej. Żebym mógł być zawsze przy tobie. - Przyciągnął ją bliżej i zaczął namiętnie całować. - Tak bardzo cię kocham.

Leonie popatrzyła mu w oczy.

- A ja kocham ciebie - szepnęła. - I pamiętaj, cokolwiek by się stało, jestem z tobą.

Przesunęła pieśczołliwie dłoń po jego plecach, a Sam objął ją mocniej i całował jeszcze żarliwiej.

Leonie poczuła na swoim udzie jego twardego członka i znów zapłonął w niej ogień.

- Rozbierzmy się, dobrze? - szepnął Sam.

Z uśmiechem skinęła głową.

Rozebrali się nawzajem, powoli, uroczyście, ciesząc się swoją nagością.

Nie wiedzieli i nie dbali o to, co przyniesie jutro.

scandalous

CZĘŚĆ TRZECIA

# JESIEŃ

scandalous

## Rozdział 21

Na niebie zbierały się ciemne chmury. Powietrze było chłodne, przez okna kuchni w Van Vechten Manor wpadało szare światło. Zmieszane zapachy świeżo zmielonej kawy, soku pomarańczowego i naleśników jabłkowych Ermindy nie rozpraszały ponurego nastroju panującego w tym przyjemnym pomieszczeniu.

Minette smarowała masłem grzankę, spoglądając przez stół na Sama, który z apetytem pochłaniał naleśniki, czytając rozłożony na stole egzemplarz „New York Timesa”.

Ugryzła grzankę, popiła ją czarną kawą, po czym zapytała:

- Co zrobiłeś ze swoimi rzeczami?

Sam podniósł głowę znad gazety.

- Z rzeczami? - Był tak zaczytany, że przez chwilę nie wiedział, o czym ona mówi. - Och - rzucił szybko, gdy to do niego dotarło - wynająłem skład w pobliżu Hudson.

- Strata pieniędzy - uznała Minette. - Lepiej po prostu się ich pozbać.

- Zamierzam poszukać innego biura - oświadczył i napił się kawy. - Będę dalej pracować.

- Jak sobie chcesz - odparła, uśmiechając się słodko - ale bądź ostrożny z pieniędzmi, kochanie.

- Zawsze jestem - zapewnił ją. - Przecież wiesz, Minette. Kiedyś nawet żartowałeś z mojej oszczędności.

- Teraz to nie żarty, kochanie - stwierdziła chłodno. - Zamknęłam nasze wspólne konto.

- Co zrobiłeś? - zapytał zaskoczony. Położył widelec i odsunął gazetę.

- Pieniądze są na nowym koncie. Tylko na moje nazwisko - wyjaśniła. - To w końcu moje pieniądze. Mój fundusz powierniczy.

- Wiem o tym doskonale, Minette - odrzekł z żarem Sam. - Ale jeśli sobie przypominasz, korzystałem z tych pieniędzy, tylko żeby opłacić pomoc dla ciebie i paszę dla koni.

- W przyszłości zajmie się tym Dirck - oznajmiła. - Skoro się upierasz, żeby pracować, będziesz musiał żyć z tego, co ci zapłać.

- Dlaczego to robisz? - zapytał. - Z powodu mojej pracy?

Minette wzruszyła ramionami.

- Myśl sobie, co chcesz - odrzekła wymijająco, wyraźnie nie chcąc ciągnąć tej rozmowy.

- Świetnie, Minette. - Sam zdjął z kolan serwetkę i rzucił ją na stół. Jego cierpliwość wreszcie się wyczerpała, nie mógł spokojnie ścierpieć kolejnej zniewagi. - Czy to znaczy, że mam się też wyprowadzić? To przecież twój dom.

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Och, kochanie, nie spiesz się tak. Nie dam ci rozwodu, nie liczę na to - powiedziała. Dolała sobie kawy.

- Nie proszę cię o rozwód - rzucił Sam poirytowanym tonem. Odepchnął krzesło i wstał.

- Pędzisz do pracy, tak? - zapytała Minette. - Mam nadzieję, że wystarczy ci pieniędzy na benzynę, bo ode mnie nic nie dostaniesz.

Spojrzał na nią bez słowa. Obawiał się, że zaraz wybuchnie, więc odwrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni, starając się zapanować nad gniewem. Zaciskał pięści i zęby, w głowie mu się kręciło od tej najnowszej taktyki Minette - poniżającej go najbardziej.

Gorzej już być nie może, myślał, trzaskając za sobą drzwiami.

Jadąc autostradą do domu Leonie, zastanawiał się, co opętało jego żonę. Czy rozżłościła się tak tylko dlatego, że nie rzucił pracy? Nigdy wcześniej nie posunęła się tak daleko.

Najpierw wystawiła na sprzedaż biurowiec Van Vechtenów, należący przecież od dawna do rodziny. A teraz to. Nie obchodziły go pieniądze, zarabiał nieźle, remontując dom Leonie, miał też oszczędności z honorariów za prace, które wykonał w poprzednich latach. Nie, nie chodziło o pieniądze, tylko o to, jak potraktowała go Minette.

Dlaczego nagle zaczęła wyprawiać takie rzeczy? Co się stało? Kiedy próbował z nią rozmawiać, milczała albo podawała jakąś

kiepską wymówkę. Sam czuł, że kryje się za tym coś więcej, czego nie rozumiał, co trzymała w sekrecie. Ale co?

Czy to możliwe, że żona dowiedziała się o nim i Leonie? Nie pierwszy raz przyszło mu to do głowy, zwłaszcza wobec dzisiejszego zachowania Minette. Ale jeśli tak, to od kogo? I jak? Byli przecież nadzwyczaj dyskretni, a tych naprawdę intymnych chwil mieli tak mało, toteż Sam nie przypuszczał, żeby o nich plotkowano.

Więc o co chodzi? - pytał sam siebie.

Przyjechał do Octagon całkiem zdezorientowany. Doszedł do wniosku, że nie zniesie więcej upokarzającego zachowania Minette. Jego cierpliwość się wyczerpała.

Ale co robi? Nie miał pojęcia.

Erminda zbliżyła się do stołu i w milczeniu zaczęła sprzątać resztki niedojedzonego śniadania Sama. Popatrzyła na Minette, która piła kawę i przerzucała kolorowe czasopismo o koniach, nie zwracając uwagi na krzątanicę.

Dziewczyna odchrząknęła, ale Minette nadal ją ignorowała.

- Wiem, że to nie moja sprawa, pani Nicholson - odważyła się w końcu Erminda, starając się mówić spokojnie, choć kłębiły się w niej emocje. - Ale dlaczego pani się sprzecza z panem Samem? On tak się stara, żeby pani była zadowolona, szczęśliwa.

Minette podniosła wzrok znad magazynu. W jej niebieskich oczach zabłysło najpierw zdziwienie, a potem rozbawiona pogarda.

- Masz rację, Ermindo, to nie twoja sprawa - powiedziała. - Ty tu tylko pracujesz, pamiętaj.

- Nie chcę się wtrącać - odrzekła służąca. - Wiem tylko, że to bardzo dobry człowiek. Uprzejmy...

Minette z niesmakiem wydeła usta i zmierzyła ją wzrokiem.

- Chciałam dać ci wolny weekend, Ermindo - przerwała jej. Po rozbawieniu nie pozostało śladu.

Dziewczyna uniosła pytająco brwi.

- Ale zamiast tego zwalniam cię - warknęła Minette. - Pakuj rzeczy i wynoś się.

- Cholerna zdzira! - pieniała się Mossy. - Oczywiście zgłosiła biurowiec swojej ukochanej przyjaciółce, tej suce Andrei Walker. Nic dziwnego.

Nerwowo spacerowała po pokoju z telefonem w jednej ręce i nieodłącznym papierosem w drugiej.



- Więc dlaczego się tak złościysz? - zapytała Leonie.

- Dlaczego się złościysz! - zawołała Mossy. - To wielki interes. Już trzy razy chciałam pokazać ten budynek pewnemu bardzo zainteresowanemu facetowi z Nowego Jorku. I wiesz, co robi Andrea?

Nie czekała na odpowiedź, słowa wylewały się z niej niczym wzburzona rzeka.

- Za każdym razem wykręca się głupio, a to zgubionymi kluczami, a to innym gównem! Nie chce, żebym go pokazywała swoim klientom! To mnie doprowadza do szału!

- Posłuchaj, Moss - powiedziała Leonie - zapraszam cię dziś na obiad, wtedy pogadamy. Dobrze?

Chciała wysłuchać żalów przyjaciółki, ale teraz była bardzo zajęta. Mieszała farby, starając się uzyskać dokładnie taki odcień żółtego, jaki miał się znaleźć w salonie: maślany, niełatwy do osiągnięcia, jak się przekonała. Jej pochłapane farbą szorty i koszulka świadczyły o tym wyraźnie, podobnie jak ręce i nogi.

- Bosko! - ucieszyła się Mossy. - Chodźmy do jakiejś spelunki i urznijmy się w trupa!

- Nie to miałam na myśli - zaśmiała się Leonie - ale zrobimy, jak zechcesz.

- Fantastycznie.

- Przyjedź tu, jak skończysz pracę, i wtedy się zastanowimy, dokąd się wybierzemy,

- Zadzwoń do ciebie przed wyjazdem - zaproponowała Mossy.

- Świetnie - odrzekła Leonie. - Na razie.

- Na razie.

Mossy odłożyła słuchawkę i zgasiła papierosa w popielniczce. Ten wieczór pozwoli jej zapomnieć na chwilę o pracy. Po powrocie z Nowego Jorku dwoiła się i troiła, żeby nadrobić stracony czas. A teraz przez tę wredną Minette Nicholson Andrea Walker sprzątnie jej sprzed nosa niezłą prowizję od sprzedaży! Nawet więcej niż niezłą.

Ta suka ostatni raz psuje mi interesy, postanowiła Mossy. Może nie należą do miejscowych notabli, ale mam sposoby, żeby się zemścić. I zemścę się na pewno.

Erminda starannie złożyła ostatnią rzecz - białą bawełnianą bluzkę - i schowała ją ostrożnie do otwartej walizki na łóżku. Po tem sprawdziła, czy nic nie zostało.

Najpierw szafa. Pusta.

Następnie szuflady. Wszystkie opróżnione.

W końcu łazienka. Jak w dniu, kiedy się wprowadziła.

Zadowolona powiesiła w szafie uniformy pokojówki i zamknęła drzwi. Dobrze! Wstrętne, brzydkie ubrania należały do pani Nicholson, za nimi na pewno nie będzie tęsknić. Podeszła do łóżka, żeby zamknąć walizkę, ale nagle wpadł jej do głowy pewien pomysł.

Pobiegła do biblioteki, upewniając się, że pani Nicholson jej nie widzi i nie słyszy. Tam zabrała cenną pamiątkę i wróciła na górę do swojego pokoju.

Podeszła do walizki, podniosła dwie czy trzy rzeczy z wierzchu i z szacunkiem położyła fotografię Sama Nicholsona w srebrnej ramce. Przez długie chwile wpatrywała się w nią z miłością, po czym przykryła ją ubraniami i zamknęła walizkę. Oczy miała pełne łez.

Wstała i rozejrzała się po pokoju. A moglibyśmy mieć tu takie dobre życie, pomyślała. Tylko ja i pan Sam, bez tej wiedźmy.

Wzięła walizkę i wyszła z pokoju. Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię, pomyślała, porachuję się z Minette Nicholson za to, że zatruwała mi życie. Jeszcze tylko jedna rzecz i kończę tu pracę.

Mossy godzinami oprowadzała ludzi po domach, nawet tych na kółkach, ale wszystkie jej wysiłki poszły dziś na marne. Ani jeden z potencjalnych klientów nie był zainteresowany żadną z ofert. Dzień zakończył się kolejnym rozczarowaniem, kiedy zadzwoniła do Andrei Walker po klucze od biurowca Van Vechtenów.

- Och, tak mi przykro, Mossy - powiedziała tamta, przeciągając słowa - ale pewien biznesmen będzie oglądał budynek przez całe popołudnie. Wiesz, jak to jest. Wspólnicy, inspektorzy i tak dalej. To potrwa dość długo.

- Więc jutro - zaproponowała Mossy.

Słyszała, jak Andrea przekłada jakieś papiery.

- Ojej! - westchnęła - wygląda na to, że na jutro też jest ktoś umówiony. Hmm. Wiesz co, Mossy, zrobimy tak: jak klucze będą do wzięcia, to zaraz zadzwonię do ciebie. Dobrze? - I rozłączyła się.

Mossy trzasnęła słuchawką.

- Cholerna suka! - warknęła. Chwyciła papierosy, wyjęła jednego i zamyśliła się na chwilę. Potem sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer Leonie.

- Halo? - odezwała się tamta, zdyszana.

- Tu Mossy, skarbie - powiedziała cicho. - Muszę odwołać nasz obiad. Zmiana planów...

- Kto to taki? - zapytała Leonie wesoło,

- Nie, nie - odrzekła Mossy - nic w tym rodzaju. Po prostu...

Leonie czekała.

- ...mam pewną sprawę do załatwienia - dokończyła wymijająco przyjaciółka, co było u niej niezwykle.

- W porządku. - Leonie była ciekawa, dlaczego Mossy zachowuje się tak tajemniczo. - Zadzwoń do mnie, jak będziesz mogła.

- Jasne, skarbie! - rzuciła Mossy i odłożyła słuchawkę.

Złapała papierosy, zapalniczkę i wrzuciła je do torby, chwyciła kluczyki od samochodu i wybiegła. Wsiadła, uruchomiła silnik i z piskiem opon ruszyła sprzed domu.

scandalous

## Rozdział 22

Robotnicy skończyli pracę i pojechali, w domu panował spokój. Leonie zdrapała z siebie szczotką resztki farby i wytarła się ręcznikiem. Wyglądała jak Jackson Pollock, pomyślała, patrząc w lustro. Po porannej robocie od stóp do głów była poznaczona kolorowymi plamami, a pewnie jeszcze i teraz na jej ciele można by znaleźć całą paletę barw.

Jeśli nic gorszego mi się dzisiaj nie przytrafi, to jestem szczęściarą, pomyślała. Z łazienki na drugim piętrze zeszła na dół, do kuchni. Okropny smród poliuretanu prawie już się ulotnił - dzięki Bogu! - a podłoga wyglądała wspaniale. Stare, szerokie sosnowe deski lśniły w świetle. Potężne ciemne belki pod sufitem zostały oczyszczone i pociągnięte lakierem. Leonie dziękowała swojej szczęśliwej gwiazdzie, że dało się je odsłonić.

Zamontowano już szafki i urządzenia kuchenne, a wszystko wyglądało bardzo dobrze. Zdecydowała się pomalować szafki na zielono; był to odcień oliwkowy, taki, jaki uzyskiwano w dziewiętnastym wieku przy użyciu farb rozpuszczanych w mleku, często stosowanych w amerykańskich domach z tego okresu, i wyglądał świetnie przy słonecznie żółtych ścianach. Uchwyty szafek były z sosnowego drewna, pomalowanego bezbarwnym ochronnym lakierem. Blaty z prawdziwego dębu robiły wrażenie. Były grube, solidne i drogie, ale - uznała - warte każdego centa swojej ceny.

Podobnie jak cała reszta. Wiedziała, że skoro zamierza sprzedać dom zamożnym nowojorczykom, na urządzenia kuchenne będzie musiała wydać grubą forszę. Wysokiej klasy, kosztowne, profesjonalne wyposażenie kuchni było w modzie, nawet wśród tych weekendo-

wych domatorów, którzy gotowali rzadko albo wcale. Wiedziała, że wielu z nich prawie nigdy nie wchodzi do kuchni, ale drogie wyposażenie musiało tam się znaleźć, choćby tylko na pokaz. Zainstalowała więc solidną gazową kuchenkę Garland ze stali nierdzewnej, z podwójnym piekarnikiem i wyciągiem, lodówkę, też ze stali, i dwie super ciche zmywarki do naczyń.

Usłyszała pukanie do tylnych drzwi i poszła otworzyć. To był Sam.

- Jeszcze tu jesteś - powiedziała z uśmiechem. - Nie widziałam twojego wozu, myślałam, że już pojechałeś.

- Nie. Pomyślałem, że zostanę i pomogę ci w pracy.

- Nie musisz nic robić, ale cieszę się, że zajrzałeś. Chcę ci pokazać górę. Dużo dzisiaj zrobiliśmy z Jimmym. - Jimmy'ego, młodego człowieka, który pomagał jej w domu, znalazła Mossy.

- Dobrze - odrzekł Sam. - Ciekaw byłem, co tam robicie. Prawie cię nie widziałem.

- Chodźmy na górę. - Wzięła go za rękę i zaprowadziła na drugie piętro.

- Wielki Boże! - Sam westchnął z podziwu, gdy weszli do olbrzymiej sypialni. - Będzie piękna, Leonie. Już jest piękna.

- Tak. Też tak uważam.

- Materiał na ścianach jest świetny - dodał. - Przy tych belkach sufitowych wygląda tu jak we francuskim wiejskim domu.

Na tiulu w kolorze kremowej bieli były nadrukowane sielankowe scenki w czerni i szarości.

- Chciałam coś żywszego - powiedziała Leonie - ale wyszłoby za drogo. Więc kolor pojawi się w dodatkach. - Razem z Jimmym przez cały dzień cięła tiul, zszywała pasy i przypinała je do gładkiego materiału, który już pokrywał ściany.

- Muszę jeszcze przykleić wykończenie - powiedziała, podnosząc kremową taśmę z frędzlami. - Pani Miller szyje zasłony do łóżka i narzutę. Wszystko z tego samego materiału. - Łóżko było żelazne, z wysokim baldachimem, znalazła je w magazynie. Po obu stronach, na nocnych stolikach we francuskim stylu wiejskim Leonie ustawiła czarne, żelazne emaliowane lampy, a obok nich sterty książek i czasopism oraz małe wazoniki pełne rozkwitłych róż z ogrodu. Jej wierzchnia sofa służyła teraz jako kanapa. Stała przy przeciwległej ścianie, zarzucona pięknymi jedwabnymi poduszkami.

- Nie wniosłam jeszcze wszystkich mebli - powiedziała. - Na razie niech sobie stoją w stodole.

- Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś? - zapytał Sam, patrząc na nią z podziwem.

Leonie roześmiała się z dumą.

- Obserwowałam ludzi, którzy to robili w naszym apartamencie w Nowym Jorku i w domu w Southampton i uznałam, że potrafię to samo. Poza tym Jimmy bardzo mi pomaga. Szybko się uczy.

- Czy robotnicy zamontowali lustra? - zapytał Sam.

- Tak. Chodź zobaczyć.

Zajrzeli do dwóch przestronnych łazienek, wykończonych białym marmurem. Różniły się tylko tym, że w jednej było jacuzzi, a w drugiej oszklona kabina prysznicowa.

- Dobrze się spisali - powiedział Sam, oglądając spoiny między lustrem i marmurem.

- To prawda. - Popatrzyła na niego. - Chodź, obejrzymy resztę.

- Tak, bo zbliżamy się do końca. Jeśli chcesz coś zmienić, to powinnaś mi o tym powiedzieć teraz, potem będzie za późno.

- Nie myślałam o zmianach - oświadczyła. - Chcę ci tylko pokazać, co dzisiaj zrobiliśmy z Jimmym. /

Na pierwszym piętrze zaprowadziła go do wszystkich czterech sypialni i dwóch łazienek, gdzie wcześniej nakładała z Jimmym na ściany próbki farb i przypinała kawałki materiałów z których miały być uszyte zasłony.

- Jest pokój czerwony, niebieski, zielony i w odcieniu złota - powiedziała. - Chociaż tak naprawdę żaden z nich nie jest w jednym kolorze. To tylko barwy dominujące.

Sam spojrzął na nią z uśmiechem.

- Teraz widzę, że szkicownik naprawdę się przydał.

- Jeszcze jak! - odrzekła Leonie. - Chodźmy na dół.

W bibliotece pokazała mu przypięty do ściany kawał zielonego filcu.

- To kolor stołu bilardowego - powiedziała. - Kupiłam go za bezcen. Pokryję nim ściany, a zasłony będą z materiału w paski. Popatrz.

- A biblioteczki? - zapytał Sam.

- Mój przyjaciel Pierre z Nowego Jorku przyjedzie i zrobi je na mahoń - wyjaśniła Leonie. - Jest świetny, udaje mu się to znakomicie. Zobaczysz.

- To robi wrażenie - przyznał Sam. - I wygląda na znacznie droższe, niż jest naprawdę.

- Właśnie o to chodzi.

W salonie pokazała mu żółty kolor, który w końcu uzyskała po wypróbowaniu kilku mieszanek.

- Pasuje do żółtego jedwabiu zasłon, prawda?
- Tak, idealnie - potwierdził Sam.
- Tu będzie jasno i przestronnie - powiedziała. - Biblioteka jest oczywiście dużo ciemniejsza. Bardziej... mhm, jak sądzę.

Przeszli z salonu do jadalni, gdzie Leonie zatrzymała się, marszcząc brwi.

- Ten pokój to prawdziwe wyzwanie - oświadczyła. - Aż się prosi o malowidła na ścianie nad boazerią. Ale...

Sam się uśmiechnął.

- Twoje słynne „ale”? O co tym razem chodzi?
- Ręczna robota kosztowałaby o wiele za dużo. Można kupić tapety z malowidłami, niektóre są naprawdę piękne, ale też za drogie. A gdybym kupiła tanie, to będą wyglądały... no, zbyt tandetnie! Dlatego musiałam pójść na kompromis. W końcu znalazłam tę chińską tapetę, która się nadaje. Nie była tania, jednak wygląda doskonale.
- Wskazała na pas przypięty do ściany.

Sam spojrzał na tapetę z chińskim motywem.

- Pochwalam twój wybór - powiedział z uśmiechem.
- Teraz tylko czekam, aż twoi robotnicy skończą tu z parkietem. Malowania i tapetowania nie można zacząć przed zrobieniem podłóg. Nie położę też więcej materiału. Nie chcę, żeby się zniszczył.
- To nie potrwa długo - zapewnił ją Sam. - Ale nie będę ich poganiać. Chcę, żeby zrobili to starannie.

- Nie czepiam się - odrzekła. - Tłumaczę ci po prostu, jak jest.

- Wcale nie pomyślałem, że się czepiasz - powiedział Sam, odwracając się ku niej. Popatrzył jej w oczy, objął ją i pocałował w czoło.

Leonie przytuliła się do niego. Potem odsunęła się i zaproponowała:

- Może napijemy się wina?
- Dobry pomysł - zgodził się Sam.

Siedzieli w kuchni, sącząc wino. Poranne burzowe chmury wciąż wisały nisko, zapowiadając deszcz, ale jeszcze nie padało. Szare niebo i chłód w powietrzu przypominały o jesieni, jednak Sam i Leonie nie zauważali nieprzyjemnej pogody.

- Zaczęłam dzwonić do moich dawnych klientów z Nowego Jorku - powiedziała Leonie. - Dwie czy trzy osoby bardzo się zainteresowały tym domem.

- Już? - zdziwił się Sam. - Szybko działasz.

- Wiesz, jak to jest. Dla większości ludzi czas to pieniądz, zwłaszcza dla tych obrzydliwie bogatych typków. Na szczęście mają do mnie zaufanie i wiedzą, że urządzę dom tak, że im się spodoba. Wiedzą też, że mogą się rano wprowadzić, a wieczorem zaprosić gości. Bez żadnych kłopotów. Praktycznie wszystko będzie gotowe.

- Nie do wiary!

- Naprawdę - zapewniła go. - W każdym razie prosiłam Mossy, żeby zaczęła szukać mi następnego domu do renowacji. I chciałybym pracować z - zgadnij, z kim? - Spojrzała na niego z figlarnym uśmiechem.

- Z kim? - zażartował. - Chyba nie ze mną?

- Oczywiście że z tobą - oznajmiła. - I to może już niedługo. Zobaczymy.

Sam wpatrywał się w jej twarz, rozświetloną podnieceniem, entuzjazmem i nadzieją.

- To najlepsze, co mogłoby się zdarzyć - powiedział. - Wyobrazasz sobie? My dwoje i praca nad następnym projektem. Razem.

- Miałam nadzieję, że spodoba ci się ten pomysł - ucieszyła się Leonie. - Uważam, że stworzymy świetny zespół.

Sam pochylił się przez stół i uściśnął czule jej dłoń.

- Ja też tak myślę.

Leonie spojrzała mu w oczy.

- Zastanawiałam się też - powiedziała z powagą w głosie - czy nie moglibyśmy... Nie chcę być nachalna ani bezczelna, ale... czy nie moglibyśmy założyć spółki. - Napiła się wina, a potem ciągnęła: - Ja mogłabym kupować stare domy, a ty ze swoimi nieocenionymi zdolnościami remontowałbyś je. - Dotknęła jego ręki. - Mogłabym też urządzić wnętrza, tak jak tutaj, a potem Mossy zajęłaby się sprzedażą. Jestem przekonana, że zdołalibyśmy przyciągnąć nadzianych nowojorczyków. Jeden, drugi, a potem już pójdzie łatwo - swój ciagnie do swego i tak dalej. - Umilkła i spojrzała na niego uważnie, próbując wyczytać z jego twarzy, co o tym myśli. - To tylko pomysł, Sam, ale co o tym sądzisz?

Przez chwilę po prostu patrzył na nią, przetrawiając to, co właśnie usłyszał.

- Czasami myślałam, że to los nas z sobą zetknał, Leonie - odezwał się w końcu. - Że to spotkanie było nam przeznaczone. Teraz jestem przekonany, że tak było naprawdę. To... To świetny pomysł.



Ogarnęła ją fala ulgi pomieszanej z radością. Nie była pewna, czy mu się spodoba jej propozycja. Mógł uznać, że taka spółka zagraża jego niezależności albo że Leonie stara się zbliżyć do niego za bardzo, za szybko.

Nasz związek, myślała, jest wyjątkowy. Nigdy w życiu nie miałam lepszego seksu. A poza tym rozumieli się, nadawali na tej samej fali, przynajmniej w większości wypadków. I byli związani ze sobą emocjonalnie, w tym tajemniczym, ukrytym miejscu zwanym duszą - czyż mogło być lepiej? Raczej nie.

Ale wspólna praca? Wielu mężczyzn prawdopodobnie nie życzyłoby sobie tego. Zapewne chodziło tu o jakąś męską dumę.

Spojrzała na niego i skinęła głową.

- Myślę dokładnie tak samo. Że to nasze przeznaczenie. Nasz los.

I to prawda. Wierzyła, że razem będą stanowić niezwykłą siłę, która zdoła pokonać przeszłość. Ze razem mogą dokonać wielkich rzeczy.

Sam nie pamiętał, czy kiedykolwiek był tak szczęśliwy, tak pełen miłości i nadziei na przyszłość. Jego strach przed zaangażowaniem się, lęk przed własnymi uczuciami, przed zaufaniem samemu sobie - a co dopiero innemu człowiekowi - zniknął, stawał się zaledwie cieniem. Wiedział, że to dzięki uczuciu do kobiety, która tu przy nim siedziała.

Ta miłość narastała od wiosny, od pierwszego potężnego zaurazowania fizycznego, przez lato, by teraz stać się siłą, z którą należało się liczyć.

Ta piękna wizja miała tylko jedną skazę, zagrażającą ideałowi, który on i Leonie razem tworzyli: Minette.

Kiedy dopili wino i Sam zaczął się zbierać do powrotu, ogarnęła go nagła determinacja. Wiedział, co powinien zrobić, i postanowił, że dzisiaj po powrocie do domu to zrobi.

## Rozdział 23

Unosiła się na wodzie twarzą w dół.

Jasnoblond włosy rozłożyły się wachlarzem po obu stronach głowy, poruszone leciutko przez nikłą, wzbudzoną wiatrem falę. Przy wąskim kamiennym murku w końcu basenu stał, dziwnie tu nie na miejscu, pusty wózek inwalidzki.

Wszystko spowijał całun niesamowitej ciszy, którą zakłócał jedynie poszum wiatru w drzewach. Nawet wczesnojesienne cykady zaprzestały swojego śpiewu, jakby z szacunku dla zmarłej.

Zdawało mu się, że patrzy na nią w milczeniu przez całą wieczność, choć mogły upłynąć zaledwie sekundy. Nie wiedział. Czas się zatrzymał, skupiony na tym przerażającym obrazie.

Miał wrażenie, że unosi się nad tą sceną, patrzy na nią z góry: ogląda ciało w basenie, wózek na jego końcu i swoją samotną postać, oniemiała i nieruchoma, wpatrzoną w bezwładne, pozbawione życia ciało.

Wreszcie, niczym w transie, odwrócił się, poszedł z powrotem do oranżerii i wziął telefon. Wybrał 911 i czekał, rozglądając się po pokoju. Postrzegał go teraz zupełnie inaczej, jakby znalazł się tu po raz pierwszy.

Bujne, kwitnące rośliny i pnącza, niegdyś tak piękne w swojej obfitości, nagle stały się wrogami, zdawały się wyciągać doń gałązki, by go udusić, niczym palce wytykające mu wstyd i poczucie winy.

- Mówi Sam Nicholson - powiedział do telefonistki, gdy wreszcie odebrała. Podał jej adres. - Chodzi o moją żonę. Nie żyje. Znalazłem ją w basenie.

Po skończonej rozmowie poszedł do stolika z alkoholami i nalał sobie whisky. Wypił ją jednym haustem, po czym nalał następ-

na porcję, do której dodał lód i odrobinę wody. Przez kilka chwil stał, bezmyślnie patrząc przed siebie. Potem usiadł, tłumiąc desperackie pragnienie, by zadzwonić do Leonie i opowiedzieć jej, co się stało.

Nagle zerwał się i wyszedł do holu. Nie mógł dłużej siedzieć w oranżerii, mając przed sobą ten widok. Musiał się stąd oddalić. Od ciała -jej ciała.

Usiadł ciężko na kręconych schodach w holu. Położył łokcie na kolanach, oparł twarz na rękach i wbił wzrok w drzwi wejściowe, jakby tam mógł znaleźć odpowiedzi na pytania kłębiące mu się w głowie niczym jadowite węże.

Po długich, niekończących się minutach -jakby czekał całe życie - rozległ się sygnał od bramy wjazdowej. Sam wstał i przycisnął guzik otwierający wrota, nie pytając, kto to.

- O której pan wrócił do domu, panie Nicholson? - zapytał detektyw. Obrzucił wzrokiem nobliwie urządzonej bibliotekę, po czym spojrzął badawczo na Sama.

- Około siódmej albo wpół do ósmej - odpowiedział Sam. - Coś koło tego. Nie wiem dokładnie.

- Gdzie pan był?

- Pracowałem. Prowadzę renowację domu w dole rzeki. Potem pojechałem do biura... do mojego dawnego biura - poprawił się - po papiery, które tam zostawiłem.

Pytania ciągnęły się bez końca, nieprzerwanie i często się powtarzały. Przy basenie pracowali lekarz i fotograf, a po całym domu i posiadłości kręciło się wielu policjantów.

Po jakimś czasie detektyw poszedł porozmawiać z lekarzem, a Sam wszedł do oranżerii, żeby sobie nalać następnego drinka. Basen był jasno oświetlony; w jaskrawym świetle widział, jak sanitariusze zasuwały zamek czarnego worka. Wyrafinowana elegancka Minette okryta zwyczajnym czarnym brezentem zatraciła swoje fizyczne cechy, swoje człowieczeństwo. To ostateczne, pomyślał.

Ten widok budził w nim odrazę, ale nie mógł oderwać od niego oczu, dopóki mężczyźni nie zniknęli z noszami za domem.

Kiedy w końcu odwrócił się, by pójść do biblioteki, zobaczył, że obserwuje go detektyw - nazywał się Biegner. W ręku trzymał przezroczystą plastikową torebkę.

- Mamy tu istotny problem, panie Nicholson - oznajmił.

Sam spojrzął na niego.

- O co chodzi? - zapytał odruchowo, właściwie nie czując ciekawości. Od razu pozwolił im przeszukać dom i całą posiadłość, podobnie jak zgodził się odpowiadać na pytania.

- Chodzi o liścik, panie Nicholson. Zgaduję, że napisała to pańska żona - powiedział. - Znaleźliśmy go na biurku w tym gabinecie przy kuchni.

Sam słyszał słowa, ale ich znaczenie do niego nie docierało.

- Tu jest napisane, że ktoś czuje do niej nienawiść. „On” nienawidzi i chce się jej pozbyć. - Spojrzał na Sama zmęczonymi, podpukniętymi oczami. - Wiadomo panu coś na ten temat?

- Nie - odrzekł Sam. - Nic nie wiem.

- Wspomniał pan, że powinna tu być pokojówka, tak? - Biegner zmienił temat.

- Tak - potwierdził Sam. - Erminda. Mieszka u nas. Nie wiem, gdzie jest.

- To może - zaproponował policjant, drapiąc się w głowę - pokaże mi pan jej pokój. Rozejrzę się tam.

Sam zaprowadził go na górę. Staął i rozejrzał się po pustym pokoju, po czym ze zdziwionym wyrazem twarzy odwrócił się do detektywa.

- Hmm - Biegner chrząknął, drapiąc się po głowie. - Wygląda na to, że się ulotniła.

- Nie mam pojęcia, co się stało - powiedział Sam. - Rano, kiedy wyjeżdżałem, Erminda tu była. O ile mi wiadomo, nie zamierzała nas opuścić.

- Domyśla się pan, gdzie może być? - zapytał Biegner.

- Nie. Wspominała kiedyś, że ma krewnych w Nowym Jorku, ale nie wiem dokładnie, jakich i gdzie. - Nagle zdał sobie sprawę, jak niewiele wie o Ermindzie; kobieta, która przez dłuższy czas mieszkała z nim i jego żoną pod jednym dachem, była dla nich prawie zupełnie obca.

Ale jedno wiedział: nienawidziła Minette.

- Chcesz przyjechać? - zapytała Leonie. Głos miała zatroskany, ale spokojny. Starała się panować nad sobą. Nie wolno dokładać Samowi kolejnych zmartwień.

Trochę już doszła do siebie po pierwszym szoku, choć nie w pełni zdawała sobie sprawę z tego, co się stało. Trudno jej było uwierzyć w coś tak przerażającego.

To się zdarza tylko w filmach, myślała. Nie w normalnym życiu. Nie w moim życiu.

Wiedziała, że Sam potrzebuje jej teraz bardziej niż kiedykolwiek, sama też rozpaczliwie pragnęła z nim być, wspierać go i pocieszać, jak tylko to możliwe w tych okolicznościach.

- Może powinieneś oderwać się od tego koszmaru - dodała.

Sam się zawałał.

- Nie wiem, czy powinienem się stąd oddalać. - Miał oszołomiony, niepewny głos. - To znaczy... Oczywiście, że chciałbym do ciebie przyjechać. Tylko nie wiem, czy w tej sytuacji to dobry pomysł.

- Och, Sam! - zawołała z oburzeniem Leonie. - Boże! Przecież oni chyba nie myślą, że miałeś z tym coś wspólnego!

- Nie wiem - odrzekł przygnębiony. - Ale uprzedzili mnie, że bym nigdzie nie wyjeżdżał. I to bez owijania w bawełnę. Ten cały Biegner, detektyw od zabójstw, powiedział, że jutro będą mieli do mnie więcej pytań. Robią sekcję zwłok.

- Ile czasu to potrwa? - zapytała Leonie.

- Prawdopodobnie około dwóch dni. Biegner mówił, że patolog nie ma dużo roboty, a biorąc pod uwagę, kim jest Minette - kim była - poprawił się - zrobią to jak najszybciej.

- Przecież powiedziałaś im wszystko, co wiesz. Nie przejmuj się. Kiedy to się stało, byłeś tutaj!

- Prawdopodobnie - odparł Sam.

- Jak to „prawdopodobnie”? Stąd pojechałeś do domu.

- Zatrzymałem się jeszcze w biurówcu Van Vechtenów, żeby zabrać pudło z dokumentami, które tam zostawiłem - wyjaśnił. - Wszystkie inne rzeczy zabrałem wcześniej, ale te rachunki były mi potrzebne dla księgowego. Dlatego nie chciałem ich oddawać do magazynu. Zostawiłem tam pudło, żeby je później zabrać.

- To nie mogło zająć dużo czasu - stwierdziła Leonie. Mimo niezachwianej wiary w niego nie mogła opanować uczucia lęku, drobnych, kłujących igiełek strachu.

- Nie - odrzekł Sam. - Byłem tam nie dłużej niż piętnaście, może dwadzieścia minut. Wiesz, rozejrzałem się po budynku. Coś w rodzaju pożegnania. To jedyne biuro, jakie kiedykolwiek miałem.

- Rozumiem - powiedziała. Zakręciło jej się w głowie, kiedy pojęła, co to znaczy. Cała ta sprawa okazywała się nie tak prosta, jak początkowo sądziła.

- A co z pokojówką? - zapytała. - Wiesz, co się z nią stało?

- Nie. Ulotniła się bez śladu. - Sam westchnął. - Policja jej szuka. Ściągnąłem rachunki telefoniczne z ostatnich kilku miesięcy i znalazłem numer w Queens czy w Brooklynie, pod który dzwoniła.

Przynajmniej sędzę, że to ona. My nie znamy nikogo w dzielnicach z numerami zaczynającymi się na siedemset osiemnaście.

- Dobrze pomyślane - pochwaliła go Leonie.

- To wszystko jest takie dziwne. Nie wiem, co tu zaszło - mówił dalej. - Żadnych śladów włamania. Nie! A ten dom jest jak jakaś cholerna forteca. - Zamilkł na chwilę, a potem dodał: - To chyba nie wygląda dla mnie za dobrze, Leonie. Wręcz kiepsko. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę ten liścik. - W jego głosie brzmiało znużenie.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków i nie martw się na zapas - odparła rozsądnie. - Nawet nie wiesz, co tam dokładnie było. Zresztą to nie może być żaden dowód.

- Może masz rację - zgodził się. - Nie myślę logicznie. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Nic dziwnego! - zawołała. - Właśnie znalazłeś zwłoki żony w basenie. Boże, przecież jesteś w szoku. Przyjedź tutaj albo ja przyjadę do ciebie. Nie powinieneś być teraz sam.

- Dziękuję ci, Leonie. Naprawdę to doceniam. Ale powinienem raczej tu zostać, żeby policja mogła się ze mną skontaktować, jak coś znajdą. Nic mi nie będzie. Poza tym ten detektyw powiedział, że bym nie opuszczał domu.

- To wezwij lekarza - poradziła. - Masz jakieś tabletki na uspokojenie? Albo nasenne?

- Coś się znajdzie. Wezmę coś, jak będę musiał, ale nie ma potrzeby wzywać lekarza. Czuję się tylko trochę... dziwnie. Jak gdyby odrętwiały. Jakby to wszystko było nierealne... nie wydarzyło się naprawdę.

- Och, mój kochany - powiedziała ciepło. - Tak bym chciała być teraz przy tobie. Możesz do kogoś zatelefonować?

- Nie chcę dzwonić do nikogo. Jediną osobą, z którą rozmawiam, jesteś ty. - Westchnął. - To straszne, że cię tym obarczam, ale...

- Natychmiast przestań! - rozkazała. - Niczym mnie nie obarczysz, rozumiesz? Kocham cię, Sam. A to znaczy, że cokolwiek się zdarzy tobie, dotyczy także mnie. To oczywiste, że do mnie dzwonisz.

- Bardzo cię kocham - szepnął cicho. - Dzięki tobie jest mi znacznie lepiej. Wystarczy, że słyszę twój głos.

- Możesz go słyszeć, kiedy zechcesz. Jeśli sobie życzysz, możemy rozmawiać całą noc.

- Zadzwoń rano - odrzekł Sam. - Muszę kończyć. Mam przecucie, że o świcie będę miał gości z policji.

- Myślisz, że uda ci się zasnąć? - zapytała Leonie, wiedząc, że to prawie niemożliwe.

- Nie wiem, ale się postaram. Jutro prawdopodobnie czeka mnie ciężki dzień.

- Sam - poprosiła - nie wahaj się do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Obiecujesz?

- Obiecuję - przyrzekł i powtórzył: - Kocham cię, Leonie. Z całej duszy. Chyba o tym wiesz.

- Wiem, Sam.

Rozłączyli się. Sam wędrował bez celu po domu, od pokoju do pokoju, nie wiedząc, czego szuka, i rozglądając się niewidzącym wzrokiem. W końcu wyciągnął się na dużej skórzanej kanapie w bibliotece i próbował się zdrzemnąć po wydarzeniach dnia.

Ale sen nie przychodził. Zamiast niego jawiło mu się ciało Minette, groteskowo unoszące się na powierzchni basenu.

W chwili, gdy Leonie odłożyła słuchawkę, ponownie rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę. To pewnie znowu Sam, pomyślała. Chce jeszcze porozmawiać.

- Halo?

- Cześć, skarbie, to ja. - W głosie Mossy tym razem nie brzmiała charakterystyczna ironia.

- Cześć, Moss - odezwała się znużona Leonie. Dawało o sobie znać fizyczne i emocjonalne wyczerpanie.

- Nie dzwoniłabym tak późno, ale usłyszałam, co się stało.

- Dość szybko - zauważyła Leonie. - Świat jest mały, prawda?

- Nie ma to jak poczta pantoflowa - odparła przyjaciółka. - Chciałam tylko zapytać, czy potrzebujesz towarzystwa.

- Nie trzeba, czuję się dobrze, Mossy - odpowiedziała. Ale pomyślała, że to nieprawda. Wcale nie czuła się dobrze.

- Jesteś pewna, skarbie? - dopytywała się Mossy. - Mogę natychmiast przyjechać.

- Nie, Mossy. Chcę być sama i odpocząć. Padam z nóg. To był długi dzień, tuż przed twoim telefonem długo rozmawiałam z Samem.

- Jak on to znosi? - zapytała Mossy z ciekawością. Choć sobie obiecywała, że nie będzie wścibska, pokusa okazała się zbyt silna.

- Myślę, że jest w szoku - powiedziała Leonie. - To wszystko jeszcze do niego nie dotarło. Jest też trochę zdenerwowany, może nawet wystraszony. Uważa, że policja go podejrzewa.

- Nic dziwnego - oświadczyła przyjaciółka. - Panuje ogólne przekonanie, że on to zrobił.

Zmęczenie Leonie zniknęło natychmiast; obudził się w niej instynkt obronny.

- Gdzie słyszałaś te... te bzdury? - rzuciła wyzywająco.

- Pojechałam na drinka do Kinderhook - wyjaśniła Mossy. - Tu tejsi ludzie znali już wszystkie drastyczne szczegóły od gliniarzy, którzy byli na miejscu wypadku. Wiesz, jak to jest w takich małych miasteczkach.

- Tak, wiem - odrzekła najeżona Leonie. - Albo właśnie się dowiaduję. Wiem też, że to absolutna bzdura.

- Jasna cholera, skarbie. Powtarzam ci tylko, co słyszałam - powiedziała obronnym tonem Mossy. - Ja go o nic nie oskarżam.

- Ale ty też uważasz, że jest winny, prawda, Mossy? - spytała drżącym głosem Leonie, nie starając się ukrywać wrogości.

- Nic takiego nie myślę! - zaprzeczyła przyjaciółka, chcąc ją udobruchać.

- To dobrze! Bo Sam nie jest zdolny do czegoś tak... tak podłego. Zresztą on był ze mną aż do obiadu! Potem pojechał do swojego dawnego biura, żeby coś zabrać.

- Daj spokój. Przedemną nie musisz go bronić, skarbie. To ci cholerni gliniarze twierdzą, że on to zrobił. - Mossy zamilkła na chwilę i zaciągnęła się dymem. - No i oczywiście niektórzy z tych, co go znają, albo tak im się zdaje.

- To znaczy? - rzuciła Leonie, wciąż rozgniewana.

- Och, wiesz - plątała się Mossy. - Stare plotki, ludzie nie mają co robić, to wymyślają głupoty. Ożenił się z nią dla pieniędzy. Ona była kaleką, więc chciał się jej pozbyć. Takie idiotyzmy.

Leonie zrobiła kilka głębokich wdechów. Miała ochotę krzyknąć ze złości, choć wiedziała, że tamta tylko powtarza zasłyszane opinie. Ale takie złośliwe plotki, pomyślała, mogą być groźne. Nawet bardzo.

- Lepiej zmieńmy temat, Mossy - zaproponowała. - Takie gadanie doprowadza mnie do szału. Zaraz zacznę rwać włosy z głowy.

- Przepraszam, skarbie - kajała się przyjaciółka. - Widzę, że cię zdenerwowałam, a nie miałam takiego zamiaru. To ostatnia rzecz, jaką chciałam zrobić. Jestem tak zmęczona, że nie myślę rozsądnie.

- A co się stało? - zapytała Leonie. - Co porabiałaś?

- To i owo. Nic ważnego - odrzekła wymijająco. Jej głos zabrzmiał nagle fałszywie lekko i wesoło, jakby chciała coś ukryć - zorientowała się natychmiast Leonie.



Skoro nie miała ochoty się zwierzać, Leonie postanowiła nie drażyć tematu.

- Przepraszam - powiedziała w końcu - muszę kończyć. Jestem bardzo zmęczona, powinnam się przespać. Chcę też, żeby linia była wolna, bo może Sam spróbuje jeszcze zadzwonić.

- Oczywiście. I pamiętaj, skarbie, że gdybyś mnie potrzebowała, wystarczy telefon.

- Dzięki, Mossy - odrzekła Leonie. - Doceniam to.

Gdy się rozłączyły, pomyślała: Bóg z tobą, Moss, ale dziś nie potrzebuję takiej przyjaciółki, choć masz dobre intencje. Nie. Potrzebuję kogoś, kto mnie pocieszy, a nie pograży w rozpacz.

Był środek nocy, kiedy Leonie wreszcie zdołała zdrzemnąć się w sypialni na górze. Leżała na łóżku, owinięta tylko jedwabnym szlafrokiem. Nagle ze snu wyrwał ją jakiś cichy dźwięk.

Co to za hałas?

Poderwała się, całkowicie rozbudzona i przytomna. Szukała po omacku włącznika lampki przy łóżku, gdy wydało jej się, że mimo ciemności dostrzega jakiś ruch w drzwiach wiodących na schody.

Boże, tu naprawdę ktoś jest!

Serce zaczęło jej walić, puls przyspieszył, czuła jego gwałtowne uderzenia w skroniach. Ale zanim zdążyła pomyśleć, co robić, zanim otworzyła usta do krzyku, usłyszała, że ktoś wołają cicho po imieniu.

- Leonie?

Poznała głos Sama. To on? Szeptał do niej w mroku?

- Sam? - zawołała. - Sam!

Wpadł do pokoju i objął ją, obsypując pocałunkami.

- Boże! - powiedziała. - Przestraszyłeś mnie na śmierć.

- Przepraszam. Przepraszam. Nie chciałem.

- W porządku - uspokoiła go, klepiąc po plecach, jakby był dzieckiem.

- Musiałem być z tobą - wyznał drżącym szeptem. - Po prostu musiałem.

Później, gdy leżeli wyczerpani w ciemnym pokoju, Leonie uzmysłowiła sobie ironię sytuacji. W obliczu smutku i śmierci oni kochali się radośnie, afirmując życie.

Jednak ta radość zaraz zgasła stłumiona obawą.

Leonie zastanawiała się, zresztą nie po raz pierwszy: Boże, czy to początek, czy koniec?

## Rozdział 24

Weekend włókł się jak nigdy, wypełniony udręczonym oczekiwaniami na... Na co? Sam i Leonie nie mieli pojęcia, czego się spodziewać.

W sobotę i niedzielę Leonie gorączkowo pracowała w domu, starając się zagłuszyć lęk, ukryty tuż pod powierzchnią świadomości. Przypinała tkaniny, przyklejała taśmy wykończeniowe, mieszała farby, porządkowała ogród. Jednak mimo wszelkich starań strach raz po raz wypływał, nie dawał jej spokoju, niszcząc jej dopiero co odzyskane poczucie własnej wartości i nadzieję na szczęście.

Czy jej świat - ich świat - tak niedawno jeszcze pełen szczęścia i nadziei, zawalił się z hukiem? Wymyślała sobie coraz to nowe zajęcia, pracowała bez wytchnienia, bez przerwy, aby tylko zapamiętać nad bolesną obawą. Tylko w nocy, kiedy zjawiał się Sam, wątpliwości i lęki zniknęły, jednak rano, gdy odchodził, ożywały na nowo.

Sam spędzał samotnie dni w Van Vechten Manor, choć przebywanie w tym ogromnym domu - w domu śmierci, jak go nazywał w myślach - było trudne. Sumiennie odbierał telefony od przyjaciół oraz krewnych Minette i czekał na dalsze kroki policji. Nic się jednak nie działo. Pustkę po śmierci Minette i brak Leonie wypełniała tylko przeraźliwa rzeczywistość, która zaczęła do niego z wolna docierać. Był obezwładniony smutkiem, poczuciem winy i coraz bardziej paraliżującym strachem.

Odrętwienie, które go opanowało, gdy znalazł zwłoki Minette, zniknęło. W jego miejsce pojawił się uporczywy, dręczący niepokój, z którego nie mógł się otrząsnąć, który wypełniał każdą godzinę dnia i nie pozwalał mu zasnąć.

Codziennie rano jeździł do domu Leonie, żeby wyznaczyć ekipie prace do wykonania, po czym wracał do siebie.

Pewnego popołudnia po kilku dniach przyjechała w końcu policja. Brzęczyk przy bramie wjazdowej zabrzmiał w uszach Sama przenikliwie i złowieszczo. Biegner, detektyw prowadzący sprawę, wszedł sam. Miał ten sam znużony wyraz twarzy.

- Otrzymaliśmy wstępne wyniki sekcji - oznajmił rzeczowo.

Znów siedzieli w bibliotece. Sam wciąż nie mógł wejść do oranżerii, którą kiedyś budował z taką radością i z której był taki dumny. Widok basenu za oknem sprawiał, że oranżeria wydawała się teraz skażona złem i nie mógł przestać o tym myśleć.

- Czego się dowiedzieliście? - zapytał. Wpatrywał się w twarz Biegnera, ale nie umiał z niej nic wyczytać.

Detektyw odpowiedział mu pytaniem.

- Czy pańska żona dużo piła?

Sam popatrzył na niego zdziwiony.

- Nie. To znaczy... od czasu do czasu jakiegoś drinka - odrzekł. - Wie pan, przy okazjach towarzyskich. Czasem kieliszek przed obiadem, ale to wszystko. Dlaczego pan pyta?

Tamten znów odpowiedział pytaniem:

- Łykała jakieś pigułki? Brała leki na uspokojenie czy coś podobnego?

- Nie! - zaprzeczył Sam stanowczo, poirytowanym tonem. Zaczynała tracić cierpliwość. Pytania policjanta, chociaż wydawały się bezsensowne, sprawiały wrażenie ataku. - Dlaczego pan pyta? O co w tym wszystkim chodzi?

Biegner spojrzał na niego zmęczonymi oczami.

- Badania wykazały, że miała we krwi potencjalnie śmiertelną mieszankę alkoholu i secobarbitalu, leku na uspokojenie sprzedawanego tylko na receptę. I jeszcze sporą dawkę oxicodonu. Znajduje się w percodanie, środku przeciwbólowym.

Oszłomiony Sam przez chwilę wpatrywał się w detektywa bez słowa.

- Ja... nie rozumiem - wyjąkał w końcu. - To niemożliwe. Nigdy nie widziałem, żeby Minette za dużo wypijała. - Skrzywił się. - Od lat. Od dnia, kiedy... kiedy się zaręczyliśmy. Może pan zapytać kogoś, kto ją znał.

- A pigułki? - zapytał Biegner.

- Nie ma mowy - oświadczył kategorycznie Sam. - Prawie nigdy nic nie brała. Od czasu, kiedy wiele lat temu mieliśmy wypadek sa-

mochodowy, Minette nienawidziła leków. Nie zażywała nawet aspiryny, chyba że naprawdę musiała. - Zamilkł i spojrzął z napięciem na detektywa. - To musi być jakaś pomyłka - dodał.

- Nie ma żadnej pomyłki, panie Nicholson - odparł Biegner. - Patolog stwierdził, że umarłyby z przedawkowania. Gdyby nie utonęła.

Utonęła!

Na dźwięk tego słowa Sam dostał gęsiej skórki. To jedno słowo, tak zwięźle ujmujące przyczynę śmierci, wypowiedziane tak obojętnie, sprawiło, że całe wydarzenie stało się realne i straszne. Oczami wyobraźni ujrzał usta Minette wypełniające się wodą, bijące szaleńczo ramiona, słyszał jej wołanie o pomoc.

Żółć podeszła mu do gardła i przez chwilę myślał, że zaraz zwymiotuje. Zerwał się i ruszył do łazienki, ale w tej samej chwili zadzwonił telefon. Sam zatrzymał się, przełknął ślinę, zawrócił i podniósł słuchawkę.

- Halo? - Przez chwilę słuchał, po czym podał bezprzewodowy telefon detektywowi. - To do pana - powiedział.

Biegner podziękował skinieniem głowy.

- Tak - warknął. Potem słuchał przez chwilę, a Sam go obserwował. - Przywieźcie ją tutaj - polecił detektyw. - Wyłączył telefon i oddał go Nicholsonowi. - Ta kobieta, która u was pracowała...

- Erminde Gomez - odpowiedział mu Sam.

- Właśnie. - Biegner westchnął ciężko. - Zaraz ją tu przywiozą.

Leonie ostrożnie wzięła gazetę z półki, gdzie ją schowała, żeby o niej nie myśleć. Było to grube, niedzielne wydanie, ale oboje postanowili niczego nie czytać. Kiedy byli razem, nie chcieli, żeby coś im przypominało o ostatnich wydarzeniach, a już na pewno nie zamierzali czytać spekulacji w polującej na skandale prasie.

Teraz została sama - robotnicy mieli przerwę na lunch, niektórzy pojechali do domów, inni siedzieli w cieniu i jedli - i nagle poczuła, że musi poszukać tamtego artykułu.

Położyła gazetę na kuchennym stole i spojrzała na nią z lękiem i fascynacją. Nie musiała niczego szukać. Nagłówki niemal krzyczały: „Spadkobierczyni Van Vechtenów utonęła w swojej luksusowej posiadłości”.

Obok tekstu zamieszczono duże zdjęcie Minette Nicholson.

Leonie wzięła głęboki uspokajający oddech i przyjrzała się fotografii. Minette była ubrana w piękną balową suknię i miała na sobie biżuterię, która musiała być warta fortunę. Nie krzykliwą - dys-

kretną, w dobrym guście. Niemniej jednak kamienie lśniły bardzo kosztownym blaskiem.

Boże, pomyślała Leonie. Przecież to skończona piękność. Sam nie przesadzał, naprawdę była uderzająco piękna, zdjęcie potwierdzało jego słowa. Jasnoblond włosy i klasyczne rysy Minette zostały doskonale uchwycone. Siedziała, ale gdyby ktoś nie wiedział, że jest na wózku, nie zauważyłby tego.

Leonie westchnęła i nerwowo przegarnęła dłonią włosy. Było jasne, co Sama tak zachwycało w tej uroczej istocie. I chociaż wiedziała, że pozory mylą, trudno jej było uwierzyć, że kobieta o tak delikatnej - wręcz anielskiej - urodzie mogła mieć w sobie choć krztynę złościwości czy okrucieństwa.

Nagle Leonie poczuła, że nie może dłużej patrzeć na zdjęcie, nie mogła się też zdobyć na przeczytanie artykułu. Chwyliła gazetę i wrzuciła ją do kosza na papiery. Potem przykryła ją starymi dziennikami, które już tam leżały. Nie chciała jej oglądać - ani o niej pamiętać. Jakby to cokolwiek zmieniło!

Nerwowo chodziła po kuchni, oddychając głęboko. Spojrzała na zegarek. Było już dobrze po dwunastej. Zwykle o tej porze telefonował Sam, by opowiedzieć, co nowego się wydarzyło w Manor.

Dlaczego jeszcze nie zadzwonił? Co się dzieje?

Z niepokojem zaczęła sobie wyobrażać rozmaite scenariusze, rozgrywające się w jej wyobraźni jak koszmarnie filmy. Najczęściej powracał oczywiście ten najstraszniejszy, w którym policja znajdowała dowody wskazujące, że to Sam zabił Minette. A potem oskarżano go o morderstwo.

Potrząsnęła głową. Nie. To niemożliwe. Nie mogła się tak pomylić co do niego.

Na chwilę przestała spacerować. Sam nie mógł mieć z tym nic wspólnego - powiedziała sobie. Wierzyła mu. Wierzyła i ufała bezgranicznie temu mężczyźnie.

Podjęła niespokojny spacer i wróciła myślami do ich rozmowy z minionej nocy. Zastanawiali się nad śmiercią Minette, ale nie doszli do żadnych wniosków, bo żadna teoria nie wydawała się prawdziwa.

- W piątek wyjechałem stąd zdecydowany - przyznał się Sam - aby po powrocie do domu powiedzieć Minette, że składam pozew o rozwód. - Spojrzał na Leonie oczami pełnymi żalu. - I naprawdę zamierzałem to zrobić, nieważne, jak ona zareaguje.

- Och, Sam - westchnęła Leonie, nagle pojmując. - Masz z tego powodu wyrzuty sumienia, tak?

Skinął głową.

- Doszedłem do wniosku, że nasza miłość jest najważniejsza i nie możemy jej zaprzepaścić, Leonie - ciągnął. - Myślałem i nadal myślę, że zasługujemy na drugą szansę. I bez względu na wszystko musimy być razem. Po kres czasu.

Objęła go. Wiedziała, że cierpi, i ze wszystkich sił pragnęła złagodzić jego ból.

- Kiedy stąd wyjechałem, miałem w głowie jasny plan - ciągnął.  
- Resztę znasz. Wróciłem do domu i znalazłem ją... znalazłem ją martwą w basenie. - Pokiwał smutno głową. - Poczułem się, jakbym to ja ją zamordował. Wiem, że to bez sensu. To... To głupie. Nie zdażyłem jej nic powiedzieć. - W jego oczach zabłyśły łzy. - A teraz mogę się tylko zastanawiać, kto to zrobił. I dlaczego.

Oczywiście w nocy Leonie wierzyła jego słowom. I teraz nadal mu wierzyła... chyba.

Przeszła przez jadalnię do salonu, wyłamując nerwowo palce.

- Natychmiast przestań - powiedziała głośno do siebie. - To absurd, nie wolno tego w ogóle brać pod uwagę. Jak mogę zdradzać Sama, choćby w myślach?

Ale jeśli on jakoś...

Nie. Nie mógłby. Nie zrobiłby tego.

Pobiegła na górę, do sypialni. Chciała mieć pewność, że nie śledzą jej ciekawskie oczy robotników. Popatrzyła na pogniecioną pościel, na której tak niedawno kochała się z Samem, i łzy napłynęły jej do oczu.

Boże, proszę, westchnęła. Nie pozwól, abym znów się pomyliła.

W drzwiach wejściowych Erminda uśmiechnęła się nerwowo do Sama, zerkając z ledwie ukrywanym strachem i niechęcią na dwóch funkcjonariuszy, którzy ją prowadzili.

- Ermino - odezwał się Sam, kładąc obie ręce na jej ramionach.  
- Dobrze, że nic ci się nie stało. Martwiłem się o ciebie.

Wzruszyła ramionami.

- Nic mi nie jest, panie Samie - odezwała się. - Ci dwaj mnie tu ściągnęli, żebyśmy odpowiedziała na jakieś pytania.

- Gdzie się podziewałaś? - zapytał Sam.

- Byłam w Queens, u mojego brata - wyjaśniła. - Po tym, jak pani Nicholson mnie zwolniła...

- Zwolniła?! - wykrzyknął Sam.

- Wejdźmy do domu, porozmawiamy o tym w środku - wtrącił

Biegner. Ruchem głowy wskazał bibliotekę i zwrócił się do policjan-  
tów, którzy przywieźli pokojówkę: -Wy, chłopcy, poczekajcie tutaj.

W bibliotece Sam zauważył, że detektyw patrzy ciekawie na  
dziewczynę. Wyraźnie nie wiedział, jak potraktować tę latynoską  
ślicznotkę. Na jego zmęczonej twarzy widać było podejrzliwość po-  
mieszaną z zakłopotaniem.

Nic dziwnego, pomyślał rozbawiony Sam. Erminda bez swojego  
zwykłego nijakiego uniformu służącej była nie do poznania. Miała  
na sobie czarną obcisłą bluzeczkę, czarne dopasowane dżinsy i buty  
na koturnach; na jej szyi i obu nadgarstkach połyskiwały cienkie  
złote łańcuszki, a w uszach tkwiły duże złote koła. Lśniące, kruczo-  
czarne włosy opadały na ramiona. Była też mocno umalowana -  
bardzo starannie - ale tu, na wsi, taki makijaż wydawał się trochę  
nie na miejscu.

- Więc mówi pani, że pani Nicholson panią zwolniła? - zaczął  
Biegner, kiedy usiedli.

- Tak. - Młoda kobieta skinęła głową. - Wyrzuciła mnie. - Spoj-  
rzała na Sama. - Pan o tym nie wiedział?

- Nie. - Pokręcił głową.

- W piątek rano - wyjaśniła Erminda. - Jak pan pojechał do  
pracy.

- Dlaczego panią zwolniła... ee... panno Gomez? - zapytał Biegner.

- Pan Sam pokłócił się z nią przy śniadaniu ~ powiedziała Er-  
minda.

Sam zerknął na Biegnera, ale nic nie wyczytał z jego twarzy. No  
ładnie, pomyślał. Mój grób robi się coraz głębszy.

- Po wyjeździe pana Sama - ciągnęła pokojówka - powiedziałam  
jej, że nie powinna go tak źle traktować. Powiedziałam, że jest do-  
brym mężem i że stara się ją uszczęśliwić. A ona się wściekła i wyla-  
ła mnie.

- O co się pokłócili? - zapytał detektyw.

- Powiedziała, że zamknęła ich wspólne konto - wyjaśniła Er-  
minda. -I że nie da mu więcej pieniędzy.

Biegner rzucił na Sama przenikliwe spojrzenie, jakby już  
wszystko rozumiał.

Chyba nadeszła pora, żebym przestał współpracować z policją  
i znalazł sobie adwokata, pomyślał smętnie Sam.

-I co się stało potem, panno Gomez? - zapytał detektyw, po-  
nownie skupiając uwagę na pokojówce.

- Spakowałam ubrania i resztę rzeczy. Potem wezwałam taksówkę, żeby pojechać na dworzec w Hudson. Musiałam czekać na pociąg ponad godzinę. - Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, jakby to jego winiła za tę zwłokę.

- Którym pociągiem pani odjechała? - zapytał Biegner.

- Tym o drugiej dwadzieścia dziewięć.

- Czy pani Nicholson czuła się dobrze, kiedy pani ją zostawiła?

- Tak. Wszystko było w porządku.

- Nie zachowywała się jakoś dziwnie?

Erminda pokręciła głową.

- Nie.

- Nie zauważyła pani nic niezwykłego?

Chwilę zastanawiała się nad jego pytaniem, obracając złoty łańcuszek na nadgarstku i wydymając w zamyśleniu mocno umalowane usta.

- Nieee - powiedziała w końcu. - Wszystko było jak zawsze. Spakowałam się i zadzwoniłam po taksówkę, już to mówiłam. Potem, przed samym wyjściem, włączyłam kamery wideo i alarmy.

Sam nagle wyprostował się w fotelu i uderzył pięścią o oparcie.

- Właśnie! - zawołał. - Czemu wcześniej o tym nie pomyślałem!

Biegner spojrzał na niego zdziwiony.

- Co...

- Kamery - wyjaśnił Sam, zrywając się na nogi. - Rejestrują każdy ruch. - Popatrzył na detektywa z triumfem. - Są rozmieszczone w całym domu. Pokażą nam, kto zabił Minette!



## Rozdział 25

Można? - zapytał Sam.

Detektyw skinął głową. Zaczął opisywać i szykować do zabrania kasety, aby je obejrzeć na posterunku, ale zdecydował, że skoro Sam tak bardzo chce zobaczyć nagrania, przejrzą je tutaj. Żeby mieć to z głowy.

W zaciemnionej bibliotece Sam włożył kasetę do odtwarzacza, po czym z pilotem w dłoni usiadł obok Biegnera. Wcześniej razem z policjantem zszedł do piwnicy, gdzie znajdowały się sterowniki zabezpieczeń, i wyjął kasetę z kamery numer szesnaście, tej, która była skierowana na basen.

Biegner kazał Ermindzie zaczekać w holu, ale dziewczyna bezczelnie zlekceważyła polecenie i poszła do kuchni, gdzie, sądząc po odgłosach, zajęła się przygotowywaniem posiłku.

Sam wziął głęboki oddech. Jego niepokój wzrósł, spotęgowany tym, co już wiedział, i wielką niewiadomą, której się obawiał. Po chwili wahania wcisnął na pilocie guzik odtwarzania.

Duży ekran telewizyjny nagle ożył, zamigotał szary, ziarnisty obraz. Już w następnej chwili jednak czujniki kamery włączyły się, rejestrując wyraźny ruch.

Na ekranie pojawiła się Minette, jak najbardziej żywa. Kamera automatycznie dostosowała ostrość obrazu. Wózek podjechał kawałek, po czym gwałtownie zatrzymał się na krawędzi basenu, przy trampolinie. Ruchy Minette były urywane, jak u marionetki, ponieważ kamera wycinała klatki, na których niczego nie zarejestrowała. Powstał film przypominający serię puszczonej kolejno pojedynczych zdjęć.

Sam poczuł chłodny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Drugi raz w życiu oblał się zimnym potem. Pierwszy raz był wtedy, kiedy dowiedział się o paraliżu Minette. Nigdy nie udało mu się wymazać z pamięci tego, co wówczas czuł.

Zacisnął palce na oparciu fotela, aby uspokoić drżenie dłoni, i wpatrywał się w napięciu w ekran, niemal zahipnotyzowany widokiem żony, żywej i... Co to ma znaczyć?

Minette była sama.

Sam mógłby przysiąc, że jej piękna twarz była pusta, wyprana z wszelkich emocji, po prostu obojętna.

Minette wychyliła się do przodu, obydwoma rękami chwyciła się trampoliny i zsunęła z wózka. Po tylu latach kalectwa miała silne ramiona, zastępowały jej przecież bezwładne nogi, dlatego wyglądało to na łatwe, zwłaszcza przy urywanych ruchach na filmie. Ale Sam wiedział, że mimo jej siły, niełatwo było to zrobić. Zdawało mu się, że dostrzega w oczach żony żelazną determinację, która zastąpiła wcześniejsze puste, zimne spojrzenie.

Zsunęła się na kamienne płyty, przełożyła nogi przez murek otaczający basen - wszystko to jednym, na pozór gładkim ruchem - a potem puściła trampolinę.

Przez moment widać było ciało opadające pod wodę, potem ekran zamigotał i zrobił się szary. Ruchy, które włączyły kamerę - ruchy Minette - ustały. Ale już po chwili obraz pojawił się z powrotem.

Ciało Minette, wyglądającej na martwą, wypłynęło na powierzchnię, twarzą w dół, i unosiło się na falującej wodzie. Kamera pokazała je przez moment - króciutko - i wyłączyła się ponownie.

Sam siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Ten makabryczny ciąg niemych, czarno-białych obrazów był nie do zniesienia.

Po chwili Biegner spojrział na niego i wolno pokręcił głową.

- Jezu! Nigdy bym w to nie uwierzył. - Westchnął ciężko. - Nigdy w życiu.

Sam siedział w milczeniu, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Detektyw wstał, podszedł do niego i wyjął mu z ręki pilota. Naciśnął guzik przewijania, odczekał - film trwał zaledwie minutę - a następnie wyjął kasetę z odtwarzacza. Popatrzył na nią.

- Będę musiał to zabrać jako dowód rzeczowy - oznajmił. - Chłopcy nie uwierzą. Samobójstwo!

Sam podniósł na niego półprzytomny wzrok.

- Nie rozumiem - powiedział.

- Wie pan, panie Nicholson, widziałem już takie rzeczy - odezwał się detektyw. - Kiedy ktoś chce się zabić, ma siłę pięciu ludzi. To tak jak z aresztowaniem wariata. Widziałem, jak drobna kobiątka załatwiła pięciu czy sześciu policjantów. I to skutecznie. Jak jakiś zapaśnik sumo. - Urwał i popatrzył na trzymaną w ręce kasetę. - Pańska żona była bardzo zdeterminowana.

- Nie o to mi chodzi - odrzekł Sam. - Tylko dlaczego? Dlaczego? Przecież mogła mieć wszystko, co chciała, miała po co żyć.

- Może zmęczyło ją kalectwo - powiedział bez ogródek detektyw. - Kto wie? Nie rozumiem tylko, dlaczego próbowała wciągnąć w to pana.

- Chodzi panu o ten list - domyślił się Sam.

- Tak - potwierdził Biegner. - Był napisany jej ręką, nie wyglądało to dla pana za dobrze.

- Nie wiem - mruknął Sam w zamyśleniu. - Pewnie sądziła też, że kamery są wyłączone. I że to, co robi, nie zostanie nagrane. Nie wzięła tylko pod uwagę, że Erminda przed wyjściem włączy system zabezpieczeń. A ja na to nie wpadłem! Myślałem, że jest wyłączony, przecież w domu była Erminda. Jezu, gdyby ona nie...

Nagle poczuł się kompletnie wyczerpany, jak gdyby uleciała z niego wszelka chęć życia. Nie miał ochoty teraz o tym rozmawiać. Ani o tym, co się stało, ani dlaczego. Nie chciał rozmawiać o Minette i o ich wspólnym życiu, a już na pewno nie z tym obcym człowiekiem. Relacje między nimi obojgiem to nie jego sprawa.

Detektyw poklepał kasetę.

- Pójdę już - powiedział. - Zajmie się pan tą panną Gomez czy mają ją zabrać moi ludzie?

- Nie trzeba - odrzekł Sam. - Ja się nią zajmę.

Odprowadził Biegnera do drzwi, a potem szybko poszedł do gabinetu przy kuchni. Chciał natychmiast zadzwonić do Leonie.

Wybrał jej numer - był tak rozrzucony, że udało mu się to dopiero za trzecim razem. Czekając na połączenie, przerzucał pocztę leżącą na biurku. Odkładał tam od kilku dni wszystkie przesyłki bez czytania. Rachunki, ulotki, katalogi, czasopisma, znowu katalogi, parę listów.

- Halo? - Leonie odebrała telefon.

- To ja - powiedział.

- O Boże! Wariowałam z niepokoju. Wszystko w porządku?

- Tak i nie. Była policja. Wreszcie.

- I? - spytała z napięciem.

- Nie uwierzysz.

- Co się stało? - zapytała, zdenerwowana do ostateczności.

- Minette popełniła samobójstwo.
- Co? - wykrzyknęła Leonie. - Skąd wiesz, Sam?
- Opowiedział jej o kasecie wideo.
- Nie mogę uwierzyć, że nie sprawdziłem filmów - mówił. - Ale od początku nie cierpiałem tego idiotycznego systemu zabezpieczeń. Nigdy nie zwracałem uwagi na kamery.
- Musisz być zdruzgotany - odezwała się z wahaniem Leonie. - A więc była tak nieszczęśliwa, że posunęła się aż do tego.
- Tak - przyznał. - Nie mogę tego pojąć.
- Mimo wszystko mam nadzieję, że poczułeś ulgę. Teraz już wiadomo, że jesteś niewinny.
- Tak. To znaczy, ja wiedziałem, że jestem niewinny. Dzięki Bogu. Ale wciąż pozostaje tajemnicą, dlaczego Minette się zabiła. Nie rozumiem tego. Nigdy bym nie pomyślał, że akurat ona mogłaby to zrobić. To nie w jej stylu.
- Z tego, co mówiliście ty i Mossy - odrzekła Leonie - ja też bym nie pomyślała. Tak jak mówisz, to nie było w jej stylu.
- Waśnie - powiedział Sam stanowczo. - Była silną kobietą. Lubiła walczyć. - Umilkł, przeglądając pocztę. - Nie wiem, co o tym myśleć, Leonie. Na razie muszę się zająć Ermindą, niech ją Bóg błogosławi. Tak się rozżościła, tak nie lubiła Minette, a jednak wychodząc, włączyła system alarmowy.
- Wraca do Nowego Jorku czy zostaje? - zapytała Leonie.
- Nie wiem. Muszę z nią porozmawiać. Chciałem najpierw to załatwić, a potem przyjechać do ciebie.
- Świetnie.
- A co tam słysząc? - zapytał. - Moi ludzie dobrze się sprawują?
- To nie do wiary, ale wystarczy jeszcze tydzień. No, może trochę dłużej. Malowanie już prawie skończone, część tapet położona. Zaczęli dziś rano. Teraz jest tu jeszcze pani Miller, dopasowuje narzuty, a ja jej pomagam. Staram się od razu po wszystkich sprzątać. I otwieram okna i drzwi, żeby wywietrzyć smród poliuretanu. Jest naprawdę obrzydliwy.
- Sam się roześmiał.
- Nie utrzyma się długo. Tylko pilnuj, żeby była dobra wentylacja, bo inaczej się pochorujecie.
- Jasne. Czyli do zobaczenia niedługo?
- Tak - potwierdził Sam. - Będę zaraz. Leonie?
- Hmm?
- Kocham cię - szepnął.

- Ja też cię kocham.

Sam odłożył słuchawkę i zaczął wyrzucać do kosza przy biurku katalogi oraz ulotki. Następnie uporządkował rachunki i jeszcze raz je przejrzał. W pewnej chwili zauważył jakiś list. Był zaadresowany do niego staroświeckim charakterem pisma i oznaczony jako poufny.

Co to może być? - zdziwił się Sam. Rozerwał kopertę i zobaczył, że list jest napisany na papierze firmowym doktora Nathansona, lekarza Minette. Dlaczego do mnie? - nie mógł zrozumieć. Rachunki od lekarza zawsze przysyłano do Minette.

Ale zaraz zobaczył, że to wcale nie rachunek.

Szanowny panie Nicholson,  
z wielką troską i trochę wbrew zasadom etyki lekarskiej piszę do Pana w sprawie stanu zdrowia Pańskiej żony, pani Minette Van Vechten Nicholson. Pacjentka sama zdecydowanie zabroniła mi informować Pana o niedawno postawionej diagnozie.

Po długim namyśle doszedłem jednak do wniosku, że powinienem przekazać Panu złą wiadomość: u chorej stwierdzono złośliwy guz kręgosłupa. Ma przed sobą najwyżej pół roku życia, a może to być zaledwie kilka tygodni.

Ściśle mówiąc...

Sam czytał dalej, ściskając list w drżących dłoniach. Skończył, ale wciąż siedział oszołomiony, pełen niedowierzania - już po raz drugi tego dnia. W głowie kłębiły mu się tysiące pytań, choć zagadka śmierci Minette - samobójstwa, poprawił się - została już rozwiązana.

Ogarnął go smutek. Mimo że ich związek był nieudany, Sam myślał o żonie ze współczuciem. Minette Van Vechten, piękna spadkobierczyni wielkiego rodzinnego majątku, otrzymała od losu kiepskie karty. Najpierw wypadek i kalectwo, potem nieszczęśliwe małżeństwo, a na końcu straszliwy rak, który dosłownie złamał jej kręgosłup. Gorszych kart nie mogła dostać.

To niesprawiedliwe. Bardzo niesprawiedliwe.

- Czy po tym wszystkim będę mógł żyć? - pytał sam siebie. - Czy zawsze będą mnie dręczyć te ostatnie mroczne lata? - Oczy mu zwilgotniały od łez.

Leonie nie zasłużyła na to, aby znosić pechowego faceta i jego nieszczęścia.

## Rozdział 26

Czerwony, złoty, różowy, pomarańczowy, fioletowy, żółty.

Dolina płonęła kolorami niczym rozłożony wachlarz z pawich piór. Takiego pokazu fantastycznych barw nie było tu od ponad dziesięciu lat. Każdy dzień ujawniał nowe odcienie, cieszył oko wspaniałą tęczą kolorów. Teraz paleta barw była najpiękniejsza, a rzeźkość powietrza zmieniała się w wyraźny chłód. Powoli zbliżała się zima.

Światło - to światło, które od pokoleń przyciągało do doliny artystów - stało się niezwykle jasne i przejrzyste po gorącym, wilgotnym lecie; skąpany w nim krajobraz przypominał ożywione płótno.

Nadeszła pora zrywania jabłek. Drzewa były ciężkie od owoców, powietrze przesycił słodki, uderzający zapach. Pełne, okrągłe dynie oczekiwały swego losu na stołach w jadalniach i na werandach.

W zasypanej liśćmi altanie koło domu Leonie przygotowywała piknikową ucztę dla siebie i Sama. Oparła ręce na biodrach i obrzuciła dumnym spojrzeniem swoje królestwo. Świeżo odnowiony dom wznosił się majestatycznie nad kolorowym ogrodem niczym nieskazitelny klejnot w pięknej oprawie.

Jak w raju, pomyślała. Prawdziwy raj, przybrany w jesienne szaty. Dom po renowacji był tak piękny, że nie po raz pierwszy zastanowiła się, czy nie zapuścić tu korzeni. Otworzyć sklep w stodołę i zostać na zawsze.

Wyszła z altany i po szeleszczących pod stopami liśćmi wróciła do kuchni. Z tarasu spojrzała na rzekę Hudson, lśniąca srebrzyście w słońcu, i dalej na białe szczyty Catskills.

Nigdy nie przypuszczałam, że będę taka romantyczna, myślała. Że tak się przywiążę do tego miejsca, wbrew mojej praktycznej natu-

rze. Romantyczka! To określenie samo przychodziło jej na myśl, choć nie miała pojęcia, skąd się wzięło. To słowo dotąd nie istniało w jej słowniku, brzmiało wręcz obco, aż trudno było je wymówić.

Odetchnęła głęboko orzeźwiającym jesiennym powietrzem. Nie przypuszczała, że tak dużo jej się przydarzy na tej błogosławionej ziemi, gdyż tak teraz myślała o dolinie. Minęło wprawdzie niewiele czasu, a wiele tu przeżyła, tyle zmian zaszło. Leonie uśmiechnęła się do siebie.

Kiedy pierwszy raz zobaczyła ten wspianały budynek w tak opłakanym stanie, natychmiast poczuła z nim więź. Potrzebował pomocy. A właściwie ratunku. Patrząc wstecz, Leonie dochodziła do wniosku, że silny związek emocjonalny z tym domem wynikał częściowo z jej własnej chęci szukania ratunku, leczenia. Musiała wyleczyć rany pozostawione przez nieudane małżeństwo, rozwód, zdradzoną przyjaźń. Potrzebne jej było duchowe oczyszczenie.

Teraz rozumiała, że renowacja Octagon House stała się najlepszą terapią dla umysłu i ciała, a także dla duszy. W miarę przywracania go do dawnej świetności ona sama odnajdywała dawną siebie, odzyskiwała wartości, o których zapomniała, oraz życie, które prawie całkiem utraciła.

Zastanawiała się, czy czułaby to samo, gdyby nie poznała Sama. Może, nie wiadomo, trudno zgadywać. Gdyż oczywiście spotkanie z Samem przyćmiewało wszystkie inne wydarzenia.

Nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie marzyła, że tutaj, w tej magicznej krainie niemal zapomnianej przez czas, spotka i pokocha mężczyznę, który był jej pokrewną duszą i przeznaczeniem. Zrządzeniem losu spotkali się wtedy, kiedy oboje najbardziej tego potrzebowali. Leonie wiedziała bez cienia wątpliwości, że to dotyczy także Sama.

Znów uderzyła ją niezwykłość tego przypadku. Nie wiem, jakie to moce sprawiły, pomyślała, ale rzeczywiście działają tajemniczymi sposobami.

Weszła do kuchni i zatrzymała się, podziwiając szerokie, pięknie oczyszczone sosnowe deski podłogi, potężne, stare belki pod sufitem, starannie odmalowane szafki. A pośród nich najnowocześniejsze, najdroższe urządzenia ułatwiające życie. Wciąż miała miłe poczucie, że przy pomocy innych ludzi osiągnęła tak dużo. Doprowadziła do przeistoczenia tego brzydkiego kaczątka w eleganckiego łąbiedzia, który jednak pozostał miły i pełen uroku. Był to naprawdę niemały wyczyn.

Zajrzała do jadalni o ścianach pokrytych chińską tapetą w kolorowe wzory. Stały tu proste, lecz eleganckie mahoniowe meble w stylu króla Jerzego: stół, krzesła, bufet i serwantka. Nad stołem migotał w jesiennym słońcu rosyjski kryształowy żyrandol.

Przez jadalnię przeszła do maślanożółtego salonu. Na widok odnowionych parkietów i świeżo wyczyszczonej obudowy kominka z wiszącym nad nim złożonym lustrem poczuła wielką dumę i zadowolenie. Bładożłote draperie poruszały się lekko w płynącym z otwartego okna wietrzyku. Tutaj stały angielskie krzesła i sofy - duże, wygodne, pokryte jasnym, trwałym lnem. Stylowe stoliki pochodziły z różnych epok i krajów - jednak całość okazała się spójna i robiła miłe wrażenie. Elementy drewniane w kolorze kości słoniowej - podobnie jak w holu, jadalni i prawie wszystkich sypialniach - były czyste i jasne, ale nie raziły. Zdawały się mieć patynę, która pasowała do domu i mebli.

Następnie weszła do biblioteki, która była teraz cichą oazą spokoju - ciemna, wytworna, o ścianach obitych zielonym sukniem. Wypełniały ją udające mahoń szafy i półki, a oświetlały wspaniałe lampy bilardowe w stylu dyrektoriatu. Na podłodze leżał różnokolorowy arabski dywan, stały na nim wygodne edwardiańskie krzesła, skórzana sofa oraz prawdziwy antyk - ogromne mahoniowe biurko.

Tak, pomyślała Leonie, osiągnęłam to, co sobie zamierzyłam. Dom jest elegancki, a przy tym wygodny. Pełen godności, ale nie sztywny i odpychający.

Powędrowała na górę i przeszła się po pokojach na pierwszym piętrze. Pokój czerwony - niedrogi adamaszek na ścianach, zasłony i baldachim nad łóżkiem. Całość wyglądała bogato, po królewsku. Uśmiechnęła się na wspomnienie, że Sam ochrzcił ten pokój mianem papieskiej sypialni. Niebieski - jasny, zwiewny, może kobiecy, utrzymany w kolorze błękitu z akcentami blad różowymi. Pokój złoty - brokatowe ściany, zasłony i narzuta na łóżko, mnóstwo elementów drewnianych w kolorze kości słoniowej, również królewski, ale niewątpliwie wygodny.

Nagle usłyszała na zwirowym podjeździe wóz Sama, zbiegła więc do kuchni. Wzięła z blatu wyładowaną jedzeniem tacę i skierowała się do tylnych drzwi.

Sam wyskoczył z range rovera. Jego oczy iskrzyły się radością, a zęby jaśniały w opalonej twarzy niczym u gwiazdora z Beverly Hills.

- Hej - zawołał. - Poczekał tam!



- O co chodzi? - zapytała, czując na jego widok znajomy dreszcz. Była taka szczęśliwa.

Wbiegł na taras.

- Daj, ja to wezmę - powiedział, całując ją i zręcznie zabierając ciężką tacę.

Po szeleszczących liściach poszli do altany, gdzie Leonie wcześniej nakryła do stołu. Sam postawił jedzenie, po czym odwrócił się do niej.

Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie, spoglądając w jej ciemne oczy. Rozkoszowała się ciepłem jego ciała przy swoim, pragnąc, by to się nigdy nie skończyło, ale w końcu potargała mu rozjaśnione od słońca włosy i odsunęła się powoli.

- Najpierw chcę usłyszeć, jak spędziłeś poranek - powiedziała i usiadła wygodnie. - Jest białe wino albo jabłecznik.

- Poproszę jabłecznik - odrzekł Sam, siadając na krześle obok niej.

Leonie napełniła dwa kieliszki i jeden podała Samowi.

- Za nas - powiedział z uśmiechem, patrząc jej w oczy.

- Za nas - powtórzyła Leonie, odpowiadając mu pełnym miłości spojrzeniem. Pijąc jabłecznik, pomyślała, że Sam nigdy nie wyglądał lepiej. Mimo tragicznych przeżyć ostatnich tygodni rysy mu złagodniały, promieniował szczęściem i zadowoleniem.

Całkiem jak ja, pomyślała. Jakbym patrzyła w lustro.

- Jak poszło? - zapytała, nakładając mu na talerz smażonego kurczaka, pikantny sos jabłkowy i inne smakołyki, świadczące o jej kulinarnych umiejętnościach.

- Było... interesująco - powiedział. Potem spojrział na półmisek, który mu podała. - To wygląda fantastycznie! Co to jest?

- Słodkie kartofle z burbonem. - Leonie nałożyła mu ich trochę.

- Gwarantowane lekarstwo na wszelkie dolegliwości. Smakują równie dobrze, jak pachną.

- Kiedy mówiłaś o pikniku, myślałem, że masz na myśli ser i wino - zaśmiał się Sam.

Leonie nałożyła sobie jedzenie, po czym podniosła na niego oczy.

- Chcesz mi opowiedzieć? - zapytała.

Sam przełknął kawałek kurczaka.

- Ten kurczak jest świetny.

- Dzięki - powiedziała. - Nauczyła mnie, jak go zrobić, Willie, kucharka Bobby'ego Chandlera.

Sam wytarł ręce w serwetkę.

- Mówiąc w wielkim skrócie - oznajmił - Minette zostawiła mi w testamencie dwa dolary.

Leonie popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Dwa dolary? - powtórzyła.

- Napisała, że tyle miałem w kieszeni, kiedy się poznaliśmy. - Roześmiał się wesoło.

Leonie śmiała się razem z nim, myśląc, że chyba oboje są lekko stuknięci, skoro ich to bawi.

- To cała ona - powiedział Sam. - A niech tam. Wiesz co?

-Co?

- Właściwie to poczułem ulgę.

- Ulgę? - zdziwiła się Leonie, nabierając na widelec dziki ryż z grzybami. - Naprawdę?

- Tak. Zdecydowanie. Gdybym nie został wykluczony z testamentu, czułbym się wciąż związany z tą rodziną - wyjaśnił. - A tak - mamy jedno czyste cięcie. Nie jestem już od nikogo zależny.

Wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk włosów z twarzy Leonie, podziwiając rubinowe refleksy, które zapalało w nich słońce. Pocałowała jego dłoń.

- Prawnicy uważają, że mógłbym obalić testament - ciągnął - gdybym chciał. Mój adwokat twierdzi, że to by było łatwe. Ale - spojrzął jej w oczy - powiedziałem mu, że tego nie zrobię. Chcę o tym wszystkim jak najszybciej zapomnieć.

- Zgadzam się z tobą całkowicie - odrzekła szczerze. Jesteśmy tacy podobni, pomyślała. Zapomnieć. Pogrzebać przeszłość. - A komu przypadła fortuna Van Vechtenów? - zapytała.

- Jej kuzynowi, Dirckowi - wyjaśnił Sam. - Nie przepadam za nim, ale myślę, że zajmie się wszystkim tak, jakby tego chciała Minette. Umówiłem się z nim - ciągnął - że w przyszłym tygodniu zabiorę swoje rzeczy z domu. Oddam je gdzieś na przechowanie.

- Nie musisz, Sam. Możesz je przywieźć tutaj.

- Zobaczymy - powiedział wymijająco i pociągnął łyk jabłeczniaka. - Po spotkaniu z prawnikami obeszlśmy z Dirckiem dom. On chce, żeby Erminda została.

Leonie prawie się zakrztusiła.

-Co?!

Sam z uśmiechem pokiwał głową.

- Zdaje się, że między nimi coś zaiskrzyło. Właściwie można nawet powiedzieć, że szykuje się tam niezłe ognisko.

- Nie wierzę! - zawołała Leonie. - Przecież ona wzdychała do ciebie jak zadurzona uczennica!

- Wiesz, że rozmawiałem z nią po śmierci Minette. Dałem jej jasno do zrozumienia, że kocham ciebie.

- I naprawdę myślisz, że między nią a Dirkiem coś się kroi? - zapytała Leonie.

- Na sto procent. Znam Dircka, wpadła mu w oko. A Erminda - zaśmiał się - doskonale widzi jego zainteresowanie i sprawia jej to przyjemność. - Popatrzył z radością na Leonie. - Czy nie byłoby cudownie, gdyby Erminda została następną panią Van Vechten Manor?

- Sprawiedliwość dziejowa - przyznała wesoło.

- Potem - mówił dalej Sam - kupiłem po drodze doniczkę z chryzantemą i zawiozłem na grób Minette.

Leonie przestała jeść i spojrzała na niego.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Sam - powiedziała. - Mam tylko nadzieję, że nie kierowało tobą poczucie winy. Nie myślisz chyba, że to wszystko zdarzyło się przez ciebie.

- Nie, nic takiego - zapewnił ją. - Uważam, że spełniłem swój obowiązek najlepiej, jak mogłem. Może nie byłem ideałem, ale się starałem. Myślę, że nie miałem żadnego wpływu na jej decyzję. - Zamilkł i zamyślił się. - Pojechałem na cmentarz chyba po to, żeby... żeby się pożegnać. I zamknąć ten rozdział.

- Tak się cieszę, że to mówisz. - Leonie przechyliła się i pocałowała go.

Na podjeździe rozległ się warkot silnika. Odwrócili się, żeby zobaczyć, kto przyjechał. Obok wozu Sama zatrzymała się lśniąca, biała acura.

Kiedy jej właścicielka wysiadła i ruszyła do drzwi, Leonie zawołała:

- Mossy, tu jesteśmy!

Mossy odwróciła się szybko, a jej jaskrawopomarańczowe włosy zabłyśły w słońcu nienaturalnym blaskiem.

- Och, jak romantycznie wyglądacie - zachwyciła się, idąc ku nim przez ogród usłany suchymi liśćmi.

Sam i Leonie podnieśli się i ucałowali ją na powitanie.

- Siadaj i jedz - zaprosiła ją Leonie. - Wystarczy na pułk wojska.

- Moja droga, napiję się tylko tego pysznego wina. Najwyższa pora na dietę odchudzającą. Przystaję jeść do nowego roku. - Przystadła na krzesło i natychmiast zaczęła grzebać w torbie, szukając papierosów. Sam podał jej ogień.

- Dzięki.  
- Proszę bardzo. - Nalał jej kieliszek wina.  
- Dzięki podwójne, Sam - powiedziała Mossy. - I wasze zdrowie!  
- Co cię sprowadza do tej leśnej głuszy? - zapytała Leonie.  
- Hmm. - Przyjaciółka najwyraźniej postanowiła być tajemnicza. - Muszę z tobą poważnie porozmawiać.  
- Ze mną? - zdziwiła się Leonie.  
- Zgadza się - potwierdziła, wydmuchując kłęb dymu. - A właściwie z wami.  
- O co chodzi? - zapytała Leonie, którą tajemnice doprowadzały do szału.

- Jest boski dom do sprzedania - oznajmiła Mossy. - Oczywiście wymaga dużego remontu, ale mógłby być absolutnie cudowny, potrzebuje tylko czyjeś opieki i czułej troski. Obok starego młyna, nad potokiem Kinderhook. Na uboczu. Tani! Do tego... myślę, że mogłabym go dla was kupić jeszcze... korzystniej.

Sam i Leonie szybko wymienili spojrzenia. Rozważali możliwość wspólnej pracy, ale nie podjęli ostatecznej decyzji. Poza tym Sam widział, jak mocno Leonie czuje się związana z Octagon House i że chciałaby tu zamieszkać na stałe. Co więcej, wspomniała mu także, że raczej nie ma ochoty podejmować się wkrótce kolejnej renowacji.

Zdecydowanie nie.

Mossy, której rzadko coś umykało, wbiła przenikliwe spojrzenie najpierw w Leonie, potem w Sama.

- Jasny gwint! - wykrzyknęła. - Tylko tyle za moje wysiłki? Milczenie?!

Leonie i Sam wybuchnęli śmiechem.

- Och, Moss! - wykrztusiła w końcu Leonie. - Przepraszam. Po prostu jeszcze nie wiemy, co chcemy robić. Przynajmniej na razie.

- Zmęczona życiem na walizkach, tak? - domyśliła się Mossy, unosząc wyskubane brwi.

- Prawdę mówiąc, tak, trochę - przyznała Leonie. - To trwało kilka miesięcy, a teraz dom jest wykończony... i taki... piękny.

- Ale co będziesz robić? - zapytała Mossy. - I co z tą niezłą sumką, którą chciałaś na nim zarobić?

- Na razie nikt się nim nie zainteresował - powiedziała Leonie. - Mogłabym... otworzyć w stodole sklep z elementami architektonicznymi i antykami. Wiesz, zainwestować w kilka rzeczy, a potem zawiadomić moich dawnych klientów z Nowego Jorku, że wracam do biznesu.

- A gdyby pojawiła się oferta?
- Moss, do czego zmierzasz? Co?
- Otóż, moi drodzy, kilka tygodni temu miałam telefon od pewnych obrzydliwie bogatych ludzi z Nowego Jorku - oznajmiła. - To twoi dawni klienci, Leonie.
- Kto?
- Carsonowie. Claudia i Richard Carsonowie.
- Oho - wyrwało się Leonie. - Zgadza się, są bogaci.
- Pokazywałam im jeden dom za drugim. To wszystko zaczęło się w czasie, kiedy zmarła Minette.
- To dlatego tak ciągle znikaaś! - domyśliła się Leonie.
- Tak - potwierdziła Mossy. - Chciałam wiedzieć, jak się rzeczy mają, zanim ci cokolwiek powiem. W każdym razie ci okropni ludzie doprowadzili mnie do szału. Obejrzeni chyba wszystkie domy w okolicy. Pokazałam im nawet ten bajeczny dom koło młyna, ale wybrzydźali na niego. Szukają czegoś gotowego, żeby od razu się wprowadzić. Znasz ten typ nowobogackich. Jak sama mówisz, chcą się wprowadzić rano, a wieczorem przyjmować gości. Więc... - zaciągnęła się papierosem.
- Więc co? - zapytała Leonie.
- Więc... Przywiozłam ich tutaj. Wtedy, kiedy pojechaliście na obiad do gospody.
- No wiesz! - zdziwiła się Leonie. - Nic mi o tym nie mówiłaś!
- Więc mówię teraz, skarbie - odparła z nieodpartą logiką.
- Och, Moss, dlaczego jesteś taka tajemnicza?
- Chciałam wam zrobić niespodziankę - tłumaczyła się Mossy. - Potem przywiozłam ich jeszcze raz, wczoraj. Kiedy pojechałaś na wystawę do Clark Institute.
- I co dalej? - zapytał Sam.
- Moss! - zawołała Leonie. - No mów!
- Przyjaciółka wypija łyk wina, rozkoszując się rosnącym napięciem.
- Moja droga, nie uwierzysz! - odezwała się w końcu. - Chcieli go kupić od ręki. Od ręki! Za gotówkę! Ze wszystkimi meblami!
- Żartujesz - odezwał się Sam.
- O jakiej sumie mówimy? - zapytała praktyczna Leonie.
- Mossy spojrzała na nich z triumfalnym wyrazem twarzy.
- Prawie cztery razy tyle, ile za niego zapłaciłaś - oznajmiła.
- Co?! - wykrzyknęła zdumiona Leonie.
- Ponad dwa razy tyle, ile zainwestowałaś, wliczając renowację - dodała Mossy.

- Jezu! - westchnął Sam. - Nie do wiary!  
- To prawda - oświadczyła przyjaciółka. - Postanowiłam sprawdzić możliwości tych krezusów. Dali mi nieźle w kość. Na początku podałam więc niebotyczną sumę. Byli gotowi podpisać umowę przedwstępną, ale nie zgodziłam się na to, dopóki nie porozmawiam z wami.

Leonie spojrzała na Sama pytająco.

Mossy dołała sobie wina.

- Dom im się bardzo spodobał - ciągnęła. - Byli zachwyceni renowacją, oszaleli na punkcie wystroju.

Leonie przytuliła się do Sama, a on pocałował ją w policzek.

- Wspomniałam im, że może zgodzicie się odstąpić część mebli - mówiła dalej przyjaciółka - ale cena nie została jeszcze ustalona.

- No, Mossy - powiedział z uśmiechem Sam - zdaje się, że Leonie będzie miała nad czym się zastanawiać. - Uściśnął Leonie, a ona spojrzała mu w oczy.

- Jak sądzisz, Sam? - zapytała. - Może obejrzymy ten dom i młyn nad strumieniem?

- Może to i dobry pomysł - zgodził się. - Jeśli to rzeczywiście taka okazja, jak Mossy mówi, to... warto rzucić okiem.

- Poza tym kupcy w rodzaju Carsonów nie trafiają się codziennie - dodała praktyczna Leonie.

Przyjaciółka odstawiła kieliszek i wstała.

- Muszę pędzić, kochani - oznajmiła. - Po południu przychodzi do mnie do domu nowy osobisty instruktor, nie mogę się spóźnić.

- Nowy instruktor? - zapytała Leonie.

- Och, tak - potwierdziła Mossy. - Szkoda, że go nie widziałas. Młody! Wysoki! Zbudowany! I...

- Moss! Przestań już! - zawołała ze śmiechem Leonie.

- Cholera! - zaklęła Mossy, grzebiąc w torbie. W końcu znalazła pęk kluczy i rzuciła je na stół. - Macie - powiedziała. - To klucze od starego domu i młyna. - Po chwili wyciągnęła jeszcze kawałek papieru, który wręczyła Samowi. - A to wskazówki, jak tam dojechać.

- Dzięki, Mossy - powiedział.

- Naprawdę muszę już lecieć - oświadczyła, wstając. - Nie chcę, żeby czekał. Ten młody człowiek jest niesamowity! - Potrząsnęła pomarańczową, pasującą na jesień czupryną i już jej nie było.

Sam popatrzył na Leonie i oboje się roześmiali.

- Ona jest wyjątkowa - wykrztusił.

- To prawda - przytaknęła Leonie.

- Sam ujął jej dłoń.
- Naprawdę chcesz obejrzeć ten młyn? - zapytał.
  - Jasne - powiedziała. - Nie mogę się doczekać.
  - Tylko najpierw powinniśmy chyba tu wykończyć wszystkie drobiazgi - powiedział. - Jak uważasz?
  - Tak - odrzekła Leonie. - Masz rację. Ale już się zastanawiam, co nas czeka.
  - Zobaczmy - mruknął, całując ją lekko w usta. Spojrzał jej w oczy. - Kto wie, co kryje przyszłość?

scandalous

CZĘŚĆ CZWARTA

# ZIMA

scandalous



## Rozdział 27

Śnieg padał wielkimi płatkami, jakby, myślała Leonie, anioły w niebie wysypały miękki, biały puch z wszystkich pierzyn naraz. Zaczęło sypać w nocy, a teraz dolina była prawdziwą baśniową krainą. Wszystko okrywała gładka, nieskazitelna biel, wzbudzająca marzenia o ciepłym, przytulnym pokoju z trzaskającym ogniem w kominku, rozgrzewających drinkach i pysznym, tuczącym jedzeniem. I o kimś kochanym, do kogo można się przytulić.

Rozglądała się w zachwycie, chłonąc piękno natury, co w mieście byłoby niemożliwe. Przy drodze dostrzegła trzy sarny, dwie dorosłe i jednego malca. Zatrzymały się, popatrzyły na range rovera, po czym przeskoczyły przez szosę do zagajnika po drugiej stronie, gdzie znikły.

- Prawda, że piękne? - zwróciła się do Sama.
- Bardzo - zgodził się Sam. - Ale wolałbym, żeby omijały szosy.
- To prawda - przyznała Leonie. - Nie są zbyt rozsądne.

Wreszcie jechali obejrzeć dom, do którego dała im klucze Mossy. Stary budynek i młyn, jak mówiła, które wymagają czułej troski i gruntownego remontu. Trzymali te klucze prawie od miesiąca, Mossy miała drugi komplet, więc mogła zabrać tam innych ewentualnych klientów - tyle że nie było chętnych do kupna. Sam i Leonie, zajęci pracami wykończeniowymi Octagon House i porządkowaniem spraw posiadłości Minette, po prostu nie mieli czasu obejrzeć wcześniej tej nieruchomości.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział Sam. - Z tej drogi jeźdzamy w prawo. Według wskazówek Mossy dom jest niedaleko.
- Zwolnił i skręcił w drogę wiodącą do lasu.

- Dobrze, że mamy napęd na cztery koła - zauważyła Leonie.

Wszystkie główne szosy były już odśnieżone i posypane solą, ale boczne, takie jak ta, właściwie nie istniały, zasypane grubą warstwą śniegu.

Sam wjechał na drogę. Po obu stronach rosły ogromne, stare drzewa, pod ciężarem śniegu pochylone niemal do ziemi.

- Jak witający nas szpaler - zachwyciła się Leonie. - Boże, jak tu pięknie.

Jechali wolno i ostrożnie, aż dotarli do końca drogi. Na lewo i przed nimi rozciągał się gęsty las, a po prawej stronie była polana, przechodząca w rozległy park. Sam skręcił w prawo, wjechał na polanę i zatrzymał rovera.

Leonie wyskoczyła z samochodu w chwili, kiedy Sam zahamował, oczarowana widokiem, który się przed nimi rozciągał. Sam wysiadł i objął ją w talii. Czule pocałował ją w szyję, również zachwycony tym miejscem.

Stary młyn stał tuż nad potokiem Kinderhook, otoczony był sporym kawałkiem pola i lasu po obu stronach strumienia. Potok płynął w tym miejscu szeroko, miał może z piętnaście metrów, a jego dno było usłane kamieniami. Wił się przez cały teren, szemrząc hipnotyzująco.

Młyn wznosił się na dwa piętra. Był zbudowany z niemalowanych belek, miał kilka okien o małych szybkach i blaszany dach. Po prawej stronie, o jakieś sto metrów dalej, znajdował się dom.

Leonie ścisnęła Sama za ramię i pokazała palcem.

- Popatrz - szepnęła. - Prawdziwy grecki styl!

Miała rację. Był to piętrowy biały budynek o klasycznych proporcjach, rozpaczliwie potrzebujący remontu, podobnie jak młyn. Farba się na nim łuszczyła, okiennice były poobrywane, okna wybite, werandy się zapadały. Otaczały go ogromne, stare dęby i klony, sosny i świerki, z gałęziami przygiętymi do ziemi pod ciężarem białych czap. Brzozy, ulubione drzewa Leonie, strzelały w niebo, stojąc po trzy lub cztery. W ich srebrzystej korze powtarzał się niemal nie-realny odbłask śniegu.

Ramię w ramię obeszli całą posesję i obejrzeni dom od zewnątrz. Następnie Sam wyciągnął klucze.

- Gotowa, żeby wejść do środka? - zapytał.

- Tak - odrzekła pospiesznie Leonie. - Nie mogę się doczekać.

- Ja też.

Otworzył drzwi domu i weszli.

- O Boże! - szepnęła zachwycona Leonie, rozglądając się po przestronnym holu z pięknymi kręconymi schodami, boazerią i wyblakłymi malowidłami ściennymi. - Popatrz na te ściany! A schody! To jest fantastyczne!

Sam stał obok w milczeniu, równie podekscytowany jak ona.

- Spójrz, Sam! - zawołała Leonie. - Stolarka jest nienaruszona. Przynajmniej tutaj.

- Nie do wiary - powiedział - wygląda na to, że nikt nie próbował niczego „poprawiać”. Nigdy. Drewno jest tylko pokryte grubą warstwą farby.

Chodzili po domu, zachwycając się podłogami z desek, kominkami, neoklasykstywnymi wykończeniami z drewna, przestronnymi, eleganckimi pokojami.

- Masz rację - odezwała się Leonie po zakończonych oględzinach. - Wygląda na to, że prawie nic w nim nie zmieniano.

- To by nam pozwoliło zaoszczędzić mnóstwo czasu i pieniędzy - uzupełnił Sam. - Nie musielibyśmy przywracać go do dawnego stanu. - Odwrócił się i spojrzał na Leonie z lekko kpiącym uśmiechem. - Z wyjątkiem kuchni i łazienek - dodał. - Te będą kosztować krocie.

- Tak - zaśmiała się Leonie. - W nich też nic nie robiono. Przynajmniej nie w ostatnim stuleciu. Prawdę mówiąc, wygląda na to, że nikt tu nie sprzątał od kilkudziesięciu lat.

- Chcesz teraz obejrzeć młyn? - zapytał Sam.

- Czytasz w moich myślach.

Przeszli do młyna i Sam otworzył drzwi.

- Fiuu! - gwizdnął, wchodząc za Leonie.

Było to olbrzymie pomieszczenie - wszędzie ręcznie ciosane belki i podłogi z szerokich sosnowych desek.

Leonie odwróciła się do Sama i zobaczyła na jego twarzy wyraz absolutnego zachwyty.

- Wspaniałe, prawda? - zapytała. - To znaczy, jestem pewna, że pod tym brudem jest wspaniałe. Przypomina mi to dzień, kiedy pierwszy raz oglądałam poddasze Octagon House. Tyle że to jest przynajmniej dwadzieścia razy większe.

- To by było fantastyczne biuro z pracownią - odezwał się Sam. - Jest mnóstwo miejsca. Dość dla... - spojrzał na nią - dla nas obojga - dokończył ciszej.

Ścisnęła go za ramię.

- Cieszę się, że to mówisz.

- Nie wyobrażam sobie tego inaczej, Leonie.

Obeszli stary młyn, a potem przep spacerowali się brzegiem Kinderhook, zauroczeni jego zimowym pięknem. Dzisiaj woda była wysoka, płynęła szybko i głośno szumiała. Sam otoczył Leonie ramieniem, a ona objęła go w pasie.

- Co o tym sądzisz? - zapytała w końcu.

- Według mnie to cudowne miejsce. Poza tym jest praktyczne, a dla nas wręcz idealne. Dobrze by było tu mieszkać i pracować, prawda? - Pochylił się i musnął wargami jej włosy. - A jak ty myślisz?

- Zgadzam się z tobą - powiedziała. - Można wykorzystać młyn na biura i pracownię. Projekty architektoniczne i renowacje... A obok mój sklep i firma dekoratorska. W domu moglibyśmy zamieszkać.

- Trzeba by porozmawiać z Mossy o kupnie.

- Zadzwoń do niej po powrocie - zdecydowała Leonie. - Będziemy musieli działać szybko. Carsonowie chcą się wprowadzić do domu przed Bożym Narodzeniem.

- Jak myślisz - zapytał Sam, pocierając podbródek - jak będzie wyglądała choinka w pustym, zakurzonym starym domu, który rozpaczliwie potrzebuje naszej opieki i czułej troski?

Mówisz poważnie? - zawołała bez tchu.

- Jak najbardziej. Ale jeśli mamy to robić, to tylko razem. Spółka. Zgoda? - Spojrzał na nią z powagą.

W bezdennych głębiach jego oczu Leonie dostrzegła zdecydowanie. Skinęła głową, poddając się nagłej fali emocji.

On rzeczywiście tego chce, pomyślała. To będzie prawdziwe partnerstwo. W pracy i w życiu. My dwoje razem przeciwko światu. Zastanawiała się, czy są na to gotowi, czy będą umieli zapomnieć o przeszłości, żyć terażniejszością - i budować przyszłość.

Sam ujął jej podbródek i delikatnie zwrócił ku sobie twarz Leonie. Pocałował ją lekko w usta.

- Czy to dla ciebie za szybko? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Nie... - szepnęła. - To znaczy, wydaje mi się, że nie.

Przytulił ją do siebie.

- Rozumiem, że mógł cię oblecieć strach - powiedział. - Ale uważam, że tworzymy doskonały tandem, Leonie - zarówno w interesach, jak i w życiu.

- Ja też tak myślę, Sam - odrzekła zarumieniona. - Bardzo tego pragnę.

- Nie musimy od razu się wiązać, jeśli się tego obawiasz - uspokoił ją. - Możemy poczekać. Nie będę naciskał. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że ja... jestem na to gotów w każdej chwili.

Wzruszona Leonie skinęła głową, niemal bojąc się odezwać. Sam ofiarował jej wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła, o czym marzyła, i było to niemal przytłaczające.

- Wiesz, moim zdaniem życie to nie próba - ciągnął. - To jest szansa - może nasza jedyna - na szczęście. Uważam, że powinniśmy ją wykorzystać.

Leonie popatrzyła na przysypane śniegiem drzewa po drugiej stronie potoku. Widok przypominał staroświecką rycinę. Mimo że padał śnieg, wiedziała, że wiosenne pączki już gromadzą energię i siły, by się odrodzić po zimowym uśpieniu.

My też należymy do tego kręgu, pomyślała. Do niekończącego się cyklu śmierci i odradzania. Poczowała radość, że jest częścią czegoś tak wspaniałego, i przestała się bać.

Powoli odwróciła się do Sama.

- Chcesz zaryzykować, prawda?

- Tak - odrzekł z mocą - z tobą. Pragnąłem tego od chwili, kiedy cię poznałem, ale teraz pragnę jeszcze bardziej. - Znów ją przytulił. - Tutaj - wskazał ręką - moglibyśmy być szczęśliwi... i może nasze dzieci. To wspaniałe miejsce, żeby budować nowe życie, Leonie. A kiedy coś buduje, to zakładam, że przetrwa po kres czasu.

Ogarnęła ją kolejna potężna fala wzruszenia. Przedtem myślała, że jej małżeństwo będzie na zawsze, że oprze się wszelkim burzom. Okazało się jednak, że się pomyliła. Czy może teraz zaufać sobie - i Samowi? Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

Ponieważ, odpowiedziała sobie, mamy nie tylko wspólne cele i ambicje, ale także wartości i przekonania. Oboje przeżyliśmy przebudzenie. Tak, przebudzenie. Nie umiała tego lepiej określić, ponieważ było to dla niej tak nowe, tak obce. Wiedziała jednak, że pozwoli zdecydować uczuciom. A to oznaczało, że podejmie ryzyko z Samem.

W końcu podniosła na niego oczy.

- Mówisz poważnie, Sam? Że jeśli coś budujesz, to po to, by przetrwało po kres czasu?

- Tak - odrzekł poważnie. - Wiesz, że tak. I mam nadzieję, że ty myślisz podobnie.

- Och, tak - odpowiedziała. - Tak i jeszcze raz tak! Chcę, żebyśmy byli razem! Chcę mieć dzieci... Nasze dzieci! Pragnę tego najbardziej w świecie!

Ich usta się spotkały, pocałowali się czule, namiętnie. Pomyślała, że to popołudnie nad strumieniem, skąpane w srebrzystym, zimowym świetle, pozostanie w jej pamięci na zawsze. Była pewna, że każda chwila na wieki zachowa swoje piękno i znaczenie.

Czas spędzony z tym mężczyzną, niekiedy pełen uniesień, kiedy indziej zwyczajny, w szczęściu lub smutku, otworzył jej oczy na barwy życia. Przyszło jej na myśl to, co często sobie powtarzała: że razem stanowią siłę, która zdoła przewyciężyć cienie przeszłości.

Spojrzała mu w oczy - z których znikł wyraz osaczenia i żalu.

- Kocham cię - szepnęła.

- Ja też cię kocham i będę kochał zawsze - powiedział Sam i uśmiechnął się czule. - Wiesz, jeśli nie chcesz czekać, to możemy zająć się powiększaniem rodziny od razu.

- Podoba mi się ten pomysł - odrzekła Leonie. - Nawet bardzo. Już myślałam, że nigdy tego nie powiesz!